



KS. HIERONIM KAJSIEWICZ CR

**PAMIĘTNIK
O POCZĄTKACH
ZGROMADZENIA ZMARTWYCHWSTANIA PAŃSKIEGO.¹**

Co było od początku, cośmy słyszeli,
cośmy widzieli oczyma naszymi,
cośmy oglądali, i ręce nasze dotykały...
świadczymy... i opowiadamy...
(I Jan. 1. 2.)

WSTĘP.

Roku Pańskiego 1866, jeden z przyjaciół naszych bawiących w Paryżu, doniósł mi że Redakcja *Rocznika Towarzystwa Literacko-Historycznego* postanowiła zdać sprawę ze zakładów polskich religijnych, dobroczynnych, i naukowych za granicą; i że pominąć nie może naszego Zgromadzenia: jeżeli zatem nie dostarczymy mu objaśnień potrzebnych, winą naszą będzie, gdy co niedokładnego drukiem ogłosi, tém więcéj że ono dotąd za granicami Polski jedynie się rozszerzało. Powolny temu wezwaniu spisałem krótki pamiętnik, który ogłoszony został w *Roczniku tegoż Towarzystwa 1867 (XIV-XL)*; lecz że pojawił się z uzupełnieniami, które choć nader życzliwą, jednak nie moją były pisane ręką, nie mógł być przezemnie tamże podpisany. Bacząc że to treściowe sprawozdanie dość przychylne znalazło przyjęcie, ale nie zaspokaja ciekawości i nowych członków wstępujących do Zgromadzenia, i przyjaciół jego, i osób obcych a jednak dobrej wiary i chcących mieć sąd o tém Zgromadzeniu: postanowiliśmy pierwotne sprawozdanie znacznie rozszerzyć, jakkolwiek, każdy to zrozumie, że żyjący i o żyjących nie mogę jeszcze wszystkiego powiedzieć, i żem obszerniej stosunkowo opisał to, czegom się sam bezpośrednio dotykał. Praca ta jest zatem osobistą moją, nie zaś urzędową kroniką Zgromadzenia.

¹ Tekst oryginalny za: *Pisma X. Hieronima Kajsiewicza ze Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego*, t. III, *Rozprawy, Listy z podróży, Pamiętnik o Zgromadzeniu*, Berlin [w Księgarni B. Behra (E. Bock)]-Kraków [w Księgarni D. E. Friedleina], 1872, s. 402-527. Komputerowe opracowanie tekstu: Michał Szlachciak CR. © dla niniejszej wersji: Michał Szlachciak CR i Centrum Duchowości Zmartwychwstańczej w Rzymie, 2009.

ROZDZIAŁ I.

Boghan Jański (1835-1840)

Zgromadzenie to, nazwane później od Zmartwychwstanie Pańskiego, poczęło się w Paryżu, wśród Polaków wychodźców politycznych. I ludzie zdawali się być nieodpowiedzialni, i miejsce niesposobne; jednak niedostatkom Bóg miłosiernie zaradził.

Emigracja polska przybywszy do Francji po nieszczęśliwym powstaniu 1831-go roku, ludziła się nadzieją że wraz zaczną się tworzyć legiony i że na czele wojsk francuskich do ojczyzny wróci. Chłodniejsi nie spodziewali się takiej rychłej zmiany; wszakże bacząc na niustalony jeszcze stan Europy, i zpołożenia swego potrzebując nadziei, nie śmieli ję odpychać: młodzi dlatego że młodzi, starzy dlatego że starzy pragnęli a więcej spodziewali się rychłego powrotu. O szukaniu korzeni nieszczęść narodowych, źródła upadku tylu powstań, nikt myślał, a przynajmniej nikt głośno myśleć nie śmiał.

Emigracja nasza znalazła się we Francji w niekorzystnych wielce dla religii czasach. W skutek rewolucji lipcowej kapłani musieli kryć się, lub po świecku nosić; a kościoły, w Paryżu mianowicie, były puste. Wśród rodaków naszych rzadkie jeszcze było prawdziwe niedowiarstwo lub odraza do Kościoła i duchowieństwa; ogólnie panowała pośród nich obojętność połączona z wielką nieznanością własnej religii. Przynieśli tedy do Francji te religijność ogólną zwykłą Słowianom, karmiącą się wspomnieniami rodzinnymi, podaniami narodowymi; przy umyśle skrzywionym już naleciałościami fałszu. Stronictwo zwane liberalnym, zwycięskie i panujące we Francji, podejmowało nader zyczliwie wychodźstwo polskie, opiekowało się niem, ale wpływem swoim (obok wpływów dzienników i książek) wszczepiało w nie stopniowe uprzedzenia swoje i odrazę do Kościoła, wciągając też i wpisując naszych do łóż wolno-mularskich. Pomimo to, na początku, po wielkich zakładach (*depôts*) do tysiąca i więcej liczących osób, jak w Avignon, Besançon, Bourges, i t. d.² wychodźcy urządzali sobie tradycyjne Msze wojskowe ze śpiewami polskimi; ale i to rychło przy rozdrabnianiu się zakładów upadło, ile że w kapłanach swoich niewiele znaleźli pomocy. Była jeszcze wtenczas może chwila i sposobność pochwylenia umysłów, i zatrzymania ich na ślizkiej pochyłości niedowiarstwa: ale się to niestety nie stało. Okrom wspomnionych już powodów, rozmiłowanie się młodzieży w zasadach terroryzmu wielkiej rewolucji francuskiej, nadzieja poruszenia ludności wiejskiej i wywalczenia w ten sposób ojczyzny, połączone z koniecznym przy zasadach rewolucyjnych zagłuszaniem sumienia co do wyboru środków: wszystko to rozwijało wielkim pędem niedowiarstwo a po części i otwartą już bezbożność wśród polskiej emigracji.

Wśród tej hałaśliwej rzeszy, był człowiek spokojny i zamyślony, dwadzieścia kilka lat wieku liczący, sam nie emigrant a wyłącznie prawie z emigrantami przestający. Wzrostu był średniego, delikatnej raczej budowy ciała; rysy twarzy miał regularne, cienkie, zachodnio-

² Dla czytelników mniej z historią emigracji obznajomionych dodać winienem objaśnienie, że rząd francuski z obawy aby zbyt wielka ilość Polaków, naówczas wielce popularnych, zebrana w Paryżu, nie dała mimowolnie powodu do ponawiających się wciąż zamieszek w stolicy, wyznaczał przybywającym z Niemiec kolumnom na miejsce pobytu odleglejsze miasta departamentowe. Przebywające tak oddziały zwykle z wojskowych złożone, zostały zrazu pod rozkazami Ministra wojny i zwane były po wojskowemu *depôts*, zakładami.

europęjskie. Czoło jego wysokie, brunatnym kędzierzawym się włosem bogato pokryte; oko duże i ciemne dziwnie wdzięczne w spojrzeniu; miły wyraz ust jego; wszystko słowem, pokazywało w nim zdolność zarazem i dobroć, w wysokim stopniu rozwinięte. On był już przebiegł stromą pochyłość niedowiarstwa; zajrzał w tę ciemną, źle woniącą i bezdenną przepaść; i teraz wracał z utrudzeniem pod górę, spotykając po drodze rodaków swoich świeżo do Francji przybyłych, i pędzących na dół z całym upojeniem ludzi nierozczarowanych jeszcze w błędzie. Nie wymijał ich bynajmniej dojrzały podróżnik; owszem miłością bratnią przejęty zatrzymywał i wzywał na rozmowę. Z dziwną cierpliwością z niecierpliwymi, uprzejmością z nieokrzesanymi często, starał się zarozumiałych a przytęm, jak to bywa najczęściej, nierozumnych przekonać, oświecić, upamiętać. A taki urok i wdzie posiadał, że bez względu na to, co i nim poza nim mówiono, powszechnie go w głębi duszy szanowano, i ci którzy jego wyobrażeniom nienawiść byli poprzysięgli, nie mogli osoby jego samęj podobną objąć nienawiścią. Był to ś. p. Boghan Jański.

Urodzony w Ciechanowcu, miasteczku województwa płockiego, około roku 1807-go, z rodziców stanu miejskiego, odbył szkoły w Pułtuskę, pod kierunkiem OO. Benedyktynów. Zgromadzenie to najstarsze w Kościele zachodnim, najstarsze w naszej Polsce, żyło u nas przez siedm wieków na sposób pierwotny, to jest pojedynczemi niezależnemi opactwami: dopiero w końcu 17-go wieku, na wzór Zgromadzenia św. Maura we Francji, i Zgromadzenia Bawarskiego; po wiekowym trudzie, i zachodach kilku opatów Świętokrzyskich, zawiązało się było Zgromadzenie benedyktyńsko-polskie św. Krzyża. To też kiedy nowożytna chciwość sięgnęła po dobra kościelne, a mianowicie po bogate uposażenia opactw benedyktyńskich: nie znajdowały się te opactwa u nas, jak tu i owdzie może naonczas, w stanie upadku; ale owszem odświeżone i w pełnym kwiecie. Zgromadzenie pułtaskie odznaczało się światłem, gorliwością w nauczaniu, i miało dar wraźnia w duszę młodych uczniów bojaźni Pańskiej i trzymania ich w karności, obudzając w nich zarazem uszanowanie i miłość dla siebie. Iluśmy spotkali uczniów z tęg szkoły, wszyscy wspominali z wielką wdzięcznością dawnych mistrzów swoich; pracy ich szczepieniu, wszystko co w sobie dobrego znali, chętnie przypisując. Ś. p. Boghan, nie niższy od innych we wszelkiem zacném uczuciu, żywszą od wielu zachował dla zakonu benedyktyńskiego pamięć.

Po ukończeniu szkół, odbył trzyletni kurs administracji, na uniwersytecie warszawskim, a następnie kosztem rządu, jako jeden z najzdolniejszych uczniów, wysłany został na lat parę przed powstaniem 1830-go roku, za granicę: za powrotem miał wykładać prawo handlowe, w szkole politechnicznej cywilnej w Warszawie.

Przyszłość naukowa ś. p. Jańskiego, powoływała go do ekonomii politycznej, która jakkolwiek pożyteczne i szacowne być mogą niektóre jęg części, stała się teologią materializmu, chcącego tu na ziemi znaleźć a raczej stworzyć raj wymarzony. Jeszcze wtenczas złudzenie było powszechne, ledwo jaki człowiek wierzący, niesłuchany i zakrzyczany, zwracał uwagę na to że w zwojach togi ekonomicznej, ukryty leżał socjalizm i komunizm. We Francji umiejętność ta (jeśli tylko tego miana godna), za organ swój główny, a wymowny, miała dziennik *Le Glob*: rzecz prosta, że młody nasz Anacharsis, w ścisłe z nim rychło wszedł stosunki. Gdy pewna liczba ekonomistów francuzkich zawiązała się w szkołę, pod nazwą St. Simonistów, i nasz Polak znalazł się w ich gronie: wszakże

należał do tych którzy z Bazard'em na czele, chcieli tylko szkoły społecznej albo tawarzystkiej, a nie religijnej; na założenie której targnęła się pycha dziwaczna, pana a później Ojca Anfantin. Rzecz godna uwagi, że tak pan Bazard, jak inni St. Simonieści, którzy szukali jedynie reformy tawarzystkiej, wszyscy prawie wrócili do praktyki religijnej, a niektórzy nawet dobrze się Kościołowi zasłużyli. Z liczby tych był niezawodnie nasz rodak.

Jeżeli się jednak komu dziwno wyda, iż ś. p. Bohdan Jański, pobożnie wychowany, mógł przystać do St. Simonistów, niech sobie przypomni, cośmy na początku powiedzieli, o ogólnej ówczesnej atmosferze duchowej w Europie i w Polsce samój. Niech pamięta, że lat kilka przebył w Warszawie, a potem podróżował na Zachodzie; że następnie wszedł do stowarzyszenia ekonomistów świątłych wprawdzie, ale szukających organizacji ludzkości, i religii jakiejkolwiek, ogólnie katolickiej nie znających: że nareszcie rodak nasz był młodym, wystawionym w Paryżu na wszelkie możebne pokusy zaciemniające umysł, i sąd zdrowy o rzeczach krzywiące. Pamiętając że Augustyn później święty, tak długo był Manichejczykiem, pojmiemy jakim sposobem Jański lat kilka mógł być trwać w St. Simonizmie.

Co świadczy o jego zdolnościach i moralnych przymiotach, to iż jakkolwiek obcy wśród Francuzów, wysłany został przez nich do Anglii dla traktowania z Owen'em, organizatorem także materyalistowskim społeczeństwa. Jański nasz już był ostygł w pierwszym zapale i w pierwszej wierze w St. Simonizm, kiedy emigracja przybyła do Francji. Ze szkoły tej wyniósł wszakże uczucie potrzeby społecznej organizacji: a tą radą by był przeprowadzić w ciele narodowym, a mianowicie tej jego części którą miał pod ręką, to jest w emigracji.

W ciągu 1832-go roku, przybył do Paryża sławny wieszcz nasz Adam Mickiewicz, z przyjacielem młodości swojej i cierpień za Nowosilcowa, Ignacym Domeyką. Mickiewicza zaskoczyło było powstanie listopadowe w Rzymie. Za długo się ztamtąd wybierał, za długo się przebierał z Poznańskiego do Królestwa; tak że go na granicy zaskoczyła wieść o wzięciu Warszawy. Skompromitowany już wobec rządu rossyjskiego, udał się do Dreżna a następnie do Paryża. Szczęśliwszy od wielu innych, że wybierając się z Rzymu do Polski, wypowiedział się był na drogę: co większa poczuł w sobie powołanie do stanu duchownego (jak mi to sam powiedział); ale odłożył zapewne spełnienie tej myśli do ustalenia się spraw krajowych. Nie zdaje się jednak by już się wtenczas był głębiej w nabożeństwo wdroył; owszem czwarta część jego Dziadów, w Dreźnie spisana, dowodzi wielkiego rostrojenia ducha; wszakże wobec emigracji w Paryżu, występował jako chrześcijanin katolik, i kilka lat następnych przeżył w wielkim uspokojeniu wewnętrznym. Pomny może na myśl kapłaństwa w Rzymie poczętą, Adam patrząc na gorączkowe i niepłodne zabiegi i robótki emigracyjne, powiadał: „na nic się to wszystko zdało; trzeba dla Polski zakonu.” Nosząc się z tą myślą zamieszkał wspólnie z Jańskim i Ignacym Domeyką w pobliżu obserwatorium paryżkiego: nie przyjmując wszakże żadnej formy zewnętrznej. Zaczeli od wydawania pisma religijno-politycznego pod tytułem „Pielgrzym”: które jakkolwiek nie dojrzałe jeszcze duchowo, podobnie jak jego wydawcy, wszakże wobec kierunku wprost przeciwnego reszty dziennikarstwa emigracji, i dzięki talentowi redaktorów, w ciągu pół-rocznego tylko swego trwania, wywarło jednak wpływ pewien na niektóre umysły, i w kraju dobre znalazło przyjęcie. Wszakże Mickiewicz,

jak ogólnie poeci i artyści, nie miał usposobienia do systematycznego porządku w życiu; próba życia wspólnego się nie udała, pierwsza trójka rychło się rozeszła. Mickiewicz wszedł w śluby małżeńskie r. 1834. Ignacy Domeyko, ukończywszy szkołę min, przyjął posadę profesora uniwersytetu w San-Jago w Chili, gdzie po dziś dzień wielkie usługi umiejętności i religii oddaje, a imieniowi polskiemu powszechnie poszanowaniu u pobożnych i niepobożnych w tamtych stronach pozyskał.

Pozostał zatem sam jeden ś. p. Bohdan Jański, z myślą i sercem wiernie do pierwszego celu zwróconem. Przyzywany kilkakrotnie jeszcze na katedrę do Warszawy, ostatecznie odmówił; a żyjąc z dawania lekcyj, i pisywania artykułów (mianowicie o Polsce i Słowiańszczyźnie) do Encyklopedyj, Przeglądów, i t. p. apostołował wciąż na upatrzonego, wśród młodszej mianowicie braci, z dziwną wiarą, cierpliwością i zręcznością nawet. Ś. p. Stefan Witwicki przybyły dobrowolnie na wygnanie roku 1833-go, połączony przyjaźnią z Mickiewiczem i Jańskim, powiadał o tym ostatnim: „kiedy Bohdan wychodzi na połów jakiej grubej ryby to go spotykam z bukiecikiem u boku i cygarem w ustach.”

Bóg miłosierny który zdaleka przysposabia sobie narzędzia sposobne do spełnienia celów swoich, postanowił oczyścić i do duchownej dojrzałości doprowadzić nowego sługę swego. Postanowił cierpieniem oczyścić ciało słabe i grzeszne a stawiając mu przed oczyma śmierć bliską i sądy swoje, oderwać go od wszystkiego co znikome i przechodnie, a obrócić do rzeczy wiecznych i niezmiennych. Spuścił Bóg na ś. p. Jańskiego niebezpieczną chorobę piersiową, z pluciem krwi i wielkiem wycieńczeniem sił połączoną, a lat blisko dwa trawiącą. Wszakże ponieważ rosnąca miłość Boża wzmagą gorliwość o zbawienie bliźnich: i wtenczas mozolnego missyonarstwa swego całkowicie nie zaniechał. Z początkiem 1835 roku, wraca mu Bóg siły a zarazem więcej przysłał pracy; on ją chętnie podejmuje, i czysto już po katolicku około dusz braci swoich chodzić zaczyna.

W tym samym czasie przyłączył się do niego Piotr Semenenko, urodzony w poówie 1814-go roku koło Tykocina na Podlasiu, chodziła do szkół naprzód w Tykocinie u Missyonarzy, potem w Białymstoku, a nareszcie w Krożach na Żmudzi. Skończył je już w 15-tym roku życia, a przeczekawszy rok cały w domu, wszedł w 1830 roku do uniwersytetu wileńskiego. Tymczasem wybuchło powstanie; więc za nadejściem korpusów Giełguda i Chłapowskiego na Litwę, wstąpił do baterii artylleryi pieszej i z nią wszedł do Prus Wschodnich. Umieszczony w pobliżu Królewca rzucił się do autorów niemieckich, a przybywszy do Francji im młodszy tem skrajniejszych się chwycił stronnictw: za co nawet od rządu francuskiego ścigany wielkiej biedy doświadczył. Jański nasz wiedząc z doświadczenia jak daleko młody człowiek pozbawiony kierunku zapędzić się może, sądząc że się poświęca dla ludzkości; poznał też iż ta gwałtowność polityczna całkiem była sztuczną w Semeneńce, z przyrody łagodnym i rozważnym, a do życia umysłowego raczej niż czynnego stworzonym. Litując się przeto jego duszy, i marnowanych zdolności, zachodził go zdaleka, łagodnością swoją przyswajał, a rozmową uczącą i zajmującą dumnemu młodzieńcowi imponował. Przyszły mu w pomoc bolesne zawody i przykrości które spadły na Semenenkę, Bóg reszty dokonał; tak że dnia 15-go stycznia 1835-go r. pojednał się on z Kościołem. Od tej chwili, Semenenko mieszkając z Jańskim przez kilka miesięcy nie

wychodziła z domu, chyba że do kościoła, poszcząc, modląc się, i czytając zasadnicze dzieła katolickie dla sprostowania pojęć tyłoma błędnymi systematami skrzywionych.

Drugim z kolei był Hieronim Kaysiewicz. Urodzony 7-go grudnia 1812-go roku w województwie Augustowskim, nad Niemnem, szkoły odbył w Sejnach. Drugi rok chodził na wydział prawa i administracji na uniwersytecie warszawskim gdy go powstanie zaskoczyło. Wszedł do III-go dywizjonu 3-go pułku ułanów w korpusie Dwernickiego. Otrzymał kilka ran ciężkich w bitwie pod Nową Wsią, wzięty do niewoli, trzymany w Puławach i odbity przez oddział powstańczy pułkownika Łagowskiego, Wielhorskiego i Juliusza Małachowskiego, dopiero 1832-go r. w Paryżu przez sławnego Dupuytren'a z ciężkiej blizny pod okiem jakkolwiek wyleczonym został. Politykował i on lat parę choć mniej zajadle, a w końcu przykładem Mickiewicza i rozmowami jego do praktyki religii pociągnięty został. Kaysiewicz poczuł w sobie powołanie do stanu kapłańskiego w dzień Wniebowzięcia Matki Najświętszej³; zwierzył się z tej myśli Semenence który nawzajem mu wyznał że ma podobne postanowienie: odtąd stali się jakoby nierozdzielni. Obaj młodzieńcy czując potrzebę skupienia ducha odbyli w jesieni tegoż roku pieszą pielgrzymkę do świeżo otworzonego klasztoru Benedyktynów w Solêsmes, departamencie *Sorthe*; gdzie przebyli cały miesiąc na nabożeństwie, opływając w pociechy duchowe których Bóg zwykle nowonawróconym i słabym jeszcze na duchu, nie szczędzi. Był tak także społecznie dla skupienia i spokojnej pracy, młody, pobożny i sławny już par Francji pan de Montalembert, niegdyś uczeń Lamennais'go, a stały przyjaciel sprawy polskiej. Mieszkał on w Paryżu w jednym domu z Cezarem Platerem, znał się z Adamem Mickiewiczem, a Jański był mu nauczycielem języka polskiego: tą drogą i nowi młodzi nawróceni weszli z nim w stosunki, z nim razem odbyli pobożną wycieczkę ze Solêsmes do opactwa Trappistów (Cystersów reformy Ojca de Rancé) zwanem Port-de-salut koło Laval. Milczenie zupełne i ciągle panujące w tym klasztorze, umartwienie wyryte na twarzach zakonników obok pokoju i wesela duchowego; śpiew ich w chórze szczególnie przeciągłe *Salve Regina* i *Parce Domine* z wyciągniętymi w krzyż ramionami, czyscowemi jakby głosami zawodzone: śpiew ich nocny, kołyszący pobożne sny i dający rodzaj widzeń niewyraźnych: wszystko, głęboko religijne na młodych pielgrzymach sprawiało wrażenie. Nieraz potem już kapłanami będąc, wymykali się z gwaru paryżkiego do Trappy, dla skupienia się w duchu: wszakże do takiego rodzaju życia bynajmniej nie czuli się powołani. Przeciwnie, życie Benedyktynów, praca umysłową zamiast ręcznej, obok modlitwy zajętych, mogących absolutnie i czynnie około dusz pracować, dosyć pociągało młodych ochotników do stanu kapłańskiego, nie znających jeszcze szczególnego swego powołania. Myśl, że Benedyktyni dziś gasnący w Polsce, pierwszymi jój byli Apostołami, wywierał pewien wpływ na ich umysły.

Za powrotem do Paryża zwierzyli się z tem Jańskiemu. On, jak później zobaczymy, nosił myśl podobną w głębi duszy, ale na teraz, czuł potrzebę trzymania się razem i

³ Pierwszy któremu Kaysiewicz to objawił tego samego dnia jeszcze, był Adam Mickiewicz. Połyszawszy tę dobrą nowinę, rzucił mu się na szyję i zawołał rozrzuwiony: „niechże będą Bogu dzięki! I ja miałem powołanie, alem je zmarnował: może ty mnie zastąpisz.” To powołanie otrzymał był Mickiewicz w Rzymie roku 1830-go po odbytej spowiedzi z całego życia podczas gdy modlił się w kapliczce Matki Boskiej w kościele *del Gesu*. Powstanie polskie, emigracja, były powodem puszczenia w odwołkę wykonania tej myśli, a ożenienie się następnie, ostatecznie ją zniweczyło.

przygotowania stowarzyszenia czynno-zakonnego na posługę przedewszystkiemu potrzebującego i prześladowanego Kościoła polskiego. Już wtenczas były doszły pewne wiadomości o zniesieniu jednym pociągiem pióra przez cara Mikołaja dwustu klasztorów na Litwie, o prześladowaniu ks. Gutowskiego biskupa podlaskiego i gwałtownem podkopywaniu Unii. Przyjaciele nasi, szczególnież też śp. Stefan Witwicki, gorąco nad tém pracowali, by się trzymać kupy, modlić się i czekać. Ze samych okoliczności wynikła potrzeba wspólnego pożycia nowo nawróconych, mianowicie powołanych do stanu kapłańskiego. Widzieliśmy już w jakim stanie była emigracja; wkrótce bojawiła się pośród niej apostazyza praktyczna. Po zakładach, szczególnież po sekcyach demokratycznych, małpowano konwent francuzki, i brano Boga na kréski: *jest - li czy nie?* Tych, którzy w kościele zginali kolano, wytykano palcami, i nazywano pogardliwie *katolikami*: jakby oni już nimi nie byli; i w rzeczy samej już nie byli. Nie by pojedyncze osoby lub rodziny nie trzymały się jeszcze jakkolwiek swojej religii; ale to była rzecz prywatna: publicznie i w massie emigracja była w apostazyi. Kiedy za powrotem Kajsiewicza i Semenienki ze Solêsmes, jednowiercy ich starsi i młodsi, zebrali się na powitanie w ich mieszkaniu: oprócz nich i Jańskiego znaleźli się jeszcze Adam Mickiewicz, Stefan Witwicki, Bohdan i Józef Zalescy, Ignacy Domeyko, Władysław Laskowicz, Waleryan Chełchowski i Edward Duński: dodawszy jeszcze nieobecnego Cezarego Platera, dwunastu wszystkiego tak zwanych *katolików*; bo wyraz *Jezuita* nie był jeszcze w użyciu. Wśród takiej atmosfery gwałtowna była potrzeba punktu oparcia i wzajemnej pomocy, przeciw rozlicznym pokusom bijącym na świeże nabożeństwo nowonawróconych.

W dzień zatém Popielcowy 1836 roku, Semenienko i Kajsiewicz wprowadzili się do małego przez Bohdana *domku* na dziedzińcu przy ulicy *Notre Dame des Champs*, pod N. 11. Za nimi za dni kilka Edward Duński, a wkrótce i sam Jański. Nieco później przybył Józef Hube, były profesor uniwersytetu warszawskiego, urodzony w Warszawie 19 marca 1805 r.; pomijając innych przechodnich tylko mieszkańców. Wszyscy oddali się wspólnym modlitwom i nauce. Majątek nasz był tak znaczny, żeśmy bielizny na siennikach nie mieli, sami na targ za kupnem chodzili, sami gotowali z niebezpieczeństwem otrucia się nieraz. Pierwszego funduszu na małe porządeczki i najem mieszkania dostarczył Jański. Już wkrótce Cezary Plater zaczął nas docześnie wspierać równie jak Montalembert i państwo Amadeuszostwo Thayerowie, którzy też od pobożnych Francuzów i Belgów, wcale nam osobiście nieznanym, roczne subskrypcye stufrankowe otrzymywali. Emigracja, nie pomna żeśmy pomoc od rządu otrzymaną do spółki składali, łamała sobie głowę z kąd mogliśmy choć tak liche dostawać fundusze. Jeden z dzienników emigracyjnych ogłosił, żeśmy płatni przez księcia Modeńskiego i Metternicha; nadto, że jakiś Pawlikowski miał być ich pośrednikiem. Redaktor przyparty przez Bohdana Zaleskiego jak mógł takie brednie ogłaszać, odpowiedział najswobodniej: „a cóż, alboż mi nie uwierzyli?” Ta odpowiedź wiele tłumaczy.

Ci, którzy nas bliżej znali, i w uczciwość naszą wierzyli, brali krok nasz za jakiś głęboki manewr polityczny, uważali nas jako klub katolicki na kraj, i na duchowieństwo polskie obmyślany: inni po prostu ciskali nam w oczy takie dilemma: „alboście zgłupieli, alboście łotry.” Inni jeszcze, ludzie zresztą poważni, którzy się tego później wstydzili, z

lekkości rozpowiadali, i rozpisywali o nas aż do kraju niesłychane dziwolągi: że mamy krucyfiksy ogromne od sufitu aż do podłogi, że się biczujemy do krwi, itd.

Pełno tedy rodaków przychodziło dla oglądania tych *półgłówek*, a nie znajdując nic dziwnego, widząc nas spokojnymi, prostymi, uprzejmymi, wyraźne zdziwienie i zbudowanie okazywali na twarzy, a często i słowy to wyrażali. Najmniej było jednak takich, którzy nam wierzyli gdyżśmy po prostu mówili, że nam Bóg dał powołanie, abyśmy służyli braciom naszym naprzód na wygnaniu, a potem da Bóg w kraju: zawsze ludziom chce się odgadnąć coś tajemnego tak nawet, gdzie nic tajemnego nie masz.

Nam wszakże obojentném było co ludzie o nas myśleli i mówili, tak nam było dobrze w duszy. Wspólne mieliśmy godziny wstawania, spoczynku i modlitwy: sam posiłek uświęcony był czytaniem duchowném. Na Mszę świętą chodziliśmy do kościoła Karmelitanek przy ulicy Vaugirard, uświęconego męczeństwem kilkudziesięciu kapłanów i biskupów za pierwszej rewolucyi, i służyliśmy do mszy sławnemu księdzu Lacordaire, który o téj samej godzinie mszę odprawiał w tym kościele, a który już wtenczas nosił w zanadrzu myśl odnowienia zakonu św. Dominika we Francyi. *Brat Starszy* (jakeśmy nazwali Jańskiego) rozłożył na nas pracę. Przełożyliśmy między innymi rzecz o *Eucharystyi* księdza Gerbet, ogłoszoną drukiem przez Towarzystwo dobrych książek. Towarzystwo to założyli byli Cezary Plater, Jan Koźmian i inni; ale że druga wraz książka którą wydali *Chrystus Pan wobec wieku*, wyszła współcześnie w kraju, a niektórzy członkowie się rozjechali, towarzystwo upadło: zresztą zastąpiły je rychło prace osobiste Aleksandra Jełowickiego. Odwiedzali nas bracia nasi starsi poza domem mieszkający, słuchali naszych odczytów, zachęcali nas swemi rozmowami, i cieszyli się naszym szczęściem. O tych początkach naszego Zgromadzenia, czytaliśmy bezimienny artykuł w Münchenskich *Historisch-politische Bälter*, około r. 1840; ale go pod ręką nie mamy. Odwiedzali nas także znakomici cudzoziemcy jako to: pan Montalembert, uczony i pobożny ksiądz później biskup Gerbet, opat Guéranger, i inni duchowni i świeccy. Był to czas nowego wzmożenia się duchowego we Francyi po burzy 1830 roku. Widzieliśmy wtenczas w kolebce wiele zakładów, które się później olbrzymio rozrosły. Pamiętam Towarzystwo św. Wincentego a Paulo, kiedy ledwo kilka dziesiątków stowarzyszonych liczyło. Kajsiewicz z Piotrem Semenenką zapisani do pierwszej setki arcybractwa Serca Matyi Panny, założonego przez śp. Księdza Desgenettes. Bóg opatrnie styka ze sobą ludzi, którzy w okresie jakim, na różnych stanowiskach ale w jednym kierunku pracować mają.

Niepodobna pokochać Pana, zakosztować jak słodki jest, a nie zapalić się zarazem świętém pragnieniem, by i bliźni nosi podobnego dostąpili szczęścia. To téż nietylko ustanie przychodzących do nas, ale i oddalonych rodaków staraliśmy się listami pociągnąć do znajomości i miłości do Jezusa. Tak już zarysowały się choć z grubego dwa cele każdego Zgromadzenia bogomyślnie czynnego, a w szczególności naszego: to jest pracowania na uświęceniem własném i nad uświęceniem bliźnich.

To i wiele innych rzeczy, tyczących się pojęcia myśli, przyszłości naszego Zgromadzenia, który trudno dziś przypomnieć i wyrazić, a nawet trudno było na razie, doskonale powiedzieliśmy sobie i pojęli, a w części odgadli, w dzień Zielonych świątek 1836 roku, w którym to dniu Bóg wylał w miłosierdziu swoim szczególną łaskę na małą naszą

garstkę, na czterech nas będących niejako węglami nowej budowy. Dwaj czy trzej inni, którzy nie mieli albo z nami pozostać albo się stale połączyć, nic a nic z rozmowy naszej nie zrozumieli, i jak przy pierwszych zielonych świątkach, jakoby za pijanych nas mieli.

Teraz pilno już było Semenence i Kajsiewiczowi, zacząć regularne nauki teologiczne. Do seminarium dyecezalnego trudno się było dostać dla braków funduszków: ale spowiednik wynalazł sposób. Znał on zacnych kapłanów prowadzących kollegium Stanisława w Paryżu (tak nazwanego przez Ludwika XVIII. na cześć dziada swego Stanisława Leszczyńskiego). Tam ich umieścił w liczbie dozorców (*maîtres d'étude*) uczącej się młodzieży świeckiej, gdzie też był dla nich dodatkowy, upoważniony przez arcybiskupa kurs teologii. Radość ich była bez granic. Weszli oni tam 29 czerwca, w dzień śś. Piotra i Pawła; a 15 sierpnia w święto Wniebowzięcia Matki Boskiej przywdziali sukienki duchowne, i jedni z pierwszych pokazywali się w nich na ulicach paryzkich, dość jeszcze do owego czasu opróżnionych ze sukien duchownych.

Jak wcześniej rząd rosyjski zaczął się nami zajmować i mieć nas w podejrzeniu, dowodzi wypadek następujący. Jeden z nas korzystając z dobrej sposobności, napisał do swego biskupa prosząc go o pozwolenie i świadectwa potrzebne do spodziewanych święceń. Biskup odesłał prośbę do Warszawy. Rząd odpisał droga dyplomatyczną, że proszący nie kwalifikuje się do kapłaństwa, i pytał, w jakim celu kilku emigrantów polskich weszło do *Collège Stanislas*? Tak od samego początku po dziś dzień mieliśmy przeciwko sobie i demagogią polską i schyzmę rosyjską.

Co niedzielę zrana i co czwartek po obiedzie, mogliśmy wychodzić z kollegium i wtenczas bywaliśmy w *domku*, gdzie nowi kandydaci kształcili się duchowo pod przewodnictwem Jańskiego. W ten sposób przeszedł nam rok cały.

W środku lata 1836-go r. Wrócił z Rzymu pułkownik Zamoyski⁴. Opowiadał on, że przedstawiał kardynałowi Lambruschini, Sekretarzowi Stanu, i samemuż Ojcu świętemu Grzegorzowi XVI, iż bacząc na stan religii w naszym kraju, byłoby rzeczą użyteczną, gdyby młodzi Polacy mogli się uczyć w Propagandzie; na co mu odpowiedzieli: „przyślijcie nam a my ich przyjmieni.” Hrabia Zamoyski dodawał, że jest naszym obowiązkiem zająć to stanowisko, w braku innych ochotników, tém bardziej, że Stolica Apostolska nic prawie nie wie o szczegółach prześladowania Kościoła polskiego w Rosyi. Mickiewicz, Cezary Plater, Witwicki, Bohdan Zaleski, którzy obok nas i nad nami stanowili jakoby izbę wyższą, z którąśmy się spotykali przez naszego przełożonego, byli wraz z nim tego zdania, że powinniśmy jechać do Rzymu: a myśmy w tém ich zdaniu uznali wolę Bożą. Opuszczaliśmy *Collège Stanislas* po czternastomiesięcznym pobycie, gdzie nam było tak dobrze, za dobrze na nowicyat; bo i przełożeni nas kochali, i uczniowie szanowali ze względu na przeszłość, narodowość i położenie nasze. Więc 6 września puściliśmy się w drogę. Mickiewicz zapłakał żegnając się z nami, jak gdyby przeczuwał, że już nie mieliśmy się ujrzeć z weselem. Miejsca nasze w kollegium zajęli Józef Hube i Edward Duński, zdecydowani już na księży.

⁴ Z tej pierwszej swojej bytności w Rzymie, spisał hrabia Zamoyski bardzo interesujące sprawozdanie ogłoszone w szacowném dziele ks. Lescoeur *L'Eglise Catholique en Pologne sous le gouvernement russe*. Paris, 1860, ss. 55.

Kiedyśmy opuszczali Paryż, cholera dziesiątkowała dosłownie Rzym: spodziewaliśmy się przybyć tam za koniec zarazy, jak za łaską Bożą rzeczywiście się stało. W Lyonie pokłoniliśmy się Matce Boskiej cudownej na Fourvières, a ponieważ na Marsylii i portach Śródziemnego morza grasowała cholera, puściliśmy się drogą lądową przez Mont-Cenis do Turynu, ciesząc się widokiem Alp i cudnej równiny włoskiej. Świeża tam jeszcze była pamięć nedorzecznego napadu emigracyi naszej na Sabaudyą, imię polskie źle brzmiało w Piemoncie: w gorszym położeniu mieliśmy się znaleźć w Lombardyi bez języka i znajomych. Bóg miłosierny dał nam za przewodnika Anioła swego.

W Tortonie siadając do powozu, znaleźliśmy się w towarzystwie biskupa w stroju dominikańskim: z rozmowy we francuskim języku dowiedzieliśmy się, że to był Monsignor O'Finen biskup Kilallah w Irlandyi, jadący do Rzymu w sprawach swojej diecezji mówił doskonale po włosku bo był dawniej przez lat wiele spowiednikiem księżnej Lucca; rozmowny był i uprzejmy. Wspólny cel podróży, potrzeba towarzystwa, i możność rozmówienia się, zbliżyły nas do siebie; szczególnie gdyśmy się mu zwierzyli że jesteśmy Polakami: postanowiliśmy odtąd razem podróżować. Okrążając cholerę musieliśmy wjechać do Mantuy. Urzędnik policyjny austriacki, doskonale mówiący po polsku, odgadł zaraz naszą narodowość pomimo naszych paszportów francuzkich, i pytał nas, czyśmy nie wiedzieli o kartelu extradycyjnym, kiedyśmy śmieli wjechać do posiadłości austriackich. Pomimo widocznego powodu cholery, długo się namyślał czy ma podpisać nasze paszporta, i niezawodnie, przez wzgląd jedynie na biskupa, dla którego największe okazywał uszanowanie, puścił nas dalej. Jedna bieda przeszła, nastąpiła druga. Zatrzymani zostaliśmy i osadzeni w kwarantannie na granicy państwa papieżkiego, szczęściem, że znowu razem z biskupem. Tak nas obdzierano za żywność, żeśmy widzieli już dno naszych emigracyjnych sakiewek, kiedy przez wzgląd na biskupa, otrzymaliśmy od legata papieżkiego w Ferrarze, kardynała della Genga Sermatei (synowca Leona XII) pozwolenie wolnego przejazdu, po rewizyi odbytej *pro forma*.

Towarzystwo księdza biskupa jak z jednej opatrywało nasze bezpieczeństwo, tak z drugiej niemiłościwie kieszeń kaleczyło. Uważani od oberżystów za officyałów zagranicznego prałata, niemiłościwie byliśmy obdzierani, zwłaszcza, że przybywały do tego nieprzewidziane wydatki, z powodu cholery i kwarantanny. Obliczyliśmy się w Bolonii, że mamy jeszcze o czém dojsć piechotą do Rzymu, ale już oczém dojechać nie mamy. Oświadczyliśmy to naszemu zacnemu biskupowi, który nam kazał być spokojnymi i do Rzymu nas dowiozł. We Florencyi opatrzył nas groszem hr. Zdzisław Zamoyski, biskupa naszego ze wszelką uczciwością podejmował, i uprosił, by mu synka pierworodnego (Stefana) ochrzcił; tem bardziej zacny nasz prałat nie chciał przyjąć zwrotu pożyczki. Przybyliśmy do Rzymu 14 października właśnie na *Te Deum* po zakończonej cholery odprawiane, wśród wesółych okrzyków tłumu, strzałów i pukawek. Tego dnia jeszcze otrzymaliśmy błogosławieństwo Ojca świętego Grzegorza XVI, wracającego po odprawioném *Te Deum* z kościoła *Santa Maria Maggiore*.

Nazajutrz udaliśmy się do Ojca Suszyńskiego S. J. Zwanego tutaj Aridinin, z listem polecającym do niego od podpułkownika pułkownika Władysława Zamoyskiego o od O. Saprynowskiego z Turynu. Kiedy emigracya białoruska OO. Jezuitów wypędzonych z Rossyi

za Aleksandra I. Przybył a do Włoch, znacznie przemagała liczebnie odrastającą wtenczas dopiero prowincję włoską. Dla nieprzerazenia zatem Włochów, takim napływem barbarzyńców z północy, starszyzna zakonna przechrzciała ich na Włochów: tak zacny ks. Kułak nazywał się Palma, ks. Rodoszkiewicz Allegri i t. d. Ksiądz Suszyński (Ardini) poznał nas z księdzem Dmowskim, professorem filozofii, i innymi ojcami Polakami mieszkającymi wraz z nim w kollegium rzymskim. Co więcej, poczciwy ten Ojciec zaprowadził nas do kardynała Franzoni w sprawie naszej instancyi.

Czekając w przedpokoju, spotkaliśmy i poznaliśmy Monsignora Mezzoforte (później kardynała) profesora i korrepetytora wszelkich możebnych języków w kollegium Propagandy. Drobnej był twarzy i tuszy; ruchawy, prosty i uprzejmy. Dowiedział się on o darze swoich języków, a może go otrzymał, z rzeczy miłosiernego uczynku wyświadczonego naszym legionistom w Bononii swojej ojczyźnie. Widząc ich zagładających do kościołów, i modlących się, a nie mogących się spowiadać, nauczył się po polsku, i był ich spowiednikiem. Tak mu to łatwo przyszło, że wziął ztąd pochop do uczenia się innych języków. Po chwili rozmowy powinszował nam, że dobrze po polsku mówimy; gdy wyczytał na twarzach naszych zdziwienie: „nie dziwcie się, rzekł, nie dziwcie, bo dzisiaj Polacy, nie tylko już nie mówią językiem Skargi, waszego Złotoustego, którego ja co dzień czytuję, ale nawet nie mówią językiem Krasickiego.” Później odwiedzaliśmy go nie raz z wolniejszą myślą niż w tój pierwszej chwili.

Świątobliwy kardynał Franzoni przyjął nas i wysłuchał łaskawie; wszakże oświadczył, że do Propagandy przyjmują tylko młodzież przybywającą z poleceniem biskupów właściwych z krajów w stanie missyj będących. „Obecnie, dodał, nie ma nawet miejsca wolnego, wszakże pomieszczę was jakkolwiek, jeżeli kardynał Sekretarz Stanu na to przystanie.” Tak trzeba było skończyć na tém od czego zacząć wypadało. Po chwili stanęliśmy przed kardynałem Lambruschini. Wysoki to był, poważny i surowy starzec; o wielkiem, bystrém i przenikliwém oku. Serce nam mimowolnie biło, bo losy nasze miał w swoim ręku. Oddaliśmy mu list od hrabiego Zamoyskiego; przeczytał go uważnie raz i drugi, a potem rzekł: „gruba zaszła pomyłka. Kiedym mówił że radzibyśmy mieć Polaków, tom rozumiał takich, którzyby przybyli z paszportami rossyjskimi i mogli potem wrócić do kraju: wy tego uczynić nie możecie; więc co nam po Was.” Ojciec Suszyński przedstawił mu w jakim stanie jest religia w Polsce, ile już złego rząd Kościołowi wyrządził. „Wiem ja o tém, odpowiedział kardynał, ale dotychczas dowodów urzędowych na to nie mam, i upomnieć się nie mogę. Gdybym przyjął tych młodzieńców, dałbym przyczepkę rządowi rossyjskiemu do skarżenia się na nas, że jego przyjaciół politycznych przyjmujemy i popieramy. Żal mi bardzo, rzekł serdeczniejszym tonem zwracając się do nas, że nateraz nic nie mogę. Macie paszporta francuskie, bawcie tu pod opieką Francyi; później zobaczymy.”

Wyszliśmy nie weseli i na duszy było łzawo. Przewidując konieczność opuszczenia Rzymu, przypomnieliśmy sobie, że Mickiewicz polecił nam być złożyć list jego w pałacu Poli, do księżnej Zenaidy Wołkońskiej, świeniej ongi pani w Moskwie i Petersburgu, a obecnie nawróconej i pobożnej katoliczki w Rzymie. Chcieliśmy list u odźwiernego zostawić, ale że służba zwykle na wzór państwa się układa, zaprosiła nas na górę. Księżna przyjęła nas z uprzejmością prawdziwie chrześcijańską, a dowiedziawszy się o naszej przygodzie,

szturmowała za nami do Propagandy. Gdy jednak kardynał Franzoni odwoływał się stale do pozwolenia Sekretarza Stanu, pośpieszyła za nim pocztą na wieś, gdzie właśnie się był wyniósł: wszakże nic nie wskórała.

Kardynał Lambruschini był powiedział: „czekajcie, a potem zobaczymy;” niestety nie było już o czym doczekać się pomocy z Paryża, choć tylko 15 groszy na dzień wydawaliśmy na mieszkanie i stół. Zaczny Ojciec Suszyński, który wciąż o nas myślił, wynalazł wreszcie miejsce od ciężkiej potrzeby, na dozorców w domu sierot (orfanelli). Prowadziliśmy uczniów do klas niższych, do kollegium rzymskiego, a sami współcześnie słuchaliśmy kursów teologii. Miejsce to na pozór podobne było do onego jakie zajmowaliśmy w Paryżu: ale jakże w rzeczy odmienne. Nieznani przełożonym, nie znając języka, niezdolni przez czas długi porozumieć się z uczniami; pozbawieni wszelkiego towarzystwa, ledwo przez godzinę na dzień mogliśmy się ze sobą widzieć. Mieszkanie było wilgotne i niezdrowe: obaj cierpieliśmy mocno na oczy, Kajsiewicz nadto na mocny, prawie ciągły ból zębów. Takich przebyliśmy miesiące czternaście; zasilani tylko szczególną łaską Bożą.

Wiedzieli bracia nasi i przyjaciele w Paryżu, o tym nie wesołym naszym położeniu. W jesieni 1838 r. przybyło dwóch nowych na nauki do Rzymu, Józef Hube i Edward Duński z uwiadomieniem o zapewnionych z kraju czterech stypendyach po 600 franków rocznie. Otrzymaliśmy byli ten fundusz za sprawą Bohdana i śp. Józefa Zaleskich od spoczywających już w Bogu Daryusza i Dyonizy (z iwanowskich) Poniatowskich i niektórych z ich krewnych. Najęliśmy zatem sobie osobne mieszkanko, *Piazza Morgana* pod numerem 24, w parafii *Santa Maria in Compitelli*, i zaczęliśmy życie wspólne w Rzymie. Zaczęto nam dawać nazwę kollegium polskiego i mieliśmy ławkę osobną, jak inne kollegia, w audytorjach. (Obok nas utworzyła się ławka francuzka, na której siadywali ksiądz Labouillierie, obecny biskup Carcassone, ksiądz de Cazalés, wikary generalny i znany pisarz, itd.) Wszakże fundusz pierwszoroczny z kraju wzięty z góry, wyszedł był w znacznej części na podróż dwóch braci nowoprzybyłych i na zakupno niezbędnych porządków domowych. Nadto odebraliśmy wiadomość, że dobrodzieje nasi za powrotem, pociągnięci do śledztwa choć najniesłuszniej o należenie do spisku Konarskiego, uwięzieni jedni, przerażeni wszyscy, dalszej nam pomocy przysłać nie mogą. Pochwaliwszy Boga, powiedzieliśmy sobie, iż będziemy wytrzymywać dopóki będzie o czym: a po wydaniu ostatniego grosza, przedamy łóżka i krzesła nasze, i piechotą wrócimy do Paryża. Ale Bóg chciał tylko nas doświadczyć, aby Opatrzność swą miłosierną dotykałniej dać poznać.

Zaraz p przybyciu do Rzymu poznaliśmy Augustyna Theynera, rodem Szlązaka, z ojca Węgra a matki Polki. Był na razie professorem literatury w kollegium Propagandy, później wstąpił do Zgromadzenia Oratoryanów. Przechodząc sam rozmaite koleje i zażywszy biedy, szczerze się nami zajął. Pisał o na do biskupa Jordańskiego, koadjutora Prymasa Węgier. Ten w odpisie wymyślając żwawo *dzikowi leśnemu niszczącemu winnicę Pańską* (cesarzowi Mikołajowi) przysłał nam sto talarów, obiecując więcej: ale go rychło Pan do chwały swojej powołał.

Pomoc dalszą znaleźliśmy w Cezarym Platerze, który przybył na końcu roku 1838 do Rzymu i z nami zamieszkał żywiąc nas z własnej kieszeni. Mieszkanie to Platera zetknęło nas z Polakami podróżującymi, których się było właśnie kilkunastu zjechało téj zimy, i odtąd co

rok więcej przybywało. Między innymi był śp. Jenerał Józef Szymanowski, który rychło zamieszkał z rodziną w Rzymie, i serdecznie się potrzebami naszymi zajmował. Inni też słysząc, że żyjemy z Opatrzności, przychodzili nam w pomoc, tak że później i kilkunastu nas, i kilkudziesięciu choć z biedą wyżyć mogło, świadcząc jeszcze innym biednym rodakom.

W jesieni 1839 roku przybył do nas Karol Kaczanowski były kapitan artylerii, urodzony w Pińsku z początkiem tego stulecia. Na początku r. 1840 Bohdan Jański, zwinąwszy domek paryzki, przybył do Rzymu z zamiarem zaczęcia nauk teologicznych. Ale niestety przywiózł już ze sobą zaród śmiertelnej choroby piersiowej. Gdyby był po chorobie przed pięciu laty odbytej troskliwie ochraniał siły swoje, mógłby być, po ludzku mówiąc, przedłużyłby swe życie. Z drugiej strony, nie byłby zapewne odpowiedział woli Boga, który mu zostawił czas do pokuty, uświęcenia się i podźwignienia wielu innych z upadku. Prowadził tedy życie umartwione, czynne, kłopotliwe. Szukał dusz rodaków zbłąkanych po zakątkach całego wielkiego Paryża. Dla jednych wyszukiwał miejsca, gdzieby i chleb doczesny, i dobry przykład, i zbudowanie mieli. By zapewnić nawrócenie innych, brał ich do *domku*, z wielkim trudem wyszukując grosz, dla przeżywienia kilkunastu i więcej osób. Nie wszyscy z czystym zamiarem przychodzili; inni, szczerzy w pierwszej chwili wracali następnie do dawnych narodów. Jański zmuszony udzielać się często na zewnątrz, nie miał zawsze zastąpić się kim dostatecznie wewnątrz domu. Ci, którzy dłużej przy nim byli, więcej wyrobieni na duchu, przechodzili z kolei do stanu duchownego: wciąż tedy miał do czynienia z rekrutami. I siły fizyczne Bohdana, i zasoby materyalne wyczerpywały się; zresztą potrzeba domu dla braci świeckich zmniejszała się w miarę częstszych nawróceń wśród emigrantów. Pięciu już teologów w Rzymie obiecywał rychło missyjonarzów dla Paryża: w każdym razie pilno mu myło samemu do Rzymu. Zastąpić go mógł po części okrom innych Jan Koźmian zajmujący się wychowaniem kilku młodzieńców z kraju, przez pobożne rodziny mu powierzonych.

W ciągu tego ruchliwego i kłopotliwego życia w Paryżu wybiegał często do Mortagne, głównego domu Trapistów; otrzymał był nawet dla nas afiliacją do modlitw i zasług tego pokutniczego zgromadzenia. Ostatniego roku zabawił tam trzech miesięcy: zapiski jego, dotyczące się potrzeb osobistych duszy i przyszłości Zgromadzenia, dowodzą jak głęboko czuł i widział. Post ciągły po domach Trapistów; modlitwy długie a gorące (bo kiedy się Bohdan modlił, zapalał się cały na twarzy): wszystko to tuczając duszę musiało wycieńczyć ciało. Nareszcie pod jesień 1839 r. w podróży do kollegium Juilly w okolicach Paryża, gdzie był parę rodaków umieścił, przemokły do nitki i zaziębiony, wrócił z katarem, który się rychło w suchoty przemienił. W tym już stopniu była choroba, że powietrze włoskie, zamiast powstrzymania, rozwijało ją pospiesznie. Siłę i pogodę umysłu obok słodczy serca zachował do końca. Jeżeli na chwilę drażliwość czysto nerwowa go podchwyciła, sam się niejako sobie dziwił i uderzając ręką w czoło mówił: „co też się ze mną dzieje !” Doktor, który obok przybyłego brata Terleckiego go leczył, tak się w chorym rozmyślał, że nie miał serca, pomimo gróźb naszych, ostrzedz go o blizkiej śmierci. Gdy w końcu jeden z nas to uczynił, nie zmięszwał się bynajmniej: „nie od dzisiaj, rzekł, myślę o śmierci; od dawna do niej się sposobie, nie sądziłem jednak by już tak była blisko. A potem z rodzajem łagodnego żalu dodał: „czemuż mnie doktor nie ostrzegł kiedym go o to prosił.” Niezwłocznie zaczął

dyktować swoje ostatnie rozporządzenie. Ostatnie Namaszczenie i Przenajświętszy Sakrament przyjął z wielką pobożnością i przytomnością, która go rychło opuściła⁵. Skonał łagodnie, nad ranem d. 2 lipca w dzień Nawiedzenia Matki Boskiej, wśród klęczących w około i łzawo się modlących braci. Zwłoki jego pogrzebane na cmentarzu św. Wawrzyńca; zanim Zgromadzenie zdobyło się na grób wspólny, na kamieniu jego nagrobkowym proroczyśmy byli wyryli napis: *hic ressurecturus quiescit*. Emigracja pomimo różności zdań i rozburzonych namiętności, z żalem i współczuciem żalobną tę posyłała nowinę; a katolicy poczuli się osieroconymi; on bowiem początkował i ześrodkował w sobie ruch religijny w emigracji. To też towarzysze jego, na litografii wydanej w Rzymie, podług obrazu olejnego, wykonanego na parę tygodni przed śmiercią przez malarza Sarneckiego, podpisali:

Ś.p. BOHDAN JAŃSKI

pierwszy pokutnik jawny

i Apostoł emigracji polskiej we Francji.

Co do nas, ponieważ nic nam więcej nie przekazał okrom myśli trzymania się razem, nie możemy go uważać za naszego założyciela; kochamy jednak jego pamięć jako przesłańca naszego Zgromadzenia, a największego naszego dobrodzieja.

ROZDZIAŁ II.

Przełożństwo Piotra Semenki (1840-1845)

Przełożonym obrany został Piotr Semenkenko. Troska główna teraz była o święcenia; nikt z nas tonsury, ani czterech mniejszych święceń jeszcze nie był otrzymał. Podczas naszego pobytu w *Collège Stanislas*, pan de Montalembert będąc w Rzymie uzyskał był u Ojca świętego wraz z błogosławieństwem potrzebne dyspensy; ale zaginęły one jakoś w konsystorzu paryzkim, i trzeba było teraz na nowo się o nie starać. Otrzymaliśmy je u Grzegorza XVI, i dwóch nas pierwszych dostało święcenia mniejsze w ciągu zimy 1839 roku: a dla innych był już procedens utworzony. Nie mając bowiem metryk naszych, musieliśmy przysięgą stwierdzać, żeśmy nie żonaci.

Te pierwsze święcenia, stosunki grona naszego z Polakami przybywającym z kraju, a nadewszystko mieszkanie u nas Cezarego Platera, które pierwsze dokumenta dowodzące prześladowania rządu rossyjskiego przywiózł był do Rzymu wywołały reklamacye urzędowe Rossyi przeciwko nam. Hrabia Potiomkin oskarżył nas przed papieżem jako ludzi niebezpiecznych i wicherzących, jako agentów politycznych i nicponiów: ale go Grzegorz XVI. stropił zręczną swoją dobroduszością. Biorąc bowiem do rąk książeczki nadgrobowe z kollegium rzymskiego, rzekł do niego: „panie ministrze, wybacz że ci wierzyć nie mogę; musisz być źle informowany. Młodzieńcy ci, od dwóch lat już są tutaj; uczą się dobrze,

⁵ Winienem tu wdzięcznie wspomnieć Mgra de Falloux, który chorego naszego odwiedzał i Mszę świętą dla niego miewał.

zyskują medale i pochwały; professorowie są z nich zadowolnieni i najlepsze im dają świadectwa.” Rzeczą prostą, że ambasador nie mógł się rozpierać z profesorami. Kardynał Lambruschini zaś zbywał ambasadora dyplomatycznie pytając go za jakimi siedziemy tu paszportami, a gdy posłyszał odpowiedź: „naturalnie że za francuzkami:” odesłał do posła francyjskiego, oświadczając, że musi szanować paszporta francuzkie, jak wszelkie inne. Tak przeszła i ta burza.

Po tylu latach teologii trzeba było myśleć o święceniach wyższych, i wypadło dotrzeć do samego Ojca świętego. Otrzymaliśmy posłuchanie pierwsze i ostatnie u Grzegorza XVI. „Od jak dawna jesteście już tutaj,” spytał? „od trzech lat Ojciec święty,” odpowiedzieliśmy. „Jako? od trzech, a jeszczeście u mnie nie byli?” Nieśmieliśmy być natrętnymi bez szczerzej potrzeby.” „Na przyszłość bądźcie śmielsi,” rzekł z dobroduszną ale poważną prostotą. „Cóż mi tedy powiecie” spytał? Opowiedzieliśmy nasze zamiary, położenie i potrzebę tytułu do święceń wyższych. „Czy chcecie święcić się dla Propagandy?” – „Nie możemy złożyć przysięgi absolutnej pójsia gdzie nas poszła, albowiem chowamy się dla Polski.” – „Pojmuję, rzekł Papież: czy chcecie zatem należeć do dyecezyi rzymskiej?” – „Nie możemy, rzekliśmy, dla tegoż samego powodu; nie mielibyśmy co robić osiadając stale w Rzymie.” – „No, to i ja nie widzę sposobu” rzekł Papież, i odesłał nas do Monsignora Brunelli, naonczas sekretarza Propagandy, aby mu przypomniał o naszej sprawie. Wszakże do niczego nas to nie doprowadziło, bo zawsze zostawało wybierać między Propagandą i dyecezyą Rzymską: a ani jedno ani drugie nie było dla nas. Wtenczas zacny nasz przyjaciel pan de Montalembert stał się znów dla nas narzędziem Opatrzności. Za jego staraniem głównie ś. p. ks. Affre postąpił był na arcybiskupstwo paryskie; u niego to otrzymał wpływem swoim, że nas wszystkich sześciu przyjął do swjej dyecezyi w myśli zachowania nas dla polski; i papiery potrzebne nadesłał. W miesiącu tedy sierpniu 1841 r., Semenenko i Kajsiewicz już doktorowie teologii weszli na miesięczne rekolekcyje przygotowawcze do trzech święceń wyższych. Wszakże musieli je przerwać; albowiem jak się zdaje ambasada rossyjska w Rzymie przez agentów swoich umiała różne przeszkody i zwłoki wywoływać, tak iż jeden poważny kapłan zawołał: „doprawdy, potrzebna wam cierpliwość Joba”; a to były tylko początki trudności i zawał na każdym życia naszego. Nareszcie 21-go listopada w święto Przedstawienia się Matki Bożej w kościele otrzymaliśmy subdyakoniat, w trzy dni później za dyspensą dyakoniat, a 5go grudnia kapłaństwo, z rąk wicegerensa Monsignora della Porta. Dnia 8go grudnia 1841 r., w święto Niepokalanego Poczęcia Maryi Panny, odprawiliśmy po raz pierwszy Przenajświętszą Ofiarę w kościele Santa Maria Maggiore: ksiądz Semenenko przed cudownym obrazem Matki Boskiej, ksiądz Kajsiewicz przy zwłokach świętego Hieronima, swego Patrona w kaplicy żłobka Pańskiego. Obecni byli Polacy dość licznie téj zimy w Rzymie zgromadzeni, jak np. jeneralstwo Chłapowscy, Szymanowscy, Walerostwo Wielogłowscy, i t. d. Spędzeni téż śniegami z gór pasterze owiec licznie przystąpili do stołu Pańskiego wraz z Polakami przypominając tak i pierwszych pasterzy i mędrców ze Wschodu u żłobka Pańskiego. (Rychło ksiądz Hube i Duński dostąpili zaszczytu kapłaństwa, a następnie i inni).

Dotychczas musieliśmy się ograniczać na przysposabianiu dusz do spowiedzi i doprowadzaniu ich do kapłanów polskich i francuzkich: odtąd już sami zaczęliśmy udzielać Sakramenta święte. Jubileusz ogłoszony za potrzeby Kościoła hiszpańskiego, obok

cudownego nawrócenia się Alfonsa Ratisbonne, pobudziły do szczerzej spowiedzi naszych rodaków nawet mniej pobożnych. W ciągu tej zimy był w Rzymie ksiądz Dupanloup, obecnie biskup orleański, naówczas wikary generalny paryzki i przełożony małego seminarium. Jako dycecezalnych księży chciał księdza Semenenkę i mnie zabrać na nauczycieli do swego zakładu. Obronił nas wspólny nasz spowiednik śp. Ojciec de Villefort S. J., mówiąc: „zostaw ich, Bóg im wytyczył inną drogę.”

Kilka miesięcy przedtém przybył nam siódmy brat w osobie Władysława Godlewskiego. Ponieważ Towiańszczyzna już kielkowała i przewidywaliśmy potrzebę rozdzielenia się między Rzym i Paryż; spędziliśmy cały wielki post na naradach wspólnych celem ułożenia pierwszych zarysów ustawy mającej nami rządzić. Zanadto mieliśmy jeszcze mało doświadczenia, abyśmy mogli na coś dojrzałego się zdobyć; wszakże niektóre zamiary zasadnicze już i w tej pierwszej regułce były wyrażone. Skończyliśmy narady w Wielką sobotę około północy, i postanowiliśmy złożyć śluby w ręce księdza Piotra Semeneki, wybranego na przełożonego rzeczywistego; bo dotychczas, od śmierci Jańskiego, był on tylko tymczasowym, a i gromadka nasza była tylko zebraniem ludzi dobrej woli, nie zaś stałem Zgromadzeniem, ślubami przed Bogiem do wspólnego życia związanem, i któreby miało prawdziwego z prawa przełożonego. Postanowiliśmy uczynić to w katakumbach św. Sebastiana, gdzie nas sławny kardynał Micara posyłał „uczyć się polityki dla nas stosownej i potrzebnej.” Któryś z braci rzucił pytanie jak się mamy nazywać? Zdaniem jednych należało nam czekać aż od wiernych otrzymamy nazwę. Wszakże na zapytanie: jak odpowiedzieć pytającym o nazwę naszego Zgromadzenia? Inny z braci przedstawił, iż wypada nam przyjąć miano, które sam Bóg daje w skutek aktu zawiązania się naszego Zgromadzenia i to bez uprzedniego rozmysłu, w rocznicę *Zmartwychwstania Pańskiego*. Wszystkim się ta myśl podobała, postanowiliśmy jednak na teraz się z tém nie odzywać, celem uniknienia rozmaitych przypuszczeń i podejrzeń; jak się rzeczywiście później stało. Obrządek złożenia ślubów tak dla nas uroczysty spełnił się w Niedzielę Wielkanocną podług zamierzenia z wielkiem rozweseleniem ducha naszego i dziękczynieniem Bogu.

Podobało się Bogu dać nam dowód zewnętrzny, że On nam natchnął przyjętą przez nas nazwę *Zmartwychwstańców*. W jesieni bowiem tegoż roku, bez najmniejszego zachodu z naszej strony, za staraniem księżnej Borghese matki, z domu La Rochefoucault, otrzymaliśmy w administracyą jeden z kościołów francuzkich w Rzymie, dawniejszy prowincjonalny Burgundczyków, a poświęcony św. Andrzejowi Apostołowi Słowian i św. Klaudyuszowi. Kościół ten był nam całkiem nieznanym, bo po jednej i jedynej Mszy ranniej bywał zamknięty przez dzień cały: z jakimże miłem zdziwieniem, znaleźliśmy jeden z trzech ołtarzów poświęcony zmartwychwstaniu Pańskiemu, i ozdobiony pięknym obrazem tej tajemnicy. Tém to dziwniejsze, że dotychczas nie słyszeliśmy o drugim ołtarzu poświęconym Zmartwychwstaniu w całym Rzymie, a w licznych naszych podróżach, w jednym tylko Neapolu spotkaliśmy małą kapliczkę poświęconą tej tajemnicy. Ojciec św. Grzegorz XVI. Ułatwił nam łaskawie objęcie tego kościoła wyznaczając pensyą byłemu jego rektorowi. Ale cofnijmy się kilka miesięcy przedtém.

Zbliżała się chwila naszego rozłączenia. Bracia nasi świeccy pisali raz poraz z Paryża, zaklinając nas na wszystko co może być najświętszego, byśmy przybyli na pomoc emigracyi

ciągniętej do przepaści przez Towiańskiego, za sprawą przeważną Mickiewicza, który dwoma laty wprzód będąc professorem literatury starożytnej w Lausanne, zachwycał protestantów łaciną Ojców Kościoła i hymnami Prudencyusza, Mickiewicz, który ich kilku do Kościoła przyciągnął, i wzywając nas do rychłego przybycia tamże obfity nam połów dusz obiecywał; Mickiewicz który kiedy wrócił do Paryża dla objęcia katedry literatury słowiańskiej w *Collège de France*, (którą mu był wyrobił wspólny nasz przyjaciel Montalembert razem z księciem Adamem Czartoryskim), zamierzał po roku lub dwóch wykładu przybrać sobie za zastępcę księdza Piotra Semenę: tenże sam Mickiewicz dnia 3 maja 1842 roku, pociągnął czterdziestu czterech Polaków do tak zwanego *koła*, a wielu innych chwiała się pod ciężką a ciągłą pokusą. Pospieszył zatem ks. Duński do Paryża pod koniec maja, a gdy listy jego były wielce niepokojące, opuścił i ksiądz Kajsiewicz Rzym 26 czerwca i przybył do Paryża 12 lipca, w wigilię wypędzenia z tego miasta Towiańskiego przez policją francuską: tak że z nim osobiście zetknąć się nie mógł.

O Towiańskim i jego nauce pisać tu nie myślę: kto nie czytał może odczytać co w tej mierze podówczas ogłosił Stefan Witwicki, serdeczny przyjaciel Mickiewicza. Chcę raczej mówić o rozmowach moich z Adamem, a wprzód dać objaśnienie jak mógł tak nagły przeskok nastąpić. Nie bez boleści przyjdzie mi o tym mówić, bo wiele temu mężowi winien, nigdy się z tym nie krył, owszem przy każdej sposobności głośno to wyznawał. Opatrznie, poznałem Adama w najlepszych jego latach, w latach ukojenia wewnętrznego i praktycznej jego religijności. Ale prawda przedewszystkiem: „*amicus Plato, magis amica veritas.*” Im większa cześć w narodzie dla znakomitego męża, tym ściślejszy obowiązek odkrycia stron jego ujemnych; aby młodzież powodująca się uczuciem uwielbieniem bezwzględnie, wad samych ludzi genialnych nie naśladowała. Otóż trzeba powiedzieć, że Mickiewicz będąc na wygnaniu w Rosyi, wszedł był w stosunki bliższe ze szkołą Martinistów, i wczytał się mocno w pisma St. Martin’a, luźnego i nieprawowiernego mistyka. Tłumaczył też na język polski wiersze Anioła Silezjusza (Szlązaka) i chętnie przestawał zawsze z rozmaitego rodzaju marzycielami, nawet z kabalistami żydowskimi; pomimo prośb i ostrzeżeń Witwickiego, Bohdana Zaleskiego i innych bliższych swoich przyjaciół: to pokazuje kierunek stały jego umysłu do rzeczy ciekawych i nowych. Drugim wypadkiem, mało znanym a wielce tłumaczącym nagły zwrot w jego umyśle, była ponawiająca się umysłowa choroba żony po każdym położeniu. Rana ta w domowym jego życiu, obok piekącego nieraz niedostatku, doprowadzały go często do stanu rozstroju wewnętrznego i rozpacz. Dziwna rzecz, że ś. p. żona Adama w stanie swej chorobliwej egzaltacji zapowiadała *mistrza*, jako Mojżesza przychodzącego zbawić naród polski. Czy Towiański był znany Mickiewiczowi z czasów jeszcze wileńskich lub późniejszych, nie jest mi wiadomem; ale to pewna, że około roku 1834-go i później, Towiański kręcił się wraz z doktorem Gutem za granicą, i kusił z kolei wszystkie nasze znakomitości jako to arcybiskupa Dunina, generała Skrzyneckiego i t. d. Dodać jeszcze potrzeba, że Mickiewicz w polityce miał tendencje panslawistyczne, jak i Towiański. Kilkoletni jego pobyt w Moskwie, widok tej wielkiej materialnej siły, wielu dobrych znajomych i przyjaciół których tam znalazł, upadek nareszcie powstania polskiego, i Francji za Ludwika Filipa, skłaniały go do tego: liczył tedy jedynie na restaurację rodziny Bonapartów, i prawdopodobnie był w stosunkach z nielicznymi ich wtenczas zwolennikami.

To wszystko wiele już tłumaczy. Ale kiedy przypomnimy sobie, że Towiański równie jak jego zwolennicy, pociągają głównie ludzi pochlebając ich miłości własnej, wmawiając im że mają wielkiego ducha, wielkie powołanie, i byleby się poddali *prawdzie*, wielkich rzeczy doką: kiedy przypomnimy sobie, że Towiański mianował Adama mistrzem słowa, prorokiem, który wieszczym duchem wyśpiewał że uczucie, jest głównym działaczem ducha ludzkiego, mówiąc: „miej serce i patrz w serce”: kiedy nareszcie przypomnimy sobie że Towiański obiecywał to wszystko, nadto odbudowanie Polski, podniesienie Słowiańszczyzny, itd. Mickiewiczowi, pogrążonemu, jak widzieliśmy, w rozpacz; nie dziwi nas, że się ten mógł poddać Towiańskiemu. Nadto Mickiewicz twierdził, że Towiański (zakładając Mag i magnetyzer potężny) uleczył jego żonę; to uleczenie Mickiewicz brał i dawał za dowód posłannictwa z góry swojego mistrza, nie pomny że i dawniej po jakimś czasie małżonka jego przychodziła mniej więcej do normalnego stanu; że więc uleczenie to, podług prawideł w Kościele przyjętych, za cudowne uważanem być nie może. Nareszcie Towiański wysławiał duchy Izraelskie jako najwyższe, i cierpienia rozproszonych Judy liczył im ku zasłudze; Adam zaś z wielu powodów. Których wyliczyć nie ma potrzeby, skłonność ku żydom wykazywał. Dostyc że Mickiewicz sam uwiedziony, uwiódł kilkudziesięciu innych podbitych jego wyższością i wierzących mu z góry na słowo.

Gdyśmy przybyli do niego z księdzem Duńskim przyjął nas z pewnym ambarasem i zawołał: „Czegożecie tak długo siedzieli w Rzymie, teraz już nie czas rozprawiać, sprawa się zaczęła, hasło dane, trzeba iść naprzód, i t. d. Wszakże dnia pewnego, już w środku lata, gdy był z nim sam na sam, tak mówił po katolicku, i w końcu wyrecytowawszy całe *Credo* katolickie na kolanach, z ramionami na krzyż złożonemi, dodał: „przysięgam ci że w to wszystko wierzę.” Uradowany, rozrzewniony, odezwałem się: „Adamie, kiedy tak, to możemy się porozumieć, proszę cię tylko o jedną łaskę.” A gdy oświadczył się z gotowością uczynienia mi zadosyć, mówiłem dalej: „wiesz żeśmy świeżo wyświęconymi kapłanami, nadto cudzoziemcami, i świeżo przybyli do tej diecezyi. Po tem wszystkim co już zaszło, nie podobna nam przestawać z wami swobodnie, przyjmować was do Sakramentów świętych, jeżeli ksiądz arcybiskup do tego nas nie upoważni. Zróbże mi łaskę i powiedz to przed nim coś przedemną powiedział.” A gdy odrzekł: „chętnie to uczynię, tylko mi otrzymaj posłuchanie,” byłem u arcybiskupa który uprzejmie pozwolił mu się stawić. Z bijącym sercem czekałem powrotu Mickiewicza, a gdy przyszedł do mnie, powiedział: „wiesz, on daleko pokorniejszy odemnie; jamci mówił do niego na kolanach, ale on przedemną jakby laik się tłumaczył.” Pytając o szczegóły, zrozumiałem że poprzestał na ogólnem zaręczeniu o swojej prawowierności, a potem zaczął interpellować swego pasterza w następujący sposób: „czy sądzisz żeś ty dobrym biskupem?” Zdziwiony arcybiskup rzekł: „tak dobrego przekonania o sobie nie mam, ale cóż Pana we mnie razi?” – „Byłem niedawno, mówił Adam, na posiedzeniu tak zwanego Instytutu katolickiego; młokos pewien wyperfumowany, nadęty, czytał jakąś lichą rozprawkę, a ty pasterzu, tyś go publicznie pochwalił.” – „Co chcesz, panie Mickiewicz, odparł spokojnie ksiądz Affre, wiara dziś tak osłabiona, że zachęcamy wszelki wysiłek ku dobremu.” – „Nie byłeś wprawdzie, pasterzu, odparł szorstko Mickiewicz; a potem jak czasu tego używasz? Wydajesz książeczki; dobreć są one, ale koniec końców, i człowiek świecki umiejący dobrze katechizm mógłby się na podobne zdobyć. A co gorszego,

to że pisujesz bez końca już do Prefekta, już do ministrów; na miły Bóg, czyż to zajęcie dla ciebie? miej płatnego skrybę do takich bazgranin, a sam pilnuj obowiązków biskupich.” Ś. p. ksiądz arcybiskup, zamiast się oburzyć, zaniepokojony niejako w sumieniu, zapytał łagodnie: „więc cóż chcesz panie bym czynił?” Mickiewicz mówił doń z rosnącym zapalem i z rosnącym zuchwalstwem: „Kościół katolicki w Polsce jest rozbijany przez schyzmę, a czyś odezwał się kiedy wraz z twemi kolegami w jego obronie? co więcej, zdarza się nieraz że w tem mieście, dzieci wasze duchowne mordują się na ulicach, a czy wy występujecie wtenczas by ich rozbroić, jak czynili w podobnych razach wielcy biskupi w dawnych wiekach?” Bodaj czy nie zostało w duszy arcybiskupa to słowo, i czy nie spowodowało go do pójścia w dniach czerwcowych 1848-go roku na barykady, gdzie śmiercią męczeńską poległ, wołając: „oby krew moja była ostatnia przelana!” Cokolwiek bądź na razie, jako człowiek sumienny i wyższy, z pewnym niepokojem ś. p. Affre powtórzył: „więc mi powiedz nareszcie czego wymagasz ode mnie?” Na to Mickiewicz, jak zwykle nowatorowie, mocni i przesadzający w krytyce, a słabi gdy przychodzi postawić program dodatni odparł: „ja prosty laik, tyś biskup: módl się do Ducha świętego a zrozumiesz co masz czynić. Ale koniecznie zrób cos takiego, aby gdy wychodzisz na ulicę, lud klękał przed tobą, prosił cię o błogosławieństwo, otrzymawszy je wierzył że jest lepszym, został nim rzeczywiście. Otrzymaj to a będziesz prawdziwym biskupem. Bądź mi zdrów,” i z tem odszedł.

Naturalnie że takie postawienie się Mickiewicza wobec władzy duchownej zawiodło moją nadzieję, i usposobienie z którego poszło nie dało rękojmi na przyszłość, i możliwości porozumienia się. Muszę jednak dodać na pochwałę ś. p. księdza Affre arcybiskupa paryzkiego, że gdym do niego wrócił powiedział mi dobrotliwie: „wasz poeta jest człowiek egzaltowany, ma on jednak dobre chęci, nie odpychajcie go zatem, i bądźcie z nim cierpliwymi.” Szczegóły tej rozmowy tak mi żywo utkwiły w pamięci, a nadto tak często powtórzyłem je moim zaufanym, iż jestem pewny pomimo lat 28 które odtąd upłynęły, że treść jej i wszystkie ważniejsze wyrażenia, dokładnie podałem. Szczegóły tej rozmowy nie były jeszcze w żadnej biografii ś. p. arcybiskupa umieszczone; nie pilno nam było bowiem rozgłaszać jej, mianowicie wśród obcych, dla wielu powodów które każdy łatwo pojmie. Niestety nadzieje przeze mnie powzięte do niczego nie doprowadziły i wypadło nam walczyć z tym z którym byłoby tak miło i tak korzystnie wspólnie pracować.

Pan Karol de Montalembert, spólcześnie z otrzymaniem urzędu nowej katedry sławiańskiej, wyrobił także ustanowienie posady kapelana emigracji polskiej w Paryżu, którąśmy mieli objąć za naszym przybyciem. Tak w miłosierdnym zamierzeniu Bożem mieliśmy z dwóch katedr religijnej i naukowej, działać w duchu religijnym: nieprzyjaciel wszelkiego dobra, złął się następstw tak korzystnego położenia, i katedrę przeciw amboni obrócił. Nieraz bowiem kazanie moje było zabijaniem błędów wygłoszonych na poprzedniej lekcji Mickiewicza: wtenczas zwykle *prorocy* (tak zwano Towiańczyków) na znak protestacyi z kościoła wychodzili.

Nabożeństwo dla Polaków otwarte zostało dnia 10-go września 1842-go roku, w kościele św. Rocha, w kaplicy grobu (du Calvaire), jednaj z najpobożniejszych w Paryżu: opisałem ją w kazaniu *o pokucie* (Kazań przygodnych, tom 1-szy). W lat kilka potem został przerobioną; dziś regularniejsza jest ale mniej uroczysta. Nabożeństwo przyjęte zostało lepiej

przez naszych rodaków niż się można było spodziewać; schodziło ich się do dwustu, liczba nie mała bacząc na rozproszenie naszych po ogromnym Paryżu; ile że biedniejsi kończyli miasta lub przedmieścia zamieszkują. Przyczynić się do tego mogła, jak zwykle się dzieje, sama nowość rzeczy; a potem zwrot ku religii dość silny od lat kilku we Francji, a jeszcze drażliwą kwestią o wychowaniu nie przetracony. Wychodzący, zwłaszcza polacy, łatwo przyjmują wyobrażenia i usposobienia ludów pośród których mieszkają; tem bardziej przyjmują wszystko łatwo od Francuzów, nawet po części dobro i prawdę. Nadto kwestya domowa Towiańszczyzny, dzięki osobistości Mickiewicza który jej nadał ważność; napady obcesowe Towiańczyków na niejednego zatyłego w grzechu brata; argumenta ich *ad hominem* w żywe oczy miotane; wstrząsały nie jednym sercem i przynaglały umysły do oświecenia się w nauce Kościoła: każdy bowiem napastowany przez nowotników, przyznawał się do starej wiary przodków, choć jej nie znał, ani przepisów jej nie spełniał. Nareszcie Ojciec święty wystąpieniem swem publicznem, przeciwko prześladowaniu religii w państwie rosyjskiem, ułagodził umysły rozdrażnione mniemaną ekskomuniką za ostatnie powstanie.

Dopomagała też waga jaką rząd rosyjski przywiązywał do tego nabożeństwa i prześladowanie jakiego doświadczało ze strony ambasady rosyjskiej w Paryżu. Zaledwo bowiem powiedziałem kazanie *o rządach Opatrzności*, wnet ambasada rosyjska wystosowała notę dyplomatyczną do pana Guizot ministra spraw zagranicznych, skarżąc się: że kaznodzieja zelżył z ambony cesarza, że w kazaniu pełno było aluzji do Rosji, że podnieca ducha buntu, i obudza grzeszne nadzieje w Polakach, i t. d. Pan Guizot udał się z tem do arcybiskupa; arcybiskup przywoławszy mnie, kazał sobie podać objaśnienia na piśmie. Odpisał w treści: zem imienia cesarza ani razu nie wzmiankował, zem nie myślił czynić żadnych aluzji, wszakże aby uniknąć podejrzenia podobnego trzeba by chyba wyrzec się przytaczania proroków. Takie jest bowiem podobieństwo, między narodem polskim, a ludem Izraelskim oddawanym na czas za grzechy swoje, w ręce narodów niewiernych: że alluzye tkwią w gruncie samym rzeczy i tryskają samorodnie. Że nie naznaczam dnia, godziny, ani sposobu, w jaki się Bóg zmiłuje nad Polakami jeżeli się poprawią; ale jak mam tę nadzieję tak ją głoszę: inaczej musiałbym opowiadać Boga nie dającego się przebłagać pokucie, czego ani mogę, ani chcę i t. d. Pan Guizot odczytawszy me pismo powiedział: „*si ce n'est que c'est tout simple; il ne peut pas faire autrement.*” Ksiądz Fayette, naonczas proboszcz św. Rocha, później biskup Orleański, spotkawszy pana Guizot u królowej powiedział doń: „panie ministrze, cesarz Mikołaj powinien by wiedzieć że nie ma nic do czynienia w moim kościele. Zresztą mogę pana zaręczyć, że kaznodzieja nic pewno pochlebnego swoim rodakom nie mówił. Byłem na tem kazaniu, i choć język nie rozumiem, widziałem na twarzach słuchaczy że wcale nie byli pyszni z tego co słyszeli.” Tak się na razie skończyło. Kilka razy jeszcze pan Donei, naczelnik policji królestwa, oświadczał że znowu są na nas skargi i polecał ostrożność. W końcu jednak dodawał: „między nami mówiąc, nie lubię i ja Moskali i despotyzmu.” Nabożeństwo szło tak dobrze za łaską Bożą że w kilka miesięcy od jego zaczęcia kilkudziesięciu rodaków, zwyciężając ogromny wzgląd ludzki i wstyd fałszywy, przystąpiło publicznie do Stołu Pańskiego, a pierwszym z nich był ś. p. E. Jałowicki. Do kommuni Wielkanocnej przystępowało do stu i dwustu, a w liczbie ich ludzie wysoko na świeczniku emigracyjnym stojący; między pierwszymi którzy przykład zbawienny dali, miło

mi postawić generała Mycielskiego, księcia Adama Czartoryskiego, generała Zamoyskiego, i t. d. Nie słyhać też już było by który umierał bez Sakramentów świętych, co dawniej niestety dość często się zdarzało. Towiańszczyzna też odtąd, stanowczych nabytków wśród Polaków w Paryżu nie czyniła.

Ksiądz Semenenko w ciągu tegoż 1842-go roku, udał się do Poznania, gdzie ksiądz arcybiskup Dunin miał zamiar, powierzyć naszemu Zgromadzeniu swoje seminarium dyecezalne. Ugościł go najserdeczniej w pałacu swoim, ale nie mógł otrzymać u rządu by gość mógł pozostać w księstwie. Kilka nauk jakie mógł powiedzieć i gorliwe przesiadywanie w konfesjonale wywołało krzyk dzienników protestanckich że Jezuityzm zalewa prowincją. Zawiązawszy zatem stosunki osobiste z gorliwszemi duchownemi i świeckimi, wracał do Rzymu przez Paryż. W Brukseli miał rozprawę z Towiańskim którą opisał w przedmowie do książki swojej: *Towiański et sa doctrine*.

Korzystając z jego obecności w Paryżu i możliwości zastąpienia się na ambonie, postanowiłem zacząć wycieczki misyjne po liczniejszych zakładach w prowincyi. Wielki Post 1843-go roku poświęciłem Tuluzie gdzie bawiło stu naszych rodaków, a znalazłem wybornego pomocnika w Walerym Wielogłowskim: kilkudziesięciu braci wygnańców przystąpiło do spowiedzi i komunii świętej. Dowiedziałem się tam o propagandzie schizmatyckiej Mirskiego który sam zostawszy zaprzańcem dla postąpienia amnestyi, pociągnął licznych krewnych swoich mieszkających w Tuluzie do podobnego kroku. Wraz z Wielogłowskim uderzyliśmy na gwałt; i z tego powodu miałem za powrotem do Paryża kazanie *o wytrwałości*. Propaganda schizmatycka została przetrąconą a Mirski wracał sam jeden do Rossyi wielce się gniewając na mnie i na Zmartwychwstańców. Podobne missye odbyłem w ciągu lata w Tours, Angers, Beauvais, i t. d. a następnych lat w Brukseli i Londynie. W Brukseli miałem w liczbie słuchaczy zarazem Lelewela i generała Skrzyneckiego. Co do Londynu uproszony zostałem przez ś. p. księdza Brzezińskiego, kapelana emigracyi polskiej w tem mieście, abym go zastąpił podczas jego podróży do wód mineralnych. A że współcześnie emigranci nasi w Paryżu zamysłali posłać adres do O'Connell'a siedzącego jeszcze w więzieniu, coby mogło zaszkodzić emigrantom polskim wobec rządu angielskiego: ofiarowałem i dojechać do O'Connell'a i oświadczyć mu ustnie współczucie i uwielbienie Polaków dla jego osoby. Opatrzony listem polecającym od pana de Montalembert odbyłem tę wyprawę wraz i generałem Chłapowskim i synem jego Stanisławem, obecnymi naówczas w Londynie; oraz ze Stanisławem Koźmianem już dawniej osobiście znanym O'Connell'owi. Odwiedziliśmy wielkiego agitatora w więzieniu jeszcze ale już na wyjściu, gdzie przyjmował co dzień po kilkaset osób proszących o posłuchanie; a następnie zaproszeni przez niego odwiedziliśmy go na wsi w Derynan Abbey. Zdaje mi się że Stanisław Koźmian opisał tę wyprawę w swoich wspomnieniach z pobytu w Anglii.

W Poitiers tylko świeżo opuszczonym gnieździe centralizacyi demokratycznej znalazłem uorganizowany systematycznie opór. Wierni poleceniu danemu nam jeszcze przez ś. p. Bohdana Jańskiego aby starać się ich pozyskać Bogu, wraz po przybyciu do Paryża byliśmy w Wersalu dokąd się centralizacya była przeniosła. Nie wymagaliśmy by pokazywali wiarę której nie mieli; prosiliśmy tylko by zajmując się ludem polskim nie powstawali na wiarę tego ludu: ale niestety nie mogliśmy nic otrzymać, i jeden tylko Wysocki spokojnie z

nami mówił. Pismo ich *Demokrata* nieraz przeciwko nam wystąpiło. W 1845-ym roku żądali od nas byśmy odbyli żałobne nabożeństwo za księdza Sciegiennego Pijara który miał lud na panów podburzać i na Sybir wysłanym został. Odmówiliśmy pisząc, że Kościół błogosławi oręż na sprawiedliwą wojnę, ale nie błogosławi nożów na rzeź braci. Trzeba i wiedzieć że przed kilkoma laty jeszcze ksiądz Sciegienny żył na Sybirze i bardzo korzystnie nauczycielstwem się zajmował. Ale wróćmy do roku 1843-go.

Ksiądz Semenenko wracając do Rzymu znalazł miłego gościa w domu, w osobie księdza Aleksandra Jełowickiego. Szczegóły o swojej młodości i życiu na świecie aż do roku 1838-go opisał ksiądz Jełowicki w sposób bardzo zajmujący w drukowanych *Wspomnieniach* swoich. W jesieni 1838-go roku wszedł na ucznia teologii do *Collège Stanislas* opuszczonego już przez naszych pierwszych braci. Zmiana życia dawniej tak ruchawego na siedzące, natężona praca, bo obok kursów przełożył tak szczęśliwie złotą książeczkę o *Naśladowaniu Chrystusa Pana*, wpłynęły szkodliwie na jego zdrowie: śmiertelnie przechorował na tyfus, który silny jego organizm wstrząsł na długo. Po roku przeniósł się wraz z księdzem Kamockim (później misjonarzem św. Wincentego a Paulo) do seminarium Wersalskiego i tam w grudniu 1841-go r. na kapłana wyświęcony został: prawie współcześnie z wyświęceniem pierwszych nas w Rzymie⁶. Gdyśmy przybyli do Paryża, ksiądz Jełowicki pracował czynnie jako wikary przy parafii St. Cloud. Gorliwie walczył z poczynającą się Towiańszczyzną, i on to wydał autograf *Biesiady* podług oryginału otrzymanego od ś. p. generała Skrzyneckiego. Był na jednym z pierwszych moich kazań, o *prawdziwych i fałszywych cudach i prorocत्वach* głównie przeciwko Towiańszczyźnie wystosowanem. Tak niem był przejęty że z wielkiem rozrzewnieniem i większą jeszcze pokorą w zakrystyi mi dziękował. Gdyśmy wyszli wraz ze Stefanem Witwickim samotrzeć na przechadzkę, ten ostatni tak się odezwał: „księżę Aleksandrze, oto widzisz stworzył Bóg pośród nas zgromadzenie i widocznie błogosławi; po co szukać obcych bogów, po co chodzić samopas; trzeba skupiać siły.”

Ksiądz Jełowicki odplacił się Witwickiemu podobnem zapytaniem; który nie mówiąc że tego nie uczyni tłumaczył się swoim stanem zdrowia. W jesieni tegoż roku pojechał ksiądz Jełowicki do Rzymu w charakterze wysłańca, albo posła księdza arcybiskupa Dunina, mając tak przystęp otwarty do Grzegorza XVI-go, i łaskawie od niego przyjmowany. Siadywał w konfessyonale w kościele francuzkim i pracował piórem, modlił się i czekał. Emigracya uparta zawsze w podejrzywam księdza Jełowickiego o widoki osobiste, głosiła że pojechał do Rzymu po fiolety; a on tymczasem myślał o wejściu do jakiego Zgromadzenia. Wiele powodów ciągnęło go do jakiego dawnego i ustalonego zakonu; nie mógł jednak spokojnie naszego pominąć i bił się wciąż z myślami. W jesieni tegoż roku, bawiąc dla kąpieli morskich w Neapolu, otrzymał u spowiednika swego pozwolenie, proszenia raz i drugi Pana Boga o znak jaka Jego wola, aby raz położyć koniec bolesnej niepewności. I raz, i drugi znak Boży wskazywał mu nasze Zgromadzenie, nie śmiał się już zatem dalej opierać. Gdy jednak nazajutrz wyszedł ze Mszą świętą do ołtarza, tak mu żywo stanęło w pamięci ile matka jego przeboleła gdy zostawał księdzem świeckim, i ile przecierpi gdy się dowie że zostaje

⁶ Patrz *Pamiętka święceń pierwszych kapłanów polskich na wygnaniu*, przez niego wydana.

zakonnikiem, że znowu gwałtowna walka zawrzała w jego duszy. W tem słyszy kapłana przy bocznym ołtarzu czytającego z Ewangelii te słowa: „kto się nie wyrzeknie dla mnie domu, matki, siostry, brata itd. nie jest mnie godzien.” Ewangelią tę, i to jeszcze przez pomyłkę, czytał Ksiądz nasz Józef Hube, przypadkowo przybyły do Neapolu. Wziął te słowa jako z nieba do siebie powiedziane; obiecał Panu dalej się już nie wahać; wraz za powrotem do Rzymu prosił ks. Hubego o przyjęcie, i zaczął nowicyat w domu naszym. Wydawnictwo katolickie Jełowickiego przeszło w ten sposób pod zarząd Zgromadzenia.

W roku 1844-ym czy 45-ym otworzyliśmy byli w Paryżu dom przytułku dla nowoprzybywających emigrantów na dwadzieścia osób. Uczyli się języka francuzkiego, rysunku linearnego, początków matematyki, historyi i geografii polskiej. Zaprowadzono warsztaty dla kilku łatwiejszych rzemiosł; inni chodzili na naukę na miasto. Wszakże te wyroby znajdowały jedynie pokup pomiędzy mało licznymi rodakami; Francuzi bogiem taniej je po więzieniach i u wprawnych prywatnych rzemieślników dostawali. Populacja ta była przechodnia, psuła wiele materyału nim się czego poduczyła, a poduczywszy zakład opuszczała: tak że wciąż trzeba było wydatki z jałmużn co się w końcu dobrodziejom przykrzyć zaczęło. Nadto młodzież tę rozpolitykowaną podburzano wciąż przez dzienniczki emigracyjne i agentów naumyślnie przysyłanych; trudno było nie już do nabożeństwa ale do karności doprowadzić pomimo poświęcenia i starań zacnego kapitana Orłowskiego dozorczy zakładu: zakład więc został w końcu zwinięty. Przez ciąg wszakże dwuletniego swego trwania, przyszedł w pomoc dwustu przeszło wygnańcom, jak zdanie sprawy w *Dzienniku narodowym* wykazuje, a taniej niezawodnie jak gdyby się pojedynczym do rąk dawało jałmużnę. Łóżka nawet i sprzęty się nie zmarnowały, bo te które się całkiem nie zużyły zostały darowane *szkółce wojskowej*, rychło potem przez zacnego kapitana Korzeniowskiego założonej.

Wszakże bracia nasi świeccy, jako to Witwicki, Zalescy, Wielogłowski, Waleryan Chełchowski, Karol Królikowski, Władysław Laskowicz i t. d. (niektórzy z nich założyli później prześliczne *Towarzystwo czci i chleba*) na razie rozebrawszy między siebie różne dzielnice miasta, donosili nam o chorych, po szpitalach i domach prywatnych leżących, tudzież o biednych. Temi ostatnimi zajmował się najgorliwiej przez lat wiele ksiądz Karol Kaczanowski, zanim pod nazwą *św. Kazimierza* powstała *konferencja polska Towarzystwa św. Wincentego a Paulo*, za sprawą Waleryana Kalinki, któremu, między młodszymi łatwiej powiodło się utworzyć, i przez lat 10 utrzymać grono, jakiego ze starszych zawiązać nie było podobna.

Zajmując się głównie Polakami nie mogliśmy jednak odmówić kazań i do Francuzów, na prośby proboszczów miejscowych już w Paryżu, już podczas wycieczek i podróży na prowincyi. Zanim też założono *Oeuvre pour les Allemands* arcybiskupstwo przysyłało do nas Niemców i Włochów do spowiedzi; spowiadaliśmy ich także po szpitalach odwiedzając naszych chorych rodaków.

Pod koniec 1845-go roku zaszła wewnątrz Zgromadzenia pewna zmiana. Ksiądz Semenenko od pewnego już czasu cierpiał na piersi, a do tego na pewien stan ociężałości wyraźnie chorobliwy, i wkrótce przywiedziony był do ostateczności. W takim stanie nie mógł dalej rządzić Zgromadzeniem; usunął się zatem, wyjeżdżając z porady lekarza naprzód do

południowej Francji a później do Tunisu. Na miejsce jego obrony został przełożonym ksiądz Kaysiewicz, dla dopełnienia zbywających dwóch lat przełożenia, albo do następnej kapituły. Wyjechał on do Rzymu polecając missyą paryżką głównie Ojcu Hubemu.

ROZDZIAŁ III.

Przełożenie ks. Hieronima Kaysiewicza (1845-1847)

Przez tych lat dwa prace nasze misyjne szły zwykłym torem. W Paryżu okrom emigrantów uczęszczali na nabożeństwo polskie rodacy z kraju coraz w większej liczbie przybywający do Paryża. W Rzymie, po wstąpieniu mianowicie na tron Piusa IX-go, licznie zjeżdżali się rodacy, i kościółek św. Kludyusza był dosłownie zapelniony. Jubileusz ogłoszony przez Ojca świętego Piusa IX najpobożniej obchodzili; a co Wielkanoc były bierzmowania na które zjeżdżał kardynał Franzoni, i przeto sam siebie biskupem polskim nazywał. By zatem nie powtarzać się, powiemy raczej nieco obszerniej o kilku ważniejszych wypadkach, które zaszły w ciągu tych lat dwóch: a najprzód o ś. p. Matce Makrynie Mieczysławskiej.

Dnia 10-go września 1845-go roku przybyła ona do Paryża z listami polecającymi od generała Chlapowskiego, Jana Koźmiana, i Jmc. księdza Przyłuskiego arcybiskupa Poznańsko-Gnieźnieńskiego, który pierwszy protokół urzędowy z opowiadań jej spisać kazał. Nietylko między Polakami ale i pomiędzy Francuzami zaczęła się rozchodzić wieść o dziwnym męczeństwie jakie przez lat siedem wraz z wiernymi Unii Bazylianek wycierpieć miała. Zakonnice Serca Jezusowego, chciały ją też widzieć, i wyjeżdżającej z powracającym do Rzymu księdzem Jełowickim, dały listy polecające do domów swego zakonu a najprzód w Lyonie. Tymczasem wiadomość rozchodziła się po całej Francji już to przez listy prywatne, już przez dzienniki: tak iż gdy przybyła do Lyonu, powóz kardynała arcybiskupa de Bonald czekał na nią. Zawieziono ją do klasztoru Serca Jezusowego; rychło została otoczona mnóstwem pobożnych osób które ją chciały widzieć i słyszeć szczegóły jej cierpienia: ks. Jełowicki był jej tłumaczem. Na prośby proboszczów, a za pozwoleniem arcybiskupa, musiał to samo opowiadać z kolei po kościołach, każąc nieraz trzy i cztery razy na dzień po godzinie i więcej. Ksiądz Jełowicki, który cierpiał na zupełne wyczerpienie głosu, uczył teraz nagle piersi swe jakoby odnowione, tak iż go tysiące słyszeć mogły. Wzmocniło to jego wiarę w prawdziwość opowiadań i świątobliwość Matki Makryny, której modlitwom niespodziane swe uzdrowienie przypisywał, ile że mu mawiała: „mów ojciec, a nic się nie bój.” Przy wychodzeniu z kościołów podarto nieraz jej welon na głowie na relikwie. Zapał ten rosł po drodze, bo ludność była południowa, wierząca; nareszcie doszedł do najwyższego stopnia w Marsylii: tak że nie łatwo przyszło księdzu Jełowickiemu, zachować Matce habit cały w przeprowadzaniu jej do statku.

Rozgłos tego wszystkiego dochodził do Rzymu przez pisma francuzkie. Za przybyciem do miasta świętego, ksiądz Jełowicki umieścił wielebną Matkę w Sacrécoeur, a sam udał się natychmiast do kardynała Lambruschiniego Sekretarza Stanu, prosząc o posłuchanie u Ojca świętego. Kardynał obiecał je otrzymać i sam odwiedzić Matkę, a na razie kazał ją pocieszyć wiadomością otrzymaną od nuncjusza Wiedeńskiego, o mniemanem przybyciu do Galicyi trzech innych Sióstr za nią podążających: co się jednak nie sprawdziło. Po dniach kilku udała się Matka Makryna do Watykanu, w towarzystwie przełożonej zakonnicy Serca Jezusowego i księdza Jełowickiego: kardynał Mezzofante jako świadomy języka polskiego był także obecny. Po wysłuchaniu z wyraźnym wzruszeniem długiego sprawozdania Papież zawołał: „siedem lat, siedem lat, powtarzał, i tyle cierpiały, a ja nic nie wiedziałem. Dziwna by rzecz była, dodał, gdyby się cesarz w moim przedpokoju spotkał ze swoją ofiarą.” I dał polecenie księdzu Jełowickiemu, aby spisał zeznania Matki. Ksiądz Jełowicki zaprosił na pomocnika i świadka Ojca Ryłkę S. J., naonczas rektora Propagandy, którzy przybrawszy jeszcze księdza Lejtnera Lwowianina, uścili się ze swego zadania na dzień przed przybyciem cesarza do Rzymu. Zarzucano im pomieszczenie tylu nadzwyczajności w których i pamięć Matki i jej wyobrażenia mogły być powodem niedokładności. Czy niedokładności zresztą drobne zostały dowiedzione nie umiem powiedzieć; to tylko pewna że sprawozdawcy dopełnili swego obowiązku, spisując co słyszeli. O. Ryłko, bardzo lubiony od ś. p. Grzegorza XVI-go dla swoich zdolności, gorliwości apostolskiej i dowcipu, przypadając do stóp papieżkich rzekł: „Ojcze święty, nigdy cię o nic nie prosił choć mnie nieraz do tego zachęcałeś; teraz cię błagam, abyś stanął mocno i w obronie Kościoła polskiego wobec jego prześladowcy.” Pod takimi wrażeniami przyjął Grzegorz XVI-sty cesarza Mikołaja: o tem spotkaniu zdał sprawę ś. p. kardynał Wiseman w swoich wspomnieniach o czterech ostatnich papieżach. Ponieważ jednak to dzieło mianowicie w Polsce mało jest upowszechnione albo całkiem nieznanne, i my sami go nie posiadamy; a jednak ważny ten wypadek dziejowy nas Polaków szczególnie obchodzi; sądzę że czytelnicy moi chętnie pozwolą abym przerwał rzecz o Matce Makrynie i opowiedział spotkanie się cara Mikołaja z Papieżem podług współczesnych wrażeń i zapisek moich.

Cesarz Mikołaj, ufający wiele osobistemu wpływowi swemu, rad był wstąpić do Rzymu wracając z Neapolu (gdzie po części dla zdrowia żony swojej bawił): tem bardziej, że podróż tryumfalna Matki Makryny przez Francją do Rzymu i krzyk powszechny oburzenia w Europie rozgłoszeniem jej cierpień wywołany (bo była jeszcze wtenczas w Europie opinia publiczna, i była siłą z którą się sam Mikołaj liczyć musiał), że mówię fakt ten, wkładał nań obowiązek przekonania się o nim albo zaprzeczenia mu swoją obecnością. Grzegorz XVI trafił się niepomału otrzymawszy zapowiedź tych odwiedzin cesarskich: „czego chce odemnie ten człowiek, mówił z goryczą; czy przybywa urągać się we własnym moim domu starości mej i bezskutecznym skargom moim?” W skutek tych wrażeń zaczął nawet nieco na zdrowiu szwankować. Wszakże w chwili stanowczej dał mu Bóg siłę potrzebną.

Co się działo na tem posłuchaniu trudno dosłownie opowiedzieć: bo tylko świątobliwy kardynał Acton jako tłumacz był samotrzcem obecnym; a przysięgłszy na milczenie nic o tem nie wyjawiał przynajmniej za życia Grzegorza XVI. Wszakże Ojciec święty tak był szczęśliwy z dopełnienia przykrego obowiązku który mu oddawna, jak się sam wyrażał, ciężył

kamieniem na sercu; tak był święcie dumny iż „mówił do cesarza jak na papieża przystało, *li parlai da papa*,” iż się z tem częściowo to przed jednym to przed drugim wymówił. Z wielką tedy godnością, okiem i głosem pełnymi łez, zapytał cesarza: dla czego prześladował Kościół Boży? dla czego uciemiał sumienia swoich polskich poddanych, a synów jego? A gdy cesarz odparł, że to były potwarze jego nieprzyjaciół, a mianowicie emigrantów polskich, a bogdaj czy nie mianował księży od św. Klaudyusza; Ojciec święty mówił dalej: „mam tu zeznanie żyjącego świadka, mógłbym go postawić wobec ciebie, ale że jeden świadek nie wystarcza więc tego nie uczynię. Ale oto własne twoje rozporządzenia:” to mówiąc przesunął mu przed oczyma długi szereg ukazów prześladowczych, i ciągnął dalej: „ty panujesz doczesnie nad 60-ciu milionami poddanych, ja mam ich tylko trzy; ale za to mam 200 milionów duchownie poddanych. Jam ci nic nie zawinił, na żadne prawo twoje nie nastąpił, a patrz jak ty ze mną i z Kościołem katolickim się obchodzisz. Pamiętaj że jest wyższy Pan i Sędzia nad obu nami. Śmiertelni jesteśmy; ja starzec, jedną stopą już w grobie, gotuję się rychło być powołanym przed Sąd Najwyższego; ale i ty tam staniesz, i będziesz się musiał sprawiać z postępów twoich.” Cesarz był wyraźnie zmieszany, pierwszy raz w życiu prawdę posłyszał, i prawdę wygłoszoną z powagą. Miał całując dłoń papieżką zapewniać, że o wielu rzeczach nie wie, w wielu jest oszukany; ale że zaraz po powrocie do stolicy swojej wyznaczy kommissyą, i wszelkie nadużycia zbada i naprawi. Wyszedł z posłuchania spocony, z wysokimi rumieńcami na twarzy; przebiegł sale, korytarze, schody, zamyślony i roztargnięty: minął nawet był swój powóz. Rozpowiadano w Rzymie że ostro wyrzucał posłowi swemu panu Buteniew że go nie ostrzegł o takim usposobieniu kuryi rzymskiej. I kardynał Lambruschini Sekretarz Stanu niemniej się godnie znalazł. Wysokiego wzrostu, poważnej postawy, wszedł na pokoje cesarskie jakoby basza o trzech buńczukach, (jak się z gniewem świta cesarska wyrażała); czarnem, dużem, bystrem okiem, wytrzymał wzrok carski, którego poddani jego wytrzymać nie śmieli. Mikołaj miał rzec do kardynała: „panie kardynale wiem żeś moim wrogiem.” - „Nie o to teraz chodzi, miał odeprzeć kardynał; Wasza Cesarska Mość przyzwała mnie celem mówienia o sprawach Kościoła w jego państwach”; a rozłożywszy papiery, czytał do czego Rossya traktatami i konkordatami, już dla prowincyj, już dla Królestwa się zobowiązała, co posłowie jego w spisanych na razie notach i protokółach obiecywali; a jak to wszystko fakta i ukazy cesarskie obalały itd.

Spółeczeństwo rzymskie zimno i godnie się zachowało. W kościele Ara Coeli Franciszkanin polski i emigrant pokazywał cesarzowi grób św. Heleny i demonstrował że kościół ich na kościach męczenników stoi. Chcącemu wjechać do Colosseum (co niewolno) żołnierz bagnet nadstawił: za co został wynadgrodzony. Niedługo więc bawiąc Mikołaj opuścił Rzym dnia 17go Grudnia 1845 roku. Jakby na dobitkę podoficer papieżki, który kłusował przy powozie cesarskim przez dwie stacye pocztowe z dobytym pałaszem i nabita bronią był Polak, Piotrowski, dezertor z wojska rossyjskiego wyznaczony do téj służby nie rozmyślnie, ale jako dobry jeździec. Dowiedział się o tem hrabia Orłów na stacyi, szukając tłumacza do rozmówienia się z pocztylionami.

Wracamy teraz do relacyi o Matce Makrynie. Relacya ta przez nieporozumienie została ogłoszona drukiem i wywołała żwawą polemikę. Biskupi francuzcy zaczęli ogłaszać listy pasterskie. Nie na rękę to było Stolicy Apostolskiej której car Mikołaj obiecał był

uroczyście powstrzymać wszelki ucisk i prześladowanie. Dowiedziałem się na pewne, iż ambasada rosyjska ma urządowanie zażądać wydalenia księdza Jełowickiego z Rzymu: że rząd papieżki tego nie uczyni, ale z drugiej strony niechciałby odmowną odpowiedzią zaszkodzić rozpoczętym negocjacjom o konkordat z Rosyją: uznałem zatem za rzecz stosowną usunąć na czas jaki księdza Jełowickiego z Rzymu. 28go Kwietnia 1846 roku i chał on zatem do Francyi, każąc po francuzku w Montpeliers, Tours wielu innych miastach i Ostendzie (gdzie też dał missyę Polakom dla kąpieli morskich zgromadzonym) wspominając zawsze i o Matce Makrynie.

Wszakże rząd rosyjski nie mógł się dalej zamykać w potępiającem go milczeniu. Pan Buteniew poseł jego rozdawał w Rzymie autografowane noty bez podpisu datowane Petersburga: Styczeń 1846 r. Czepiając się zmiany litery w imionach własnych i tym podobnych kruczków, zupełnie przeciwny zamierzonemu sprawiły skutek. Pan Rossi poseł francuzki człowiek bystry a zimny, powiedział przejrzawszy te szpargały: „dotychczas wątpiłem o prawdziwości zeznań Matki Makryny, ale teraz zaczynam wierzyć na dobre”. Ojciec Ryłło znający wiele miejscowości na Litwie i Żmudzi, i głęboki znawca serca ludzkiego, zapytywany o zdanie, odpowiadał: „bądźcie spokojni, zachodziłem Matkę ze wszystkich stron, ze dwieście różnych pytań jęj zadałem, na wszystkie mi dokładnie odpowiedziała”. Zakonnice Serca Jezusowego dawały świadectwo jej pobożności. Niejeden akatolik z powodu jęj wszedł do kościoła. Ale tem bardziej gdy w jesieni tego roku, ksiądz Blanpin, missyonarz francuzki w Afryce, od trzech lat mimo wszelkich środków lekarskich słowa przemówić nie mogący, odzyskał głos w końcu nowenny, którą wraz z Matką odprawiał, przed ulubionym jej obrazem *al fresco* na korytarzu *Mater admirabilis* przez nią zwanym: liczba osób uciekających się do niej w różnych potrzebach niezmiernie się powiększyła nie wyjmując samychże dostojników Kościoła. Ojciec św. wtenczas, mając ten fakt zaświadczony sobie przez księdza Blanpin i dwóch biskupów śp. księdza Luquet biskupa Hezebonu *in partibus*, i księdza Pompallier biskupa z Oceanii, których ksiądz Jełowicki przed Papieżem stawił, pozwolił urządzić kapliczkę na tem miejscu z przywilejem odprawiania tam nabożeństwa, nadał odpustami, sam ją już przedtem w dzień św. Jana Kantego nawiedziwszy. Ksiądz Jełowicki otrzymał wtedy od brata swego śp. Edwarda ofiarę na urządzenie tej kapliczki. Inne datki jakie od obcych osób Matce Makrynie dawane były „zapisywał starannie (jak dotychczas istniejące rachunki poświadczają), i oddał je później księżnie Zofii z Branickich Odescalchi, która dodawszy swego i przez siebie zebranych pieniędzy, zakupiła później i wyrestaurowała obecny klasztor z kościółkiem Bazylianek polskich w Rzymie. Co więcej ksiądz Jełowicki głównie się przyczynił do zapewnienia dalszego bytu temu klasztorowi, namówiwszy jedną majątną Polkę, krewną swoją dziś już zmarłą⁷, chcącą fundować klasztor pod rządem rosyjskim, by raczjęj przeznaczyła te pieniądze na klasztor dla Matki Makryny w Rzymie, gdzie nie ulegnie moskiewskiej konfiskacie.

Ksiądz Jełowicki był zatem i duchownym i doczesnym dobrodziejem Matki Makryny: była mu też ona szczerze wdzięczną. Zaszedł wszakże wypadek, który sprowadził pewne nieporozumienie. Roku 1848 Matka Makryna pod wpływem wyobrażeń staro - szlacheckich,

⁷ Śp. Wiktoryą z Orłowskich Sobańską.

miała zupełnie niespodzianie do licznie u nich zgromadzonych rodaków wcale niestosowne przemówienie. My wszyscy i ksiądz Jełowicki, dowiedziawszy się o tem szczerześmy to jęj przyganili: a ksiądz Jełowicki usunął się od dyrekcyi Matki Makryny. Rychło potem wysłany został dla objęcia missyi polskiej w Paryżu którą do obecnej chwili prowadzi. Wszakże ile razy wracał do Rzymu największe mu pokazywała zaufanie i wdzięczność. Jeszcze w roku 1864 uprosiła go aby dał rekolekcyje w jęj klasztorze.

Słyszeliśmy jednak że niekiedy się na nas żaliła; że z pewnością tego nie wiemy: a do świadectwa nieboszczki odwołać się już niepodobna. Mówiliśmy o jęj stronach dodatnich, musimy wyznać że miała i ujemne. Możemy i wiedzieć nie ubliżając jęj dobrej sławie. Będąc już jak tuszymy u Przedwiecznego Źródła wszelkiej prawdy, woli dziś i ona niewątpliwie szczerą prawdę niż przesadzone pochwały. Pewni zresztą jesteśmy, że nawet w obec i owego sądu nic ona nie straci a raczej zyszcze na bezstronnem ocenieniu. Żywa jej wiara i niezachwiane męztwo w prześladowaniach na najwyższe zasługują uznanie. Wszakże dla dobra zapewne jej duszy, dla utrzymania jej w trudnej cnotcie pokory. Była to bardzo bogata natura, odsłonił Bóg przed ludźmi niektóre jej ułomności, bardzo bogata natura, ale brakło jej wyższego dud wykształcenia, którego zresztą nabyć nie miała sposobności. Wrodzona żywość charakteru nie pozwalała jej ważyć statecznie słów swoich; a rządzenie się głównie sercem i wyobraźnią (jak to u nas nie rządkiem nawet wyżnych), usposabiało ją do przywidzeń. Czasem sny i marzenia własne brała za objawienia z nieba, i za takowe je podawała. To wszystko dawało nieraz i niejednemu powód do niekorzystnych o niej sądów: jak inni znowu, w drugą wpadając ostateczność, każdego jej słowa jak wyroczeni słuchali. Stawiało to w trudnym położeniu kapłanów, jęj doradców i przyjaciół, i zmuszało ich nieraz do upomnień. Działo się to jednak zawsze w granicach miłości chrześcijańskiej, a Matka, ile razy swój błąd poznała, szczerze się zeń upokarzała. Tyle niech starczy, co do stosunków naszych ze śp. Makryną Mieczysławką.

Drugim wypadkiem dość ważnym z tej epoki jest przybycie OO. Bazylianów polskich do Rzymu. Że rzecz dla publiczności może być zajmującą, należy bowiem do dziejów Kościoła naszego, mając nadto pod ręką dokumenta autentyczne, pozwolimy tu sobie nieco obszerniej o niej powiedzieć.

Roku 1842, śp. arcybiskup Dunin polecił księdzu Jełowickiemu, aby wyjednał pewne dyspensy na pobyt w Poznańskim „dla uciśnionych Bazylianów tu (do Poznania) z pośród prześladowania schronionych”, jak się wyraża w swoim liście z 20go Grudnia tegoż roku: chodziło głównie o pozwolenie dla nich odprawiania Mszy św. w obrządku łacińskim. Nie myśleli oni wtedy jeszcze, jak ten list dowodzi, o Rzymie.

W relacji współczesnej księdza Jełowickiego o posłuchaniu swém u Grzegorza XVI. z 20go Czerwca 1843 roku, czytamy co następuje: „przypomniałem Ojcu św. dwóch Bazylianów od prześladowania moskiewskiego do Poznania schronionych, (tu nadmienił o owych żądanych dyspensach) lecz dodałem: „iż może by się Ojcu św. raczej podobało, kazać oddać tym Ojcom kościoł w Rzymie do polskich dawniej Bazylianów należący, a który jako opuszczony, został oddany, a raczej pozwolony przez Propagandę Missyonarzom francuzkim. „Czy są tu?” zapytał Ojciec św., pragnąc wyraźnie aby tak było. Po jaśniejszem wytłomaczeniu się mojem polecił mi abym oświadczył Monsignorowi Vizzardelli, aby się

zaraz zajął tym interesem”. A więc pierwsza myśl sama wrócenia kościółka Matki Boskiej Zyrowieckiej Ojcom Bazylianom, należy się księdzu Jełowickiemu, a następnie Zmartwychwstańcom: w tym samym bowiem roku (1843) jakeśmy widzieli, ksiądz Jełowicki wstąpił do Zgromadzenia. Ojciec Dąbrowski jednak i jego socyusz nie spieszyli się do Rzymu, i dopiero w lat trzy, gdy im rząd pruski nie pozwolił bawić ani w archidiecezyi Poznańsko-Gnieźnieńskiej, ani nawet w dyecezyi wrocławskiej, jedno nie umiejących po niemiecku nad Ren wysyłał, zgłosili się do Rzymu przez świątobliwego biskupa suffragana księdza Dąbrowskiego, którego pamięć po dziś dzień jest w błogosławieństwie w całej Wielkiej Polsce. Ksiądz Jełowicki jako powiernik Archidiecezyi w Rzymie był w korespondencji nietylko ze samym Arcybiskupem ale i z jego Suffraganem. Ten ostatni pisał doń polecając OO. Bazylianów. Oto list jego z dnia 26go Października 1846 r.

Kochany księżu Alexandrze ! „.....W swoim więc tułactwie do tego klasztoru⁸ chcieliby się dostać. W mniemaniu zaś że mogę im dopomódz i tam przyjęcie wyjednać, złożył u mnie ksiądz prowincyał mój imiennik prośbę, którą tu dołączam. Ja zaś, któremu na chęci nie zbywa, tylko władzy niedostaje, jak zwykle do kochanego księdza Alexandra o pomoc się udaję w mocnem przekonaniu: że gdy w połączeniu księża Alexandr, Hieronim i Piotr po wezwaniu Ducha św. się naradzą, niezawodnie tam przytułek nieszczęśliwym a godnym lepszego losu wyjednają. Ten jest cel tej prośby, naprędce, trzęsącą się jeszcze od słabości ręką kreśloną. Racz ukochany księżu Alexandrze uczynić co możesz. Wiem że Ci na chęci nie zbywa, a z dobroci sprawy wnoszę, że ją Bóg dobrym skutkiem uwieńczy. Polecając Ci zaś tych nieszczęśliwych kapłanów nie przepominam o sobie, boć miłość od siebie się poczyna. A o tem pewnie nie wątpisz, że z powziętą raz do Niego miłością, przywiązaniem i szacunkiem pójdę do grobu; jako z całego serca kochający Wasz brat w Chrystusie, którego łaska niech będzie zawsze z Wami”.

(podpisano): Ksiądz *Dąbrowski*
suffragan Poznański.

Na ten list odpisał ksiądz Jełowicki pod dniem 12go Listopada 1847 roku: „Ojcowie Bazylianie Dąbrowski i Krajewski przybyli do Rzymu temu miesiąc, o niczem nie uprzedziwszy; bo gdy przez ośm miesięcy po odebraniu wezwania przyjechania do Rzymu nie zgłosili się; myśleliśmy że już nie przybędą. Daliśmy im gościnność u siebie i prosimy dla nich o cierpliwość u Boga, bo reszta się z łaski Bożej znajdzie”.

Ponowił wnet starania swoje, i był u Ojca św., już Piusa IX., wraz z kardynałem Franzoni prefektem Propagandy, przedstawiając Mu dwóch Ojców Bazylianów. Ojciec św. gotów był zwrócić im kościół z klasztorkiem, który ambasada rosyjska z niewielkiem uposażeniem darowała była Propagandzie. Ale kongregacya Propagandy rozpatrzywszy się we wszystkich szczegółach tej sprawy, i po przedstawieniu ich Ojcu św.; ograniczyła się na zabezpieczeniu utrzymania obu tym Ojcom i wyznaczeniu mieszkania przy ich kościele, na najwyższem i jedynem dobrem pięttrze tego klasztoru: a to z następujących powodów:

⁸ Wzmiankowanego po-Bazylińskiego *Madonna del Pascolo* (N. P. Zyrowieckiej).

1) że kościół był w ręku zgromadzenia francuzkiego, które go obsługiwało z wielkiem zadowoleniem okolicznej ludności; i że wypadło przed oddaleniem wynaleść dlań inny kościół;

2) że Ojcowie Bazylianie nie umieli po włosku i przeto na razie Zgromadzenia tego zastąpić nie mogli;

3) że Propaganda chciała się przekonać, czy ci dwaj Ojcowie potrafią odnowić swoje Zgromadzenie.

Tymczasem Ojciec Krajewski tęskniąc do życia konwentualnego, skończył na przeniesieniu się do Lwowa, gdzie świątobliwie żywota dokonał. Potrzebny był zdolny Bazylianin do kolegium św. Athanazego (grecko-sławiańskiego); a obiecany Propagandzie przez księdza biskupa Dąbrowskiego w osobie Ojca Pirogowicza, do Rzymu nie przybył. Para młodych ludzi weszła była do nowicyatu, ale żaden się nie utrzymał. Propaganda osądziła zatem, że położenie obecne wystarcza dla samego tylko i sądziwego już Ojca Dąbrowskiego.

W lat wiele później, kiedy Stolica Apostolska, wskutek długich próśb i przedstawień naszych rodaków (w czym i my braliśmy udział), uwierzyła nareszcie w możliwość sprowadzenia ostatków Bazylianów i odnowienia ich w Rzymie; poleciła by ich zawezwać: i oświadczała się (sami to z ust kardynała Antonellego słyszeliśmy), że na ten cel wyznaczy jaki przestronny klasztor z ogrodem sposobnym do życia konwentualnego, nie zaś *Madonna del Pascolo*, przydatny jedynie na to, na co był przeznaczony: na mieszkanie kilku zakonników, na prokurę, albo agencją Zgromadzenia. W skutek takiego oświadczenia pisaliśmy na wszystkie strony, ale żaden staruszek Bazylianin, za granicę wynieść się już nie chciał. I zdarzyło się, co się nieraz zdarza, że nasi szturmują lata całe o co z gorączkową natarczywością: nareszcie Rzym gotów przystąpić do dzieła, a tu nas Polaków niestać na materyał.

Wracamy teraz znów do początków panowania Piusa IX. Wszyscy cisnęli się do stóp jego, każdy chciał mu miłość swoją oświadczyć, i co tylko miał pod sercem wypowiedzieć. I ja też prosiłem o posłuchanie; ile że w wskutek komisji istotnie naznaczonej w Petersburgu za powrotem cesarza Mikołaja, pan Błudow wysłany do negocjowania konkordatu ze śp. Grzegorzem XVI., przybył do Rzym na sam początek panowania Piusa IX., wraz z przybranym mu do pomocy prawnikiem, panem Romualdem Hube, Radcą Stanu a bratem naszego księdza Józefa.

Aby pan Błudow nie zaskoczył Ojca św., nieobeznanego jeszcze z kościelną kwestią polsko-rossyjską, przygotowałem dość obszerny memoriał, w którym dla przekonania się o szczerości intencji rządu, radziłem Stolicy Apostolskiej domagać się pozwolenia powrotu do Kościoła, unitom siłą lub zdradą przyciągniętym do schyzmy. Radziłem dalej domagać się wypuszczenia na wolność żyjących jeszcze po klasztorach moskiewskich Bazylianów i kapłanów unickich. Nareszcie upomnieć się o stale rezydującego nuncjuszu papieżkiego, jeżeli nie w Petersburgu to w Warszawie.

Że jednak zapewne na to rząd rossyjski nie przystanie, wypadnie wybrać Rzymowi między zerwaniem zupełnem a dalszem temporyzowaniem. W pierwszym razie nie pozostaje nic innego do czynienia prócz ogłoszenia Rossyi w stanie missyi. Obok gotowości naszego małego Zgromadzeńka na usługi Stolicy Apostolskiej w tym i w każdym razie, musiałem

sumiennie oświadczyć, iż misjonarstwo w Rosyi trudniej by się daleko udawało niż w Chinach samych, a to dla sieci policyjnej rozciągniętej po całym kraju, obejmującej wsie i dwór każdy. Że wprawdzie wysłańcom politycznym udaje się ukryć czas niejaki pod fałszywymi nazwiskami, z fałszywymi paszportami i za pomocą różnych wybiegów: ale że kapłani tych środków używać nie mogą, ukrywanie się dłuższe misjonarzy po ludzku jest niepodobne, mianowicie w prowincjach zabranych gdzie katolicy są nieliczni, i miasta tylko i dwory szlacheckie zazwyczaj zamieszkują.

Pozostaje więc temporyzowanie, i zapewne Rzym tej drogi trzymać się będzie; w takim razie wypada się starać:

- a) o biskupów jeżeli nie doskonałych to przynajmniej prawowiernych;
- b) o bardziej kanoniczne urządzenie konsystorzów i seminariów;
- c) o otworzenie nowicyatów zakonnych, szczególnie dla zakonów żebrzących;
- d) domagać się erygowania biskupstw dla Syberyi, tudzież dla Kaukazu i prowincyj południowych;
- e) w każdym razie, dla ożywienia wiary i powstrzymania propagandy schyzmatyckiej wypadałoby beatyfikować Wielebnego Andrzeja Bobolę i kanonizować Błogosławionego Jozafata Kuncewicza;
- f) podnieść i rozwinąć kolegium greckie już w Rzymie istniejące i przetworzyć je w kolegium grecko-sławiańskie;
- g) ożywić i przywiązać do Stolicy Apostolskiej duchowieństwo unickie w Galicyi i w Węgrzech;
- h) nareszcie postarać się o misjonarzy obrządku sławiańskiego dla tylu milionów Sławian schyzmatyków w Turcyi, których rząd turecki ochotnie widzieć będzie.

Te i tym podobne myśli, już to głównie w tym memoryale, już w dodatkowych notach, podawaliśmy Stolicy Apostolskiej. Kto czytał konkordat przypomni sobie, że tyle mniej więcej zdołał Rzym otrzymać, a między innymi ustanowienie nowego biskupstwa Chersońskiego (obecnie terespolskiem zwanego) z koadjuturą Saratowską.

Miałem szczęście złożyć ten memoryał w ręce samego Ojca św. na posłuchaniu dnia 19go Sierpnia 1846 roku, a kopią jego doręczyłem później kardynałowi Gizzi Sekretarzowi Stanu. Ojciec św. zapewne przez kardynała Ferretti i Monsignora Brunelli korzystnie dla nas uprzedzony, nietylko ze zwykłą swoją łaskawością memoryał przyjął, ale nadto pochwalił czystość i porządek służby Bożej w naszym kościele, dodając, „ale za to dom macie niegodziwy.” Nie zdało się stósownem, korzystać z podanej sposobności i prosić o dom lepszy, owszem odpowiedziałem: „iż dla miłości kościoła znosimy takie mieszkanie, czekając aż Bóg sam lepszym opatrzy”: i tak po dziś dzień biędujemy. Przedstawiłem Ojcu św. iż rodacy nasi, mianowicie poddani rossyjscy, niechcą za pośrednictwem ambasady starać się o posłuchanie u Jego Świątobliwości; prosiłem zatem aby nasze polecenie wystarczało: na co łaskawie przystał. Nieraz osobiście przedstawiałem naszych rodaków; miałem zatem sposobność częstego widywania Ojca św. i znajdowałem w nim zawsze wielkie współczucie dla naszego narodu, i pewność że doczekamy się lepszych czasów. Zrazu nie mógł nawet odgadnąć przyczyny tak długich i tak ciężkich naszych cierpień: rozpatrzywszy się lepiej w naszej historii, wskazał znane trzy powody: *rozwoły, uciemienie ludu wiejskiego, i*

upośledzenie unitów; a później dodał jeszcze: duch rewolucji i niedowiarstwa grasujący w naszym narodzie.

Okrom czujności o sprawę ogólną naszego kościoła w Rzymie (w czym także osobno, z ramienia księcia Czartoryskiego znacznie a nieraz korzystnie pracowali wzmiankowany już hrabia Cezary Plater a później dobry nasz przyjaciel pan Ludwik Orpiszewski), z położenia i konieczności musieliśmy ułatwiać także stosunki pomiędzy duchowieństwem świeckim i zakonnym, i wiernymi a kongregacjami duchownymi w Rzymie; wyrabiać nadto różne łaski duchowne.

W Rzymie też spotkać można misjonarzy rozjeżdżających się w różne strony świata. A że wszędzie są Polacy zaopatrywaliśmy ich w duchowne książki polskie, które tak dostawały się nie tylko na Kaukaz i nad Wołgę, ale na wyspy Sandwich.

Upłynęło pięć lat wyznaczonych w roku 1842 do brania następnego ogólnego zgromadzenia. Nie łatwo to przyszło Zgromadzeniu jeszcze tak nielicznemu a pracującemu czynnie. Nadto ksiądz Semenenko bawił jeszcze w Tunisi, niezdolny do natężonej pracy umysłowej. Ksiądz Terlecki przyjąwszy obrząd unicki, osądził że musi działać na własną rękę. Ksiądz Godlewski, który właściwie wisiał przy nas od początku, chętnie pozostał w Paryżu, by nas zastąpić na ambonie. Tak że siedmiu którzy przed laty pięciu składali Zgromadzenie ogólne zebrało się tylko czterech: ksiądz Kaysiewicz, ksiądz Hube, ksiądz Kaczanowski i ksiądz Duński. Na miejsce nieobecnych lub ubytych przybraliśmy księży Jelowickiego i Bentkowskiego, którzy już byli śluby złożyli. Dnia 20go Października r. 1847 wraz z kilkoma nowicyuszami weszliśmy na rekolekcje, a w dzień Wszystkich Świętych w liczbie sześciu zawiązaliśmy się w Zgromadzenie ogólne.

Jakkolwiek bracia starali się otrzymać z nieba światło potrzebne do stosownego rozwinięcia zarysów pierwotnych naszej reguły, jakkolwiek do przedłużonych modlitw dodawali ostre trapienia ciała; Bóg światła nie dawał. Przymuszone Towiańszczyzną rozdzielenie się nasze pomiędzy Paryż a Rzym, wraz po ukończeniu nauk i wyświęceniu się, kiedy właśnie mogliśmy byli pracować nad organizacją wewnętrzną, praca gorączkowa na zewnątrz przez pięć lat następnych, wyrobiły w każdym pewne wyobrażenia osobne, które nie łatwo było sprządnąć w jedno albo uchylić. Przyszła nam wtedy myśl, że zapewne Bóg nie chce abyśmy nową regułą tworzyli, jedno się oparli na jednej z już istniejących; jak nam to już kilka osób pobożnych i doświadczonych było radziło. Wzięliśmy się zatem do czytania różnych reguł zakonnych: z nowszych najbardziej nam się podobała reguła św. Wincentego a Paulo, z dawnych św. Benedykta. Ale celem Zgromadzenia Missyonarzy św. Wincentego a Paulo jest zajmowanie się głównie ludem wiejskim; a czuliśmy dobrze, że w czasach obecnych, mianowicie w naszej biednej Polsce, trzeba pracować dla wszystkich i nad wszystkimi. Zostawała zatem reguła św. Benedykta, ile że ona życia czynnego na zewnątrz bynajmniej nie opisuje, pozostawiając wszystko rozporządzeniu przełożonego: a więc i nie krępuje. Przypomnieliśmy sobie, że śp. Jański z tą myślą *in petto* umarł, żeśmy ją na pierwszym Zgromadzeniu ogólnym roztrząsali, i głównie dla naszej małej liczby i niepodobieństwa odbywania chóru, na bok odłożyli.

Z żywą wdzięcznością ku Bogu, od którego wszelkie dobro pochodzi, wyznać tu trzeba: iż bracia wszyscy byli w usposobieniach najszlachetniejszych, gotowi objąć regułę św.

Benedykta w całej jej pierwszej surowości, gotowi umrzeć nawet: bo po ludzku żaden prawie nie czuł się na siłach do wytrzymania długo surowości w niej przepisanych. Tem bowiem dał nam Bóg wskazówkę od początku, jaki rodzaj życia nam przeznaczył, że najslabsi pośród nas długo wytrzymują trud życia czynnego, a najmocniejsi nie wytrzymują ostrego trapienia ciała. Wszyscy zatem byli tego zdania, by przy regule św. Benedykta, pozostać jednak Zgromadzeniem misyonarskim, z nazwą naszą Zmartwychwstańców. Podaliśmy prośbę o posłuchanie do Ojca św., i otrzymaliśmy je 27go Grudnia w dzień Śtych Młodzianków. Przełożony przedstawił pokrótce stan rzeczy, prosząc o radę. „Więc chcecie porzucić piękne wasze dotychczasowe życie Apostolskie, *Il vostro bel viver Apostolico?*” - „Nie Ojczye św., ale spodziewamy się pogodzić je z regułą św. Benedykta, jak dawniej Benedyktyni, pierwsi misjonarze Europy godzili”. - „Trzebaby to widzieć w szczegółach”, rzekł Pius IX. i ciągnął dalej: „że się chcecie oprzeć na regule św. Benedykta, patryarchy wszystkich zakonników na Zachodzie, nic przeciwko temu niemam: ale pamiętajcie że wszystko się z następstwem czasu modyfikuje. Urządźcie się przeto w taki sposób, byście mogli jak najwięcej dobrego czynić w kościele Bożym. Potrzebuje on dziś robotników, którzyby mu potu podostatkiem, a w razie potrzeby krew swoją dali.” (Było to powtórzeniem słów kardynała Micary: „wy chodźcie do katakumb uczyć się polityki”). Na zapytanie nasze czy możemy liczyć na opiekę Ojca św., po dwakroć odpowiedział: „bądźcie spokojni, przygotujcie tylko wasze konstytucje”.

Gdy tak Ojciec św. stwierdził, co tkwiło w głębi dusz naszych, by życia apostolskiego nie opuszczać, spisany został dnia 5go Stycznia 1848 roku akt tymczasowy na lat dwa, obowiązujący do uczenia się reguły św. Benedykta, poczem przełożony miał przedstawić projekt nowych konstytucyj. Dnia 10go tego miesiąca obrany zostałem na nowo przełożonym. Wyznałem wszakże przed braćmi, że w skutek doświadczenia widzę, iż powołanie moje przemagająco kaznodziejskie, trudno się daje pogodzić z obowiązkami przełożonego, i trzyma duszę moją w bolesnym niepokoju. Podziękowałem zatem stanowczo dnia 10go Stycznia, a ksiądz Hube wybranym został przełożonym na lat dwa następujących.

Jakkolwiek myśl o regule św. Benedykta nie dała się ziszczyć, wlała ona przecie w dusze nas wszystkich pokój wieki, i to na tak burzliwe następne dwa lata; i wyrobiła w nas pewne pojęcia wspólne, winniśmy przeto zachować zawsze niezmierną wdzięczność ku wielkiemu patryarsze życia zakonnego na Zachodzie.

ROZDZIAŁ IV.

Przełożęństwo księdza Hube (1848-1855).

W Rzymie przez pierwszych lat parę mało było do czynienia, dosyć raczej do cierpienia. Mickiewicz był już zerwał prawie z Towiańskim, i chciał położenie swoje w obec Kościoła uporządkować. W skutek listów śp. Walerego Wielogłowskiego mówiłem o tem

Ojcu św. i otrzymałem pozwolenie by Adam przybył do Rzymu. Opóźniłem w tym celu wyjazd mój do Paryża aż do 5go Lutego, a on przybył do Rzymu dopiero dnia następnego.

Zrazu Mickiewicz występował spokojnie i w duchu katolickim; ale gdy wybuchła rewolucja lutowa w Paryżu, którą jak twierdził miał mistrz zapowiedzieć, wpadł znowu w stan gorączkowy, zaczął formować legion itd. Co najgorszego, to, że i nas i ogólnie Polaków skompromitował w obec Ojca św. mówiąc gwałtownie i w sposób niestosowny. Podczas republiki rzymskiej mieli bracia nasi kilka rewizyj u siebie, w skutek oskarżeń o reakcyę: ale więcej choć wciąż zagrożeni nie ucierpieli, a jedyni prawie w szacie kapłańskiej pokazywali się na ulicy.

W Paryżu było zrazu gorączkowe życie. Gdym tam przybył, już ksiądz Godlewski postanowił być iść do Polski bezwzględnie prowadząc ochotników z krzyżem w ręku. Kiedym wszedł do Kaplicy św. Rocha w dzień Zwiastowania Najświętszej Panny 25go Marca, ksiądz Godlewski święcił przy ołtarzu sztandary wojenne na drogę. Podczas kazania, wracając do tego wypadku powiedziałem w treści: iż podług zwykłego biegu rzeczy i rozsądku na niebezpieczną i nieroztropną puszczają się próbę; ale że temu postanowieniu przeszkodzić nie mogę, radzę aby przynajmniej gorąco się opiece Matki Boskiej polecieli itd. Jakoż zanim doszedł do Strazburga na czele swego legionu, już za Jezuitę i arystokratę okrzyczany i bodaj poturbowany, osiadł w tem mieście i przez lat dwa ciężkiej biedy zażył. Wystaraliśmy się później o przytułek dla niego w zakładzie pani de Châteaubriand w Paryżu założonym dla starych i chorych księży, gdzie też szczęśliwie życia dokonał.

Tymczasem otrzymałem nalegające listy od obu panów Koźmianów, abym co rychlej do Poznania przybywał. Pisali oni, iż cokolwiek z tej zawieruchy będzie, na razie umysły były dobrze usposobione i że należało z tego korzystać. Ponieważ Polonia się była w wielkiej części rozproszyła, a Ojciec Kaczanowski wystarczał na razie do obsłużenia missyi paryżkiej, udałem się dnia 13go Kwietnia do Niemiec. W Berlinie dowiedziałem się, że stan wojenny w Poznańskim ogłoszony; do Poznania niepodobna już było się udawać, i nie bez trudności i niebezpieczeństwa udało mi się dostać do domu zacnych jeneralstwa Chłapowskich w Turwi. Mogłem przez dni czterdzieści kazać i spowiadać po okolicznych kościołach parafialnych, i w kaplicy Turewskiej. Wszakże już 30go Maja z rozkazu władzy musiałem księztwo opuścić. Czterdzieści dni zabawiłem we Wrocławiu, gdzie i licznie tam bawiącym rodakom i żołnierzom górnoszląskim mogłem być użytecznym. Nie brakło mi też zajęcia w Dreźnie, przepełnionem zwykle Polakami. Pisałem naonczas do Ministerstwa w Berlinie prosząc o wolny pobyt w Poznańskim, oświadczając gotowość opuszczenia tej prowincyi na skitnienie rządu jak skoro by dalsze moje przebywanie w Prusiech nie zdało mu się stósownem; alem otrzymał odpowiedź odmowną. Wybierałem się już napowrót do Paryża gdy za usilnem staraniem kilku pań pobożnych w Krakowie, otrzymałem niespodzianie od jenerała Schlika, austriackiego rządcy cywilno-wojskowego, pozwolenie przybycia do tego miasta. Nieomieszkałem z niego korzystać, i dnia 14go Sierpnia przybyłem do Krakowa umieszczony za staraniem zastępcy administratora (śp. księdza prałata Rozwadowskiego) w domu księży emerytów przy kościele św. Marka. Zaraz na wstępie jakaś gazeta w Krakowie, przez Leona Zienkowicza wydawana, a będąca organem skrajnej demokracji, ogłosiła trzy artykuły dowodzące, że jestem: 1) Austryakiem, 2) zdrajcą ojczyzny, 3) Jezuitą. Szczerze

podziękowałem Bogu, bo mi ten napad starczył za rekomendacją i gwarancją przed rządem, tak iż bezpiecznie sobie poczynać i mówić mogłem. Wyznaję, że z pewną niewygodą przychodzi mówić o moim pobycie w Krakowie, gdzie dobry Bóg pozwolił mi dość korzystnie popracować. Po łasce Najwyższego przypisuję to modlitwom dusz pobożnych i braci moich zakonnych, którzy dla mnie wypraszały łaski i siły potrzebne. Wiem także, że nowość ludzi pociąga: charakter mój wygnańca przybywającego z zagranicy, wiele mi dopomagał. Rzecz prosta, że nie wchodzi w zakres tego pamiętnika sprawozdanie o dobrem, jakie duchowieństwo miejscowe czyniło i czyni; jedno o mojem chwilowem i przelotnem współdziałaniu. Wyznaję nareszcie z wdzięcznością, iż bez łaskawego poparcia ze strony władzy duchownej, i bez braterskiej pomocy wielu kapłanów miejscowych, i dobrej woli mieszkańców Krakowa, nie byłbym wskórał w niejedynej rzeczy. W czasie dziewięciomiesięcznego mego pobytu w Krakowie, zawsze pod grozą wejścia Moskali, kazywałem po wszystkich kościołach gdzie byłem zaproszony, a bywałem często. Kazywałem również na Zamku mianowany jednym z kaznodziej katedralnych. Otworzyłem też z początkiem roku 1849 w kościele, przy którym mieszkałem, katechizmy wyższe albo konferencye dla osób dojrzałych i potrzebujących wyższego religijnego oświecenia: na nauki te licznie się bardzo zbierano. Co do spowiedzi, tych i było bez końca; często przed wschodem słońca bywałem i wołany do konfesyonału.

Dla zastąpienia braku kongregacyj dekanalnych za łaskawem przychyleniem się księży kanoników Rozwadowskiego i Scypiona, pod ich przewodnictwem i w ich mieszkaniu zbierali się kapłani na konferencye duchowne, na które przybywali księża proboszczowie i wikaryusze z okręgu. Między innemi zajęciami, różni kapłani podjęli się wywiedzenia się i zdania dokładnego sprawy ze stanu obecnego bractw duchownych, mianowicie tych, które były obowiązane zajmować się dobrymi uczynkami: a to celem podtrzymania ich i ożywienia. Znalazłem w księgach bractw różnych, że do końca siedemnastego wieku mniej więcej, pierwsi panowie i panie do nich się wpisywali, później już samo tylko mieszczaństwo. Następnie zamierzaliśmy sobie wejść w stosunki z cechami, i takowe do dawnej żywotności przywrócić. Już zdania sprawy ze stanu bractw szczęśliwie zaczęły się odbywać, już niektórzy kapłani zajęli się gorliwie wykładem katechizmów, inni uczeniem ludu po szkołkach, gdy z niewiadomego powodu zacny zresztą ksiądz administrator za powrotem swoim do Krakowa niechętny się tym konferencyom pokazał, jakkolwiek zupełnie się byli pod jego kierunek oddali i z góry byli postanowili, że praw żadnych i przepisów stanowić nie chcemy. Rzecz prosta, że przeciwko władzy szukać nawet dobrego na téj drodze nie było podobnem. Wszakże porozumiewania się prywatne między gorliwszymi kapłanami nie ustały, a brak konferencyj choć w części zastąpiło pismo religijne pod tytułem Tygodnik kościelny, wychodzące pod imieniem i opieką księdza kanonika Scypiona. Pilno mi było ogłosić w niem konkordat świeżo zawarty, a który rząd rossyjski taił u siebie: to też ogłoszenie to było mu bardzo nie na rękę.

Zamiarem Tygodnika było prostowanie fałszywych wyobrażeń w części duchowieństwa. Mania bowiem reform politycznych przeszła była do księży niektórych, mianowicie młodszych, którzy podobnie chcieli sejmikować i reformować w kościele. W Przemysłu młodzi duchowni korzystając z nieobecności zacnego swego biskupa (księdza

Wierzchlejskiego) bawiącego na sejmie, zawiązali się w rodzaj soboru, a bardziej konwentu, i wydali program swój reform, których pragnęli. Naturalnie figurowało tam bardzo wydatnie porównanie dochodów wikaryalnych z proboszczowskimi nabożeństwo w języku narodowym, żony, itp. rzeczy. Zakląłem JM. Księdza Woytarowicza, biskupa Tarnowskiego przybyłego naonczas do Krakowa, aby raczył donieść o tem księdzu biskupowi i nuncyuszowi w Wiedniu; sam zaś w Tygodniku łagodnie zaatakowałem ten program, aby lepszym i umiarkowańszym zostawić pole do odwrotu. Tak się istotnie za łaską Bożą stało. Zresztą starszym dzielić się dochodami nie chciało, o żonach nie myśleli wcale, więc skończyło się na wyśmianiu młodszych. Tak się na razie to licho rozeszło, a pod dwoma następnymi biskupami, i dzięki wybornemu prowadzeniu seminarium dyecezalnego, duchowieństwo przemyskie wzorowo stanęło.

Tygodnik kościelny, pospiesznie rozpoczęty w nagłej potrzebie, przerwany raz stanem oblężenia, skończył się ostatecznie, przy wejściu Rossyan.

Co do zakładów miłosiernych z przyjemnością przypominam sobie że słowem i zachodem przyczynił się do założenia domu dla opuszczonych dzieci krakowskich, głównie nakładem pana Piotra Michałowskiego, utrzymywanego po dziś dzień staraniem zacnej jego wdowy. Byłem też ich spowiednikiem i nauczycielem religii aż do mego wyjazdu.

Za pobudką też jednej zacnej Polki zawiązało się bractwo z pań krakowskich pod nazwą *Siostr parafialnych św. Elżbiety*. Główne zajęcie ich było opiekowanie się chorem, starcami po domach, dostarczanie roboty we właściwych parafiach. Nadto by przyjść w pomoc już to ubóstwu niektórych kościołów, już niedbalstwu niektórych duchownych, Siostry ofiarowały się opatrywać pracą i datkiem bielizną zakrystyjną i szaty kościelne. Niektórzy proboszczowie i przełożeni zakonów przyjęli z wdzięcznością tę ofiarę, inni z oburzeniem odrzucili. Świeckie pustaki puszczały w obieg rozmaite karykatury na te zacne panie, ale się tem odstraszyć nie dały. Wzięły też pod opiekę swoją zakład dla biednych dziewcząt przeznaczony do kształcenia dobrych panien służących. Utrzymanie tymczasowe zapewnione było już dla osiemnastu dziewcząt, a zanimby się fundusz znalazł na dom osobny, mieszkały tymczasem w klasztorze św. Józefa.

Z tych zakładów jedne istnieją, drugie zmieniły formę, inne po moim wyjeździe upadły.

Pozwolił też Bóg wywołać pierwszą składkę na ziemi polskiej na korzyść Ojca świętego wygnanego do Gaety. Po Mszy odśpiewanej w kościele św. Marka d. 22go marca 1849 roku przez J. M. księdza biskupa Łętowskiego, miałem kazanie o potrzebie panowania doczesnego dla papieży⁹, a następne 25-go tegoż miesiąca w kościele Bożego Ciała. Składki wywołane przyniosły kilka tysięcy złotych. Tak zwani liberaliści i pseudo-patryoci na gwałt krzyczeli, że grosz tak potrzebny z kraju wyciągam: tymczasem doczesnie nawet, w rok potem po zgorzeniu Krakowa, trzy razy tyle od Papieża pogorzelnicy otrzymali.

Nie jedyny to był dowód złej woli tych panów względem mnie. W miarę jak powstawałem na propagandę bezbożności i rozwiązłości przybyszów z zagranicy wśród rodzin krakowskich, gniew tych panów się wzmagał. Stawali przed kościołem, gdym miał

⁹ Patrz tom I-szy kazań przygodnych.

kazać i odciągali wchodzących przysięgając, zem duchem austriackim i szpiegiem. Słyszałem nieraz przechodząc ich obelgi, otrzymywałem listy bezimienne z groźbą obicia i zabicia. Nienawiść tę przenieśli następnie za granicę, gdy musieli Kraków opuścić w skutek ogłoszonego stanu oblężenia. Ten sam los mnie czekał, jak skoro władze cywilne, które mnie znały, zostały w działalności swojej zawieszono. Wprawdzie wielu poważnych obywateli miejscowych pragnęło i pracowało, bym mógł pozostać na miejscu. Pisałem do Rzymu do księdza Hubego prosząc o radę, i otrzymałem odpowiedź najstanowczej przeciwną. Ostrzeżono mnie też z dobrego źródła z Warszawy, że za wejściem wojsk rossyjskich pierwszy miałem być aresztowany. Opuściłem zatem Kraków dnia 30-go kwietnia, trafiłem w Dreźnie bójkę ludności z wojskiem saskim i pruskim, aresztowany na chwilę i wypuszczony, opuszczając Badeńskie w powstaniu, ledwom w Szwajcaryi mógł się leczyć na chroniczne już zapalenie gardła. W Interlacken w braku kaznodziei francuzkiego zastępowałem go przez lato i dnia 14-go wrześniu wróciłem do Paryża.

Chcieliśmy skorzystać z zebranego soboru prowincjonalnego w Paryżu, aby wprowadzić sprawę Towiańszczyzny ale sobór paryzki uważając to za rzecz małoważną nie chciał się nią zająć: trzeba było poprzestać na wyroku, który o *Biesiadzie* Towiańskiego ogłosiła Kongregacja *Indexu*.

Nastąpiło tymczasem nabożeństwo w dzień 29-go listopada (1849). Gdym w kazaniu o *duchu narodowym i duchu rewolucyjnym*¹⁰, wyrzucał pod koniec mniejszości emigracyi mieszanie się do wszystkich nieporządnym ruchów w ostatnich czasach, a szczególnie powstał na tych którzy się bili w Rzymie, i w Stambule poturczyli; kilkunastu zaczęło tupać nogami. Dał Bóg zgromić ich jeszcze mocniej, i przywieść do milczenia. Po kazaniu, ksiądz Kaczanowski zaprosił na nabożeństwo expiacyjne, na które się stawilo nazajutrz sto kilkadziesiąt osób. Nieszczęściem policya, obecna na takich nadzwyczajnych i licznych zgromadzeniach, posądziła o wszczęcie wrzawy niejakiego pana Swieżyńskiego, świeżo przybyłego emigranta z Krakowa, i Francją mu opuścić nakazała. Napróznom pisał do ministra przedstawiając iż to religii zaszkodzi, charakter mój kapłański w posądzenie i nienawiść poda; napróznom błagał o odwołanie wyroku: policya była nieubłagana. Ma się rozumieć, że nieprzychylni winę na nas zwalili. To to zapewne *straszne i reakcyjne* kazanie, potwarzy nasi z daleko późniejszą datą do Wiednia przenieśli gdzie nigdy nie kazał. Powstała też była dość żywa polemika po dziennikach emigracyjnych, poznańskich i krakowskich, ile że współcześnie ogłoszony w *Przeglądzie Poznańskim* list otwarty o *stosunkach kapłanów do narodowości i polityki* nie podobał się nawet niektórym duchownym.

W Październiku 1850-go roku przybył ksiądz Hube z Rzymu do Paryża na zgromadzenie ogólne gdzie już oprócz mnie byli ksiądz Kaczanowski i ksiądz Jełowicki. Był i ksiądz Semenenko któremu Bóg miłosierny był od niejakiego czasu zupełnie zdrowie przywrócił, i który przez następnych lat kilka bardzo korzystnie w konfessyonalu i na ambonie w Paryżu pracował i dla uczącej się młodzieży krajowej osobne konferencje miewał. Ksiądz Bentkowski dotknięty śmiertelną piersiową chorobą pozostał w Rzymie. Ubył nam też ksiądz Duński z którym w końcu rozstać się musieliśmy. Pracował on gorliwie zrazu

¹⁰ Patrz tom I-szy kazań przygodnych.

nad nawróceniem Towiańszczyków, a w końcu dał im się podchwycić. Posiadający wiele zdrowego rozsądku, pełen miłości i dobrych uczynków, nie posiadał całkiem zdolności metafizycznych, i dla tego teologii, mianowicie dogmatycznej, dobrze się nie nauczył. Cierpiąc też częste krwotoki i zmuszony miesiącami do leżenia na łóżku lub siedzenia na krześle, czytał wciąż Ewangelią, i naturalnie że przyszedł do samowolnego rozumienia nie jednego tekstu. Otóż i Towiańszczycy powstawali na dogmatykę, cenili jedynie mistykę, i Pismo według upodobania i wygody sobie tłumaczyli. Na tym punkcie zetknął się ksiądz Duński z Towiańszczykami, ta pochyłość doprowadziła go do upadku. Długośmy kryli chorobę ducha zacnego zkadina brata, ale gdy świeccy zaczęli się gorszyć a on upamiętać się nie chciał, musieliśmy go ze Zgromadzenia wykluczyć. Wszakże kapłan francuzki który w lat kilka później towarzyszył mu przy śmierci, pocieszył nas zapewnieniem że umarł prawowiernie. Pokój jego duszy!

Tak na tem trzecim zebraniu było nas tylko pięciu.

Po odbytych wspólnych ćwiczeniach duchownych, dnia 21-go listopada w święto Ofiarowania się Najświętszej Panny zaczęliśmy nasze narady w mieszkaniu przy kościele l'Assomption do którego nabożeństwo dla Polaków w tym roku przeniesione zostało. Ojciec Hube oświadczył naprzód iż w skutek danego sobie polecenia temu lat dwa zgłębiał sumiennie regułę św. Benedykta, ale im więcej zgłębiał tem bardziej się przekonywał że nam chcącym się urządzić do życia czynnego trudno lub niepodobna było dorobić stosowne konstytucye, i móżd jeszcze sumiennie zwać się Benedyktynami. Przypomnił że takie było zdanie Ojca świętego: i radził abyśmy korzystając z nauki zaczerpniętej przez wspólne dwuletnie badanie reguły św. Benedykta, i celu naszego Zgromadzenia, przystąpili do urządzenia się podług potrzeb naszych, z pomocą Ducha świętego. Bracia po gruntownem i sumiennem rozważeniu powodów i dowodów Ojca Hubego, przystali na nie; i zaprosili go, aby przygotowane przez siebie pomysły do reguły własnej Zgromadzenia, odczytać zechciał. Co gdy uczynił i inni bracia radni zawezwani przez niego, uwagi swoje, dodatki i rozwinięcie naprzód ustnie a potem piśmiennie przedstawili: wszystko to tak tchnęło jednym duchem że pozostała tylko praca uporządkowania i dania jedności stylu. Polecone to zostało Ojcu Semenence, który ze znaną zdolnością z zadania się wywiązał, i przeto główna zasługa we wszystkich pracach naszych nad regułą, jemu się należy. Jak temu lat dwa (w roku 1848-ym), Bóg dotykalnie nam chciał pokazać iż bez Niego nic zbawiennego dokonać, ale nawet ani począć nie można, tak teraz miłościwie objawił, że może wielu dać ducha jednego. W niespełna trzy tygodnie od zaczęcia naszych narad, przy innych zajęciach i przeszkodach, stanęła reguła Zgromadzenia cała i bez szwu; tak iż się bracia nie mogli dosyć nadziwić, i dziękować miłosierdziu Bożemu. Co więcej pojęcie i rozwinięcie zasad doskonałości chrześcijańsko-zakonnej tak w niej już było wysokie, że z całą szczerością wyznać musimy, iż ono nie z nas było wysnute, ale z góry nam zostało podane.

Potem, z wolną już myślą, rozbieraliśmy każdy ustęp, każde wyrażenie, postawiwszy sobie to prawo, aby wśród modlitwy dopóty się zastanawiać i szczegół każdy ze wszech stron oglądać, ażbyśmy wszyscy do jednego rozumienia przyszli. I dał to Bóg, że pięciu Polaków, ludzi w dojrzałym już wieku, z usposobień przyrodzonych całkiem do siebie nie podobnych, na wszystko się snadno i jednomyślnie zgodziło. Dnia 2-go lutego 1850-go roku, w święto

Oczyszczenia Matki Boskiej skończyliśmy tę pracę, a 7-go marca ostatecznie podpisali Ojcowie Hube, Kaysiewicz, Semenenko, Kaczanowski, i Jełowicki. O. Hube wybranym został powtórnie na przełożonego na lat siedem następnych, a O. Kaysiewicz na zastępcę przełożonego. O. Hube pośpieszył natychmiast do Rzymu.

Ksiądz Bentkowski miał czas ucieszyć się wiadomością o szczęśliwym wypadku narad, na których intencją modlił się i cierpiał, ale nie dał mu Pan doczekać się powrotu Przełożonego, jak tego pragnął, powołując go do siebie. Tu miejsce wspomnieć o nim choć po krótko.

Alfred Bentkowski, był synem uczonego profesora; równie piękny z wejrzenia jak łagodny i zdolny. Powstanie listopadowe zaskoczyło go w 17-ym roku życia, ledwo co po ukończeniu szkół zaczynającego chodzić do uniwersytetu. Był z Giełgudem na Litwie i wkroczył z innymi do Prus. Za radą zapewne ojca nie poszedł do Francji, ale się spokojnie uczył medycyny w Królewcu, dokończył kursów w Berlinie, a zwiedziwszy Wiedeń osiadł w Poznaniu. Szczególnie protegowany od doktora Marcinkowskiego, i powszechnie kochany, zaczął praktykę medycyny. Wszakże krzyki polityczne, zawiści i potwarze do tyła smuciły piękną jego duszę, że rychło mu się sprzykrzył pobyt w Poznańskiem. Cierpiąc też już potrosze na piersi, ochotnie podjął się towarzyszyć do Włoch młodemu jednemu a słabowitemu rodakowi. Przybył do Rzymu na Wielkanoc roku 1842-go. Po raz pierwszy wtenczas znalazł czas wolny i myśl dość swobodną do pomyślenia o obowiązkach religijnych, które był zaspiał przy studiach medycyny, i wśród atmosfery filozoficznej w ojczyźnie Kanta. Widok Rzymu, pokój i zgoda panująca w naszym gronku, rozmowy z księdzem Semenenką, doprowadziły rychło tę duszę, naturalnie niejako pobożną, do Boga, owszem do zapragnienia doskonałości i oddania się zupełnie na Jego służbę. Niczego wszakże ostatecznie nie przesądzając wrócił do Poznania. Wziął się do czytania dzieł religijnych już to dla wyleczenia się z niewiadomości i naleciałych wątpliwości, już dla zbudowania; przystępował do Sakramentów świętych i wkrótce ostatecznie postanowił wejść do zakonu. A że zakonów naówczas w Poznańskiem nie było, i pragnął już połączyć się z nami, przybył roku 1843-go do nas do Rzymu. W roku 1844-ym, dla dogodzenia nabożeństwu swemu, towarzyszył księciu Romanowi Sanguszcze do Ziemi Świętej, a wróciwszy spokojnie odbywał nauki, i rósł w miłości Bożej i we wszelkich cnotach duchownych; sztuki lekarskiej na leczenie biednych używając. W roku 1849-ym wyświęcony na kapłana, w dzień w którym u św. Kaliksta kilku kapłanów zamordowano, ze zgrozy mocnym krwotokiem dotknięty, gasł powoli na chorobę piersiową. Na dwa dni wprzódy zapowiedział śmierć swoją, a widząc braci bardzo zasmuconych, pocieszał ich mówiąc: „gdyby mi było wolno, odpowiedziałbym wam rzeczy zdolne was bardzo rozweselić.” Opatrzony wszystkimi Sakramentami przez spowiednika swego Monsignora Colombo, który Alfreda naszego anielskim młodzieńcem nazywał, zasnął spokojnie w Panu dnia 26-go lutego 1849-go roku. Księża i zakonnicy z różnych klasztorów przybyli ze Mszami, a lud rzymski wdzięczny za chętnie i szczęśliwie dawane dawniej rady lekarskie, i pełen dłań uwielbienia licznie zbiegł na jego pogrzeb, bo błogi nasz zmarły w twarzy i całej postawie ciała taką skromność, takie skupienie wewnętrzne okazywał, iż go powszechnie za świętego miano, i drugim świętym Alojzym nazywano. Wielka to strata dla Zgromadzenia na ziemi, ale wielki nabytek w niebie.

Wypada znów wspomnieć o nowych prześladowaniach jakich doznaliśmy ze strony i swoich, i obcych. Pierwszego roku panowania Piusa IX-go kleryk jeden z kraju, któregośmy przyjęli w skutek usilnego polecenia Monsignora Viale Preła nuncjusza w Wiedniu, i następnie oddalony przez nas, podał do Sekretarza Stanu i innych kongregacyj rzymskich paszkwil, w którym oskarżał nas o najohydniejsze i najplugawsze zbrodnie: pisywał zaś to wszystko, biorąc od nas jałmużnę. Inny na braciszka przyjęty, chcąc gwałtem zostać kapłanem a niezdolny, oddalony przez nas, czernił nas równie przez lata całe, rzucając nawet memoryały do powozu papieżkiego. Szczęściem że władze rzymskie nie są łatwowierne; nie łatwo u nich zyskać zaufanie, ale i nie łatwo utracić. Po upadku republiki Mazziniego w Rzymie oskarżeniśmy zostali, i zdaje się przez wyższe sfery, o bratanie się z republikanami. Rząd rossyjski tak był pewny swego, że w Warszawie rozpowiadał iż jużemy zostali wypędzeni z Rzymu. Rzeczywiście pan Silva Dandini, ówczesny dyrektor policji papieżkiej, chciał to być uczynić, ale nie mógł bez dołożenia się kardynała Wikarego. Wikaryat zapytał o to wspomnionego Monsignora Colombo, prezydenta sekcji kryminalnej trybunału, i przeto bardzo nienawistnego konspiratorom, który się ukrywał przez cały czas trwania republiki pośród nas: i był świadkiem czynności naszych od rana do wieczora. Ten prałat poświadczył, iż wprawdzie legioniści Polacy nachodzili nas i że nieraz musieliśmy im dawać jałmużnę, ale żeśmy im zarazem mówili, że źle sobie poradzili przychodząc wojować do Rzymu przeciwko Papieżowi. O tem wszystkiem dowiedzieliśmy się dopiero wtenczas, gdy już niebezpieczeństwo było przeszło. Kiedy O. Hube wrócił do Rzymu i przedstawił i się Ojcu świętemu, tenże łaskawie go przyjął, o członków Zgromadzenia wypytywał z życzliwością, i jakkolwiek skarżył się na Mickiewicza, i inne gorączkowe głowy polskie, dodał wszakże: „wiem że u was jak gdzieindziej są źli i dobrzy.” Wszakże pan Buteniew tak zřęcznie wyczyskiwał w Gaecie wśród okolenia papieżkiego niesforne ruchy Polaków, że nietylko ostudził rodzinę Borghesów dla nas i dla sprawy naszej, ale sprawił, że gdym wrócił w jesieni 1850-go roku do Rzymu, przez wiele miesięcy nie mogłem otrzymać posłuchania u Ojca świętego, aż on sam dowiedziawszy się o tém przysłał po mnie Monsignora de Mérode przybocznego prałata swego. Była wtenczas na przedpokojach papieżkich reakcja przeciwko tym wszystkim, którzy pierwszego roku panowania Piusa IX-go łatwy przystęp do niego mieli: a do liczby tych i ja należałem.

Uderzającą była ta zwiększona ku nam nienawiść ambassady rossyjskiej (jakkolwiek i w latach poprzednich ciągle od niej byliśmy prześladowani); lecz naonczas czujność jej do tego stopnia się wzmogła, że przyjezdnym Polakom niebezpiecznym było zachodzić do kościoła św. Kludyusza: nieraz urzędnik ambassady przechadzał się w niedzielę przed kościołem patrząc kto doń wchodzi i zeń wychodzi. Szukając powodów téj zwiększonej nienawiści, znajduję następny. Rewolucyjne poruszenia od roku 1848-go do 1849-go, do których Polacy tak czynnie na nieszczęście się mieszały, skompromitowały powszechnie imię polskie w Europie, a jak wspomniałem i w Rzymie. Liczyła ambassada że pod tą niepopularnością i my upadniemy, że będziemy ztąd wypędzeni, zaczęła że rząd rossyjski odzyska w Rzymie wpływ, jakiego używał w pierwszych latach po upadku w roku 1831-ym powstaniu. Nie udało się jej to, pozostaliśmy i nadal łaskawie od Ojca świętego przyjmowani. Był to dla niej zawód, klęska dyplomatyczna. Przynętem dochodziły rządu rossyjskiego w

Warszawie niezmiernie przesadzone doniesienia o wpływie naszym na rodaków znaczniejszych podróżujących po Europie, a z nami mających stosunki. W roku 1849-ym na 1850-ty pewien wysoki urzędnik z Warszawy, Polak rodem, nieproszony niepytany postanowił był sobie sprowadzić do Warszawy księdza Hubego. Mówił o tém z bratem jego senatorem, a ten z księciem Paszkiewiczem, dodając wszakże: iż ponieważ brat jego jest przełożonym Zgromadzenia Zmartwychwstańców zapewne sam jeden wrócić nie zechce. Księżę Paszkiewicz udał się do ambasad w Paryżu i Rzymie, żądając objaśnień co do naszego postępowania za granicą. Te po uprzedniem porozumieniu się ze sobą, odpowiedziały: „że choć do konspiracyj politycznych nie należemy, to jednak tak dalece *egzaltujemy* Polaków pod względem religijnym, że jeśli zostawi się nam możność działania tak dłużej, to za nic nie będzie można ręczyć, (*et si on les laisse faire on ne pourra répondredre de rien*).” Ta zabawna groźba była jeszcze jedną więcej pobudką do zaostrenia kontroli nad nami. Nie mogąc się nas pozbyć w Rzymie, ambasada rossyjska przyjęła system odosobnienia nas grozą od krajowców, a następnie ogłodzenia: tegoż samego środka próbował rząd narodowy rewolucyjny z roku 1863-go: nie po raz to pierwszy spotkała się w ten sposób rewolucya z despotyzmem!

Przysłano sukurs ambassadzie. W jesieni roku 1850-go przybył do Rzymu znany ze swej niedobrej sławy ksiądz prałat Butkiewicz, rektor Akademii duchownej warszawskiej, w chęci wyrobienia sobie przy pomocy rossyjskiej arcybiskupstwa warszawskiego, a przynajmniej biskupstwa augustowskiego. Doszły nas zaraz ostrzeżenia o nim z kraju, a przytem że ma polecenie od rządu dowiedzieć się, z kim jesteśmy w stosunkach i kto nam dostarcza wiadomości o czynnościach rządu i złych księży, zgubnych dla Kościoła. Nigdyśmy rzeczywiście więcej ich nie odbierali niż w ciągu dwuletniego prawie pobytu księdza Butkiewicza w Rzymie; a musiały być dokładne, gdyż on sam, nie tęgi zaprawdę dyplomata, w ciągu rozmowy nieraz jakby z bólem wykrzykiwał: „wszystko wiedzą, wszystko wiedzą!” I w istocie odebraliśmy wówczas piśmienne od Ojca świętego podziękowanie za dostarczane wiadomości.

Ksiądz Butkiewicz miał w Rzymie daleko trudniejszą, niżli spodziewał się przeprawę. Na wstępie musiał odpowiedzieć na sześć zarzutów, które mu była Stolica Apostolska uczyniła:

- 1) iż na rektorstwie swoim szkodzi wierze;
- 2) iż formułę dziwną przysięgi dla uczniów Akademii wprowadził;
- 3) iż z uczniami srogo się obchodzi, a nawet kilku do pułków oddał;
- 4) iż dobrych profesorów odesłał, złych do Akademii sprowadził;
- 5) iż rady niebezpieczne rządowi daje;
- 6) iż ubliżył stanowi duchownemu, chwalać w mowie pogrzebowej księdza kanonika Kotowskiego.

Tylko na punkt drugi ze ścisłością odpowiedział, zaręczając, iż ta sama formuła przysięgi wymagana jest przez rząd od wszystkich: wszakże zarzucają mu duchowni z Królestwa, że on to podał myśl rządowi, by ją do Akademii wprowadzić. Ale ta odpowiedź znalezioną została niedostateczną, a Ojciec święty mu zapowiedział, że będzie musiał czas dłuższy w Rzymie pobawić, i znosić się z Monsignorem Ferrari sekretarzem spraw

kościelnych nadzwyczajnych, dobrym naszym znajomym. Zaczął zatem pisać dłuższe tłumaczenie się, a właściwie dzieje Kościoła polskiego z ostatnich lat stu, mianowicie też pod rządem rosyjskim od czasu rozbioru Polski. Jakkolwiek myślą główną tego pisma była chęć dowiedzenia, że stan Kościoła i duchowieństwa u nas jest dziś lepszy niż był za Polski niepodległej (co z tablicami statystycznymi w ręku zbić najłatwiej): to pewna, że ono wiele rzeczy zajmujących i nowych dla niejednego zawiera już to zapamiętanych od księdza biskupa Skarszewskiego i innych duchownych z téj epoki, już z tego co widział i do czego sam należał. I to długie factum jednak nie pomogło. Kiedy ksiądz Butkiewicz z jednej strony oświadczył przed Ojcem świętym, że pragnie osiąść na pustyni i resztę życia na pokucie spędzić, a z drugiej ambasada rosyjska wszystkie sprężyny poruszała, by przebojem zdobyć mitrę dla swego ulubieńca, poznano się w Rzymie na farbowanych lisach, i zbyto natrętnego kandydata prelaturą honorową, przez grzeczność dla potężnego jego opiekana. Na tém poprzestaniemy choćby wiele więcej powiedzieć było można, a przestajemy dlatego, że ksiądz Butkiewicz więcej może ze słabości charakteru, niż z rozmyślnej złej woli grzeszył.

W Rzymie prześladowania przeciwko nam ucichły. Dawny nuncyusz papieżki w Paryżu Monsignor Fornari, łaskawy na nas od lat kilkunastu, zostawszy kardynałem gorąco się za nami oświadczył przed kardynałem Wikarym i prosił by w każdym razie do niego się zgłoszono o objaśnienia. Kardynał Wikary wyznał, że istotnie byliśmy oskarżani o mieszanie się do polityki, lecz że się przekonał, iż jesteśmy prawdziwymi kapłanami. W lat parę zabrał nam Bóg tego opiekuna, ale On sam pozostał. Tymczasem z księdzem Butkiewiczem, który na wiosnę 1853-go roku wracając do Warszawy zatrzymał się w Paryżu, prześladowanie tam się przeniosło. Oddalony jeden braciszek z domu paryzkiego, który miał styczność z księdzem prałatem, i rychło zaczął jak najwykwintniej się ubierać, denuncyonował księdza Jełowickiego przed rządem, iż on przejmując pieniądze z kraju dla emigrantów przesyłane, że sypia na materacu biletami bankowymi wypchanym, a nikomu nic nie daje. Zdaje się, że ta denuncyacja była ponawiana, bo policya wzięwszy ją na seryo, zasięgała zdania u najpoważniejszych wygnańców i nas badać przychodziła. Dzięki Bogu, iż to posądzenie o bogactwo przypadło w chwilę, gdy taki niedostatek był w domu, iż bracia nasi paryzcy musieli pójść prosić o jałmużnę u niektórych rodaków.

Roku następnego (1854-go) nowa burza spada niespodzianie na księdza Jełowickiego. Odbiera list następującej treści od prefekta policji:

„Mając niemylne dowody, iż pobyt księdza grozi bezpieczeństwu publicznemu i interessom Francji, nakazuję Mu, jak najrychlej opuścić Francją, i nigdy do niej nie wracać.”

Udał się ksiądz Jełowicki do pana prefekta w towarzystwie księcia Władysława Czartoryskiego, i prosił o wyjaśnienie tej niespodzianki. Nie bez trudności dowiedział się nareszcie, iż jest miany za agenta rosyjskiego (dotychczas byliśmy zawsze oskarżani o ultrapolonizm i o rewolucyjność); że namawia emigrantów polskich do brania amnestyi, że powstaje przeciwko Turcyi alliantce Francji (zaczynała się bowiem wojna na Wschodzie), i odwodzi Polaków od wchodzenia do służby tego mocarstwa, a więc działa przeciwko interesom Francji, i t. d. Poszło to ztąd, że powstawaliśmy przed kilkoma laty przeciwko apostazyi rodaków naszych schronionych do Turcyi po upadku wojny węgierskiej, i przeciw tym którzy tej apostazyi z punktu patryotycznego bronili. Rozpoczęcie wojny wschodniej, i

rzucanie się gorączkowe Polaków, dały sposobność i nałożyły obowiązek księdzu Jełowickiemu, ostrzegania ich, aby się strzegli podobnej hańby, a nawet unikali pozorów zewnętrznych poturczenia się, przybieraniem ich stroju i nazwy¹¹. Tego się zatem nieprzychylni uchwycili, nie wiem już przez kogo podżegani, aby się na zawsze księdza Jełowickiego z Paryża i z Francji pozbyć. Nie dał się na razie pan prefekt przekonać; zostawił wszakże czas do przedstawienia obrony, i świadectw osób niepodjęrzanych rządowi. Obrona była łatwa, i nie brakło świadectw od generałów, dyplomatów, senatorów francuzkich. Cofnięty został rozkaz wyjazdu z oświadczeniem, że to nastąpiło nie w skutek wysokiej protekcji, ale z powodu przekonania się o niewinności oskarżonego.

Przykrość tę, rychło Bóg miłościwie i hojnie nadgrodził. Po szczęśliwej wyprawie francuzkiej na Bomarsund, przewieziono jeńców rossyjskich na wysepkę Aix, do dyecezyi Rochelle'skiej należącej. Monsignor Villecour, światły i gorliwy biskup téj dyecezyi, dowiedziawszy się od miejscowego proboszcza, iż są między niemi katolicy Polacy, najpobożniej do kościoła uczęszczający, a nie rozumiejący po francuzku, zaprosił po porozumieniu się z ministrem wojny księdza Jełowickiego, zaszczytnie już duchowieństwu francuzkiemu znanego (mianowicie z ogłoszonego *Miesiąca Maryi Panny*) do zajęcia się potrzebami duchownymi swoich współziomków. Udał się tam niezwłocznie; na trzystu jeńców znalazł 170 katolików z Królestwa i Litwy; resztę składali Żydzi, protestanci, Dońce starowiercy, i nareszcie Moskale *blahaczestwi*. Rodacy nasi byli ogólnie jeszcze młodzi, a już mowę swoją znacznie nadpsuli: pomocy religijnej nie mieli od czasu wtłoczenia ich do pułków. Ksiądz Jełowicki postarał się najprzód u władz wojskowych o oddzielenie Polaków od Rossyan, bo ci ostatni i w niewoli jeszcze ich prześladowali, nazywając *Francuzami, buntownikami*; za nim już odwiedzający mieszkańcy miejscowi większe współczucie dla naszych pokazywali. Dokonawszy tego rozdziału, zaczął z niemi ćwiczenia duchowne dwa razy na dzień zbierając ich do kaplicy zrana na Mszę; a wszystko przeplatane pobożnymi pieśniami w języku ojczystym, których żołnierze nie byli wcale zapomnieli, z największym skupieniem i rozrzewnieniem. Cóż dopiero powiedzieć, gdy nastąpiła Kommunia generalna? ode drzwi kościoła szli na kolanach do Stołu Pańskiego zalewając się łzami: podobnie się działo przy Bierzmowaniu, na które łaskawie zjechał sam arcypasterz. Duchowieństwo francuzkie i lud, nie nawykłe do widoku takiej prostej, żywej, i gorącej wiary, głębokie pokazywali wzruszenie i zdumienie: a ksiądz biskup zachował do końca życia najserdeczniejszą miłość dla narodu polskiego. Poczciwe nasze wiarusy zanim ich odesłano na Wschód do dywizyi generała Zamoyskiego, złożyli się na zostawienie pamiątki w kościółku, w którym na ziemi obcej, tyle szczęścia i błogości doznali. Nie brakło i tam wszakże wysłańców szatana, z dawniej emigracyi, którzy przychodzili buntować ich przeciwko wierze i kapłanom: ale oni tak na bezbożność swoich, jak Francuzów, patrzyli okiem litującej się pogardy. A że mamy wciąż do cierpienia od dwóch ostateczności, zaraz *Dziennik*

¹¹ Nie byliśmy przeciwni pracy polskiej na Wschodzie w zasadzie, ani pomaganiu Turcyi i jej obronie przez Polaków. Daliśmy tego dowód posyłając w r. 1855-ym księdza Kaczanowskiego na kapelana przy Dywizyi polskiej, pod dowództwem generała Zamoyskiego formującej się. Szczerze katolickie i polskie usposobienie tego dowódcy dawało nam rękojmię, że podkomendni jego nie będą narażeni na niebezpieczeństwo zturczenia się, i mogliśmy dla tego ze spokojnym sumieniem do dzieła tego przyłożyć rękę.

Petersburgski wystąpił zjadliwie przeciwko missyi księdza Jełowickiego, kłamiąc od początku aż do końca. Nie trudno przyszło oskarżonemu odpowiedzieć zwycięzko w kilku artykułach umieszczonych w dzienniku *l'Univers*.

Rozgłos, jaki miała cała ta sprawa, obudził gorzką gorliwość w niektórych dawnych kapłanach i świeckich w Paryżu. Ponieważ ksiądz Jełowicki zajęty był na wyspie Aix, a ksiądz Kaczanowski wysłany został w tym samym czasie do Algieru w interessach Zgromadzenia (1854) i objechał w powrocie z polecenia ministra wojny Toulon i Korsykę, gdzie dużo naszych jeńców wojennych bawiło (przy czém 24-ech schyzmatyków wprowadził do Kościoła): zdarzyło się, że przez jedne czy dwie niedziele nie było kazania polskiego w *Assomption*. Wspomniani duchowni, którzy na pewno, a świeccy prawdopodobnie na nabożeństwo polskie nie uczęszczali, udali się w deputacyi do księdza Arcybiskupa przedstawiając, iż my (Zmartwychwstańcy) objąwszy missyą dla emigracyi polskiej bynajmniej jój nie pilnujemy; że zresztą jesteśmy niepopularni jako nie-patryoci: że przeto proszą o pozwolenie otworzenia sobie osobnego nabożeństwa. Ksiądz Arcybiskup na razie podchwycony nie umiał nic stanowczego odpowiedzieć; ksiądz proboszcz św. Magdaleny nie rozumiejąc dobrze o co chodzi, pozwolił by jeden z obżalujących nas kapłanów, miewał tymczasem kazanie w należącym do niego a pozwolonym nam kościele *L'Assomption*. Kapłan ten wykladał formalnie kurs historii z ambony. Że jednak panowie ci wiedzieli, jakeśmy położeni w arcybiskupstwie i u proboszcza, i że za powrotem księdza Jełowickiego a wyjaśnieniem rzeczy całe ich rusztowanie runie: udali się z tą samą skargą do rządu. Współcześnie kilkunastu dawniejszych księży polskich, w drukowanej odezwie do braci emigrantów, oświadczyło: iż oni dotychczas (przez lat 23) musieli myśleć o zapewnieniu sobie utrzymania, ale że teraz tak się urządzili, aby mogli oddawać usługi duchowne swoim rodakom; co się im jako kapłanom polskim i ludziom narodowym z prawa należy: w skutek czego zapraszają ich do osobnego kościoła na nabożeństwo w dzień 29-go listopada. Ale też na tém się skończyło. Bo ksiądz Jełowicki uwiadomiony o wszystkim wrócił z Aix do Paryża; objaśnił władzę duchowną i proboszcza; nareszcie władzę policyjną: która obiecała być odtąd ostrożniejszą w przyjmowaniu zaskarżeń. Zapowiedział następnie nabożeństwo na 29-go listopada w kościele *L'Assomption*, na które przyszła liczniejsza i poważniejsza część emigracyi i wraz z zakładami uczącej się młodzieży. Odbył jeszcze nowennę, z codzienną nauką, do Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej: a zastąpiwszy się na ambonie w Paryżu pośpieszył do La Rochelle, zaproszony przez biskupa, do kazania w jego katedrze Adwentu dla Francuzów. Ponieważ spodziewano się lada dzień ogłoszenia Niepokalanego Poczęcia Matki Boskiej i dogmatem wiary, i istotnie Ojciec święty uczynił to na dniu 8-ym grudnia tegoż roku, wobec dwustu kardynałów i biskupów zebranych z różnych części świata: ksiądz Jełowicki kazał głównie o tej pocieszającej tajemnicy. Tak mu dobry Bóg pobłogosławił, iż dnia pewnego, podczas kazania, sam ksiądz biskup do łez się rozrzewnił; a po zakończoném kaznodziejstwie, przyszedł wraz ze swymi wikaryuszami jeneralnymi podziękować za pracę i zbudowanie, jakie dał jego owczarni. Wrócił potem nasz missyonarz do swojej trzódki polskiej, i mógł znowu pracować koło niej aż do czasu, w pokoju. Władza tylko duchowna żądała, aby odtąd, dla odjęcia nawet pozorów wszelkich do skargi, dwóch przynajmniej kapłanów naszych stale bawiło w Paryżu.

Na zebraniu biskupów, zaproszonych przez Ojcu świętego tego roku do Rzymu, dla towarzyszenia ogłoszeniu wspomnianego dogmatu, jeden tylko ksiądz Przyłuski arcybiskup poznański przedstawiał episkopat polski. Metropolita unicki ze Lwowa wymówił się bardzo już podeszłym wiekiem. Z biskupów pod rządem rosyjskim będących, żadnego nie zapraszała nawet Stolica Apostolska, wiedząc iżby to na próżno uczyniła. Ksiądz Przyłuski przywołał do Rzymu, celem otrzymania konsekracji biskupiej, przybranego sobie na koadjutora księdza Stefanowicza (świeżo zgasłego w Panu). Pobożny ten prałat, odbył ćwiczenia duchowne w domu naszym pod przewodnictwem O. Przełożonego, i w naszym kościółku był święcony przez kardynała Franzoniego, z pomocą J. M. księdza Cullen arcybiskupa prymasa Irlandzkiego, i ś. p. księdza Grant biskupa *Southwark* (część Londynu). Ojciec święty uszczęśliwił niezmiernie księdza biskupa Stefanowicza uprzejmem przyjęciem i dla nas też znalazł łaskawe słowa jak to zwykł czynić przy każdej sposobności.

Ponieważ tej zimy (z roku 1854 na 1855) odbywały się kolejno po rozmaitych kościołach rzymskich nabożeństwa trzydniowe, na podziękowanie Panu Bogu za nowe uwielbienie Najświętszej Maryi Panny: na żądanie pobożnych rodaków, i z ich pomocą, i myśmy takowe tryduum odbyli na zakończenie tegorocznego zimowego nabożeństwa dla Polaków w dniach 13, 14, i 15 Kwietnia. Kościółek św. Klaudyusza był pięknie przybrany, rzęsiście oświecony, a bogactwem kwiatów i pięknem ich ułożeniem wszystkie kościoły przesadził, (jak to się też dzieje przy corocznem ubieraniu grobu Pańskiego). Pisał o tem tryduum dziennik urzędowy rzymski, i po dwakroć *Univers* paryzki. Ponieważ dnia 12go Kwietnia zdarzył się ów tragiczny wypadek zaważenia się Ojca św. wraz z całym dworem u św. Agnieszki: myśmy pierwsi nazajutrz odśpiewali *Te Deum*, dziękując za uratowanie.

Miło wspomnieć że w tej epoce, t. j. 1854 śp. Zygmunt Krasieński, (który był w roku 1847 przykładnie się wypowiedział w Rzymie i wyśpiewał potem cudny swój psalm 5ty, psalm *dobrej woli*); że mówię Zygmunt Krasieński odwiedził wtenczas po raz ostatni Rzym z całą swoją rodziną, zajęty z pomocą naszą kształceniem religijnem dzieci swoich. Doszedł on był do wielkiej delikatności sumienia i w tym kierunku się rozwijał aż do śmierci swojej, która go w lat kilka później w Paryżu zaskoczyła.

Wypada też nadmienić, że w okresie tym Zgromadzenie nasze okrom trudów misyjnych zdobyło się na niektóre prace drukiem ogłoszone, których główniejsze wspomniemy. I tak O. Hube wydał dziełko swoje o częstej Komunii, które na parę języków obcych przetłumaczone i w Warszawie przedrukowane, zbawienne owoce dla dusz wydało. O. Jełowicki okrom ćwiczeń duchownych i Roku Chrystusowego, wydanych z gorącym zaleceniem księdza arcybiskupa Przyłuskiego, ogłosił swój piękny Miesiąc Maryi, na kilka języków przełożony, przez wielu biskupów mianowicie francuzkich wiernym zalecony, i którego dedykacją przyjął łaskawie Ojciec św. O. Kaysiewicz ogłosił swoje Rozmyślenia o męce Pańskiej i Żywot błogosławionego Andrzeja Boboli w polskim i francuzkim języku. Dzieło O. Semenienki, *Towiański et sa doctrine* spowodowało Ojca św. do mianowania go członkiem kongregacyi Indeksu. Nadto obaj ostatni byli czynnymi współpracownikami Przeglądu Poznańskiego, do którego Ojciec Semenienko mianowicie dostarczył artykułów przeciw księdzu Pocijowi, magnetyzmowi, stołom wirującym, o słowie poiskiem, a później Biesiady filozoficzne; ksiądz Kaysiewicz Rzecz o rozwodach itd.

Tak stały rzeczy u nas w połowie 1855 roku gdy O. Hube oświadczył chęć usunięcia się od przełożenstwa. Słabego zdrowia, usposobiony do cichego i pobożnego życia wybornie dźwigał brzemień swoje podczas epoki cierpienia za republiki w Rzymie, ale czuł je dolegliwiej odkąd się życie czynne zaczęło napowrót. Trapił go mianowicie niedostatek finansowy w Zgromadzeniu. Otrzymaliśmy wprawdzie zapis od śp. Zofii z Giżyckich Łubieńskiej 10,000 złp. na nabycie rezydencyjki letniej, nabyliśmy winnicę pod Rzymem, aleśmy nie mieli funduszu, aby w tej winnicy korzystnie prowadzić gospodarstwo. Jedyne fundusz zapisany Zgromadzeniu przez śp. Wiktoryą z Orłowskich Sobańską dostarczał dochodu na utrzymanie stałe kilku kapłanów polskich w Rzymie dla wygody duchowej przybywających tam rodaków, ale i ten nie wystarczał już do wychowania choć nielicznej jeszcze młodzieży zakonnej. Położenie takie męczyło Ojca Hubego i niepokoiło jego sumienie. Gdy nadto pomimo odbytej umyślnie podróży nieudało mu się, nie już w Galicyi ale nawet na Szląsku założyć kolonii Zgromadzenia, zarażony niepowodzeniem, i swojej niezaradności niesłusznie przypisując to co było miłosierzną dla nas próbą Bożą, postanowił ostatecznie usunąć się od przełożenstwa i wyjechał Francji, gdzie odtąd latem w Paryżu dopomaga księdzu Jełowickiemu, a zimą obsługuje kolonijkę polską zjeżdżających się chorych do Hyères pod Tulonem. Dopelnienie brakujących dwóch lat jego przełożenstwa spadło na mnie jako zastępcę, za przystaniem braci radnych. Nie cofnąłem się przed tem brzemieniem, albowiem byłem naoczas pomocnikiem zawiązującym się w Rzymie Siostrą zakonną, nazwaną później od Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Maryi Panny, a byłem przekonany, że z woli Bożej posługę tę sprawuję.

ROZDZIAŁ V.

Przełożenstwo księdza Hieronima Kaysiewicza (1855-1864).

Widzieliśmy jak trudne były nasze początki. Lat wiele biedziliśmy się zanim doszliśmy do własnej Reguły. Niekorzystnymi były dla poczynającego się Zgromadzenia tak częste zmiany przełożonych, a niedostatek finansowy pod niejednym względem przeszkadzał wewnętrznemu porządkowi. Przybyła śmiertelna choroba księdza Semenienki, rok cały trwająca, choroby całej służby domowej, i tym podobne krzyże przechodnie. Ale stałą a boleśnie trapiącą troską było niepowiększanie się Zgromadzenia. Trzech dawnych członków ubyło, księży Duński, Terlecki i Godlewski; śp. Stefan Witwicki za ledwo śluby zakonne złożył, umarł w roku 1847; podobnież ksiądz Bentkowski za ledwo wyświęcony przeniósł się do wieczności. Z wielu którzy przyjęci byli na próbę, jeden tylko pozostał ksiądz Tomasz Brzeska, przybyły w roku 1847, rodem z górnego Szląska. Po kilkunastu latach trwania było nas wszystkiego sześciu kapłanów i kilku braciszków. Nie zwiększało się więc Zgromadzenie i co gorsza nie było nadziei zwiększenia, bo emigracya z roku 1830 starzała się, a młodym duchownym z kraju nie pilno było puszczać się na wygnanie. Wobec tak smutnego stanu

rzeczy jednemu ze starszych braci przyszło na myśl, iż ta niepłodność pochodzi ztąd, iż jesteśmy wyłącznie Polakami, rekrutujemy się z wygnańców i pracujemy dla emigracyi z natury swojej przechodniej, i niemającej przyszłości; a na grunt polski pomimo kilkokrotnych zachodów dostać się nie było podobna. Wnosił zatem, iż należało przyjmować cudzoziemców i pracować również i dla cudzoziemców. Nigdyśmy ich w zasadzie nie wykluczali; owszem mieszkał z nami lat kilka młody i zdolny kapłan rzymski ksiądz Marchetti: ale poczuł w sobie powołanie do missyj afrykańskich i zapracowawszy się rychło, świątobliwie na Malcie życia dokonał. Raczej cudzoziemcom nie przychodziło na myśl zgłaszać się do nas, bo obcy brali nas za zakład wyłącznie polski, nazywając nas w Paryżu *pretrés polonais*, *mission polonaise*, a w Rzymie *collegio polacco*, *preti polachi*, *congregazione polacca*. Nadszedł czas w którym i pod tym względem rzecz się wyjaśniła i uzupełniła bez żadnego z naszej strony starania i bez żadnej też zasługi. W roku 1853 pojawił się był młody Westfalczyk, zdolny i przyzwoity, imieniem Eugeniusz Funcken, gorąco prosząc o przyjęcie. Gdy zapytany czy wychowany na chlebie polskim, zechce się po polsku nauczyć, i w razie potrzeby w Polsce pracować, chętnie się na to zgodził, i został przyjętym. Ksiądz Tomasz Brzeska wysłany dla zdrowia do stron rodzinnych i tam czas niejaki w Piekarach pracujący, przysłał kilku Górnio-Szlązaków. W miesiącu Sierpniu tegoż roku 1855, dwóch młodych księży Piemontkich pragnących pracować po missyonarsku, ale pod posłuszeństwem, poznawszy w Spezia pobożne rodziny polskie, za ich wskazówką postanowiło do Zmartwychwstańców się przyłączyć, a gdy ani mała tychże liczba, ani ich ubóstwo odstraszyć ich nie mogło, zostali przyjęci. Tak się dom zaczął napępiać pomimo ciężkiego niedostatku. Rok przeszło potem, jakby umyślnie dla przybyłych świeżo członków, otrzymało Zgromadzenie od Ojca św. opuszczoną a bardzo starożytną świątynię Mentorella w Apeninach w dyecezyi Tivoli, o siedm godzin drogi od Rzymu położoną. Miejsce to uświęcone jest już na początku drugiego wieku ery chrześcijańskiej cudownem ukazaniem się Zbawiciela Placydowi, powszechnie znanemu pod imieniem św. Eustachego, hetmanowi rzymskiemu, a później męczennikowi. Ozdobił je Konstantyn Wielki bazyliką, św. Sylwester papież poświęcił, Benedyktyni przebudowali, a spaloną w XV. wieku, O. Kircher uczony archeolog S. J. w XVII wieku odnowił. Kościół ten słynny jest nadto cudownym posągami Matki Boskiej, a jakkolwiek pozbawiony od wieków już zamieszkałych przy nim stale kapłanów, nie przestał być miejscem pielgrzymki, mianowicie na wielki odpust Święto-Michalski. Tę świątynię tedy Zgromadzenie powierzyło swoim nowym włoskim członkom, a od objęcia jej przez tych gorliwych missyonarzy nabożeństwo ludu i korzyść dusz niezmiernie się wzmożły.

Tu z kolei przychodzi mi dotknąć sprawy, która nam zrazu wiele trudu przyniosła, a później wielu skarg na nas była powodem. Lat temu kilkanaście rząd rossyjski w Królestwie chciał rozesać uczniów Seminaryum unickiego w Chelmie do Moskwy i innych Akademij duchownych schyzmatyckich. Kilku pojechało, czterech przeniosło raczej wygnanie. Pierwszy przybył do Rzymu ksiądz Malczyński Klerykiem jeszcze i pragnął wstąpić do naszego Zgromadzenia; ale że zarazem chciał przejść na obrząd łaciński nie przyjęliśmy go, jakkolwiek zresztą ze wszech miar się zalecał. Na usilne prośby nasze przyjął go wyjątkowo,

pomimo wiek doroślejszy nad przepis, śp. kardynał Franzoni do kolegium Propagandy¹². Wkrótce potem przybyło trzech innych Kleryków tejże dycjezyi Chełmskiej, ale dla tych, ile że już starszych wiekiem, Propaganda nie chciała uczynić wyjątku od prawa. Otrzymaliśmy więc wezwanie od kardynała Prefekta, w imieniu Ojca św. wystosowane, abyśmy ich przyjęli pod naszą opiekę aż do czasu skończenia nauk, za opłatą ze strony Propagandy.

Jużeśmy poprzednio drogo okupili doświadczenie, co to za niedogodność mieszania konwiktorów z młodzieżą zakonną; ale jak oprzeć się życzeniu Ojca św.? jak nie przytulić wyznawców wiary i wierności dla Stolicy Apostolskiej? Przystaliśmy zatem, choć rychło widzieliśmy sprawdzone nasze obawy. Jeden z trzech, (nazwiska już nie pamiętam), który był zaręczony w kraju, wrócił rychło za amnestyą. Pozostali ksiądz Michał Krypiakiewicz i ksiądz Józef Mosiewicz. Wypraszałyśmy się nieraz od nich w Propagandzie, składając się głównie ciasnotą mieszkania, ale nam odpowiadano: „w takim razie tracą subsydia, bo Ojciec św. nie chce by w mieście bez dozoru mieszkali”. By nie pozbawiać chleba rodaków i współwygnańców, cierpiało się dalej.

Po ukończonych naukach trzeba było myśleć o wyświęceniu. Biskupa dycieczalnego nie było, a choćby był, nieśmiały by przysłać im papierów potrzebnych. Kościół zaś nie święci księży nie mających zapewnionego utrzymania lub zajęcia, by nie narażać ich na nieprzyzwoite wałęsanie się. Wtedy otrzymawszy od dwóch wspomnianych kleryków uroczyste zapewnienie, że po wyświęceniu będą pracowali na missyach gdzie ich Propaganda poszle, dopóki nie będą mogli wrócić do swej dycjezyi, podałem prośbę do Ojca św., aby w moc władzy apostolskiej, i jako *Ordinarius* dycjezyi Chełmskiej (bo bezpośrednio mu poddanej a nie obsadzonej), raczył dwóch kleryków tejże dycjezyi Krypiakiewicza i Mosiewicza wyświęcić na kapłanów, obowiązujących się tymczasowo pracować na missyach.

Ojciec św. łaskawie się przychylił do prośby i ksiądz Krypiakiewicz pierwszy został wyświęcony na kapłana; ale gdy chodziło o udanie się na missyą, wręcz odmówił.

Zawiedziony tak i zawstydzony wobec Ojca św., oświadczyłem temu kapłanowi, że dalej u nas mieszkać nie może. Stracił przy tej sposobności ksiądz Krypiakiewicz miesięczną pensyą, którą od Propagandy pobierał; ale czy mogliśmy inaczej postąpić?

Że ksiądz Mosiewicz dostąpiwszy dyakonu, do kapłaństwa się nie zabierał, składając się słabością zdrowia (i rzeczywiście jest cierpiący), lat kilka jeszcze osłanialiśmy go przed Propagandą skarżącą się że za fundusz łożony na bezczynnego diakona, mogłaby utrzymywać kapłana pracującego na missyi. Gdy nam Ojciec św. ofiarował missyą w Bulgaryi, proponowaliśmy czyby niechciał choć na czas tam pojechać. Przystał, otrzymał błogosławieństwo Ojca św. na drogę, lecz nie pojechał. Gdy tymczasem z Bulgaryi powrócił do Rzymu ksiądz Malczyński, najlepší u Propagandy położony i naturalny opiekun dla księdza Mosiewicza, uprosiliśmy tego ostatniego aby także nasz dom opuścił.

Zarzucano nam żeśmy przeszkodzili promocyi księdza Krypiakiewicza na biskupstwo Chełmskie. Ten zarzut zdaje się być zrobiony dla żartu, boć nikt przecie o takiej promocyi

¹² Gdzie też nauki swe skończył; wysłany do Bulgaryi był czas niejaki przełożonym duchownym Unitów Bułgarskich, a świeżo mianowany administratorem apostolskim, ostatecznie Biskupem dycjezyi łacińskiej Alessio w Albanii. Z tym prałatem zachowaliśmy do końca uprzejme stosunki.

naprawdę myśleć nie mógł. Nie mieliśmy najmniejszej potrzeby sprzeciwić się kandydaturze księdza Krypiakiewicza, lecz gdyby była w istocie postawioną i gdyby nas o zdanie zapytano, z czystym sumieniem oświadczylibyśmy się przeciw temu i nie wahamy się tego głośno wyznać. Słyszeliśmy wprawdzie, że ambasada rosyjska w Rzymie, aby nie dopuścić na stolicę Chełmską śp. ks. Kalińskiego, (który umarł wyznawcą wiary i prawie męczennikiem w podróży do Wiatki) ofiarowała się przyjąć raczej choćby księdza Krypiakiewicza; ale to wszyscy w Rzymie za złośliwy żart tylko wzięli, żart który nie czyni zaszczytu księdzu Krypiakiewiczowi, a pomnaża liczbę nieprzyzwoitości, jakich się poselstwo rosyjskie wobec Rzymu i Kościoła Unickiego dopuściło.

W każdym razie nie ma to nic wspólnego z nominacją księdza Kuziemskiego, która w lat wiele później nastąpiła, a w której my najmniejszego udziału nie wzięliśmy. Każdy cokolwiek obeznany z tą ostatnią sprawą wie dobrze, że ją przeprowadził świeżo zmarły ksiądz Metropolita Litwinowicz z poselstwem rosyjskim w Wiedniu, i wziął na siebie odpowiedzialność przed Rzymem za trafność tego wyboru; poparł go zaś głównie nuncyusz wiedeński Mgr. Falcinelli, którego nasi rodacy, jeśli co przeciw tej nominacji mieli, zawczasu powinni byli oświecić, a przedewszystkiemu zyskać u niego potrzebne zaufanie.

Wspomnieliśmy, że O. Kaczanowski wysłany został do Turcji podczas wojny Wschodniej na kapelana dywizji polskiej, która z końcem wojny rozwiązana została. Po długiej niepewności i oczekiwaniu, za staraniem generała Zamoyskiego, część legionistów polskich otrzymała prawo kolonizowania się na ziemiach Reszyda-Baszy w sławnej Tessalskiej dolinie Tempeja; a to na warunkach wieczystego czynszu. Reszyd, najznakomitszy statysta turecki, przyjaciel Polaków i nie fanatyk, obiecał zbudować kościół i dom dla proboszcza, zapewnić dlań utrzymanie i uważać go za pierwszą osobę w osadzie *Reszydié* od naszych przez wdzięczność nazwanej. Tak generał Zamoyski jak głos powszechny przyznają Ojcu Kaczanowskiemu główną zasługę zawiązania tej kolonii. Niestety! były w niej od początku zarody śmierci. Kolonizowało się też dziewięciu oficerów, a choć niektórzy z nich z wielką gorliwością i bezinteresownością nad utrwaleniem tej osady pracowali, inni natomiast nie mieli nic pilniejszego nad zakładanie stronnictw pomiędzy kolonistami. Do tego wiarusy nasze urodzone na płaszczyznach polskich, pomimo rad i ostrzeżeń kapłana i innych doświadczeńszych, nie chcieli się budować na górach, jedno na dolinie niezdrowej w skutek długiego zapuszczenia, i stojących tu i ówdzie wód. Jeszcze za życia zamożnego i hojnego właściciela, Turcy obyczajem swoim z trudnością dostarczali obieranej pomocy; a gdy rychło umarł, i spadkobiercy jego dłużej łożyć nie chcieli, koloniści i zdemoralizowani przez ciągłe febry, w różne strony się porozchodzili.

Współcześnie prawie J. M. ksiądz Charbonnel, biskup z Toronto w Kanadzie, ze łzami prawie w oczach błagał nas o odstąpienie mu choć dwóch misjonarzy, dla Niemców, Czechów i Polaków osiadłych w jego dyecezyi; miał bowiem kilka parafij, które od lat wielu księdza nie widziały. Otrzymał wzmiankowanego już księdza Funckena, i na początku tegoż roku 1857-go powstała missya w Kanadzie. Nie piszemy o niej obszerniej, gdyż czytelnik znajdzie szczegóły o dalszym jej rozwoju w naszych listach Zaatlantyckich.

Ustalała się też i kwitła najstarsza missya Zgromadzenia w Paryżu. Nie była ona nigdy, jak widzieliśmy na chwilę nawet opuszczona, ale częste zmiany przełożonych nie

dozwalały wprowadzić do niej jednego ciągu działania, niezbędnego w każdej sprawie. Poruczona od rok 1850-go O. Aleksandrowi Jełowickiemu, w jego ręku się dotąd przy kościele Assomption utrzymała. Nie wygodne to ze wszystkiemi pomieszczenie, jak zwykle w obcej świątyni, w której pewna część posług parafialnych francuzkich się odbywa; ale regulane co niedziela polskie nabożeństwo ściągające wychodźców ze wszystkich stron Paryża, częste ćwiczenia duchowne (na Wielkanoc lub w miesiącu Maryi) dla Polaków urządzone, częsta obecność uczniów szkół polskich obojęd płci w święta bardziej uroczyste, sprawiły, że kościół ten jakkolwiek do parafii Magdaleny należący i ledwo przez kilka godzin co tydzień przez Polaków zajmowany, znany jest w Paryżu dość powszechnie pod nazwą kościoła polskiego i prawie uchodzi za polską parafią. W istocie, tu się związały z ołtarzem wszystkie nasze wspomnienia narodowe; tu rocznice polskich tryumfów lub nieszczęść, dni wesela i dni żałoby uroczystym nabożeństwem obchodzone i słowem Bożem uświęcane; tu objają się o mury paryzkie, pieśni religijne, któremi od wieków lud polski w ciszy wiejskich kościółków przyzywa miłosierdzia Pańskiego; tu w starym herbie trzech Polski narodów zajaśniała Pani nieba i ziemi; tu raźniej płynie z duszy modlitwa za ojczyznę, bo i tu ojczyzna żyje pełniejszym i czystszyim życiem, pod jawną opieką jej Najświętszej Królowy. Tutaj głos kapłanów Bożych cześć pamięć mężów zasługi, którzy swym zgonem naród zasmucili; tu słyszeć się daje głos przestrogi w każdym ważniejszym wypadku z bliska lub z daleka wiary dotyczącym i przed każdą dla narodu pokusą; tu ów święty nasz Patron, któremu wielki Papież porучzył losy pogrobowej Polski, Jan Kanty, odbiera od wygnańców, co rok, cześć rzewną, gorącą, uroczystą, od wszystkich partyj i obozów politycznych przyznaną; ztąd wreszcie dochodzą Ojca świętego, jakkolwiek słabe bo wątpliwości sił odpowiednie, ale niezmiennie dowody wierności naszej dla Stolicy Piotrowej! A tak siłą rzeczy i siłą pocziwego uczucia, które u nas z Bogiem zaczynać i z Bogiem wszystko lubi kończyć, kościół Assomption stał się jakby duchową wychodźtwa stolicą i choć nie polski jednak polską, najprzedniejszą w Paryżu instytucją, do której każdy emigrant choćby najbiedniejszy i najdalej zamieszkały, przynajmniej kilka razy do roku zajść musi.

W roku 1855-ym O. Aleksander Jełowicki oddał uroczyste missya swoje i wychodźtwa i całą Polskę pod opiekę *Matki Boskiej Zwycięzkiej* (Notre Dame des Victoires) zawieszając w jej świątyni w Paryżu wielkie i piękne złote *votum* ponawiając w ten sposób ślub króla Jana Kazimierza w imieniu narodu przed dwoma wiekami uczyniony. Piękne kazanie, które przy tej uroczystości powiedział, zostało w zbiorze jego drukiem ogłoszone. Rzewnie też przemówił ksiądz Desgenettes sędziwy proboszcz kościoła, założyciel Arcybractwa Najświętszej Panny. Widok zboliałych wychodźców, starców i niewiast ciskających się na kolanach pod opiekę Maryi Panny dziwnie był wzruszający. Napis na ofiarowanym *votum* był następujący: „Ci w koniach, ci w jeźdźcach, a my w sercu Maryi chlubić się będziemy”¹³.

Tymczasem skutkiem częstszych podróży Polaków do Francji, zwłaszcza po wojnie wschodniej, missya paryzka zaczęła także wywierać silniejszy wpływ na kraj; a dopomagało

¹³ Lat kilka przedtem posłaliśmy do kościoła Grobu Chrystusowego w Jeruzalem na *ex voto* kielich, który mi pokazywano podczas wycieczki mojej do Ziemi Świętej.

temu rozwinięte na większy rozmiar wydawnictwo dzieł religijnych. Usługi, jakie na tém polu missya paryzka oddała, liczyć się zawsze będą do pierwszych w historii naszego Zgromadzenia. Zamieściliśmy gdzieindziej tytuły około sześćdziesięciu dzieł religijnych przez nas ogłoszonych¹⁴; w większej części są to dzieła treści religijnej, książki do modlitwy czytania budujące, rozmyślania i tym podobne pisma dążące do obudzenia w wiernych życia wewnętrznego. Kto sobie przypomni jakie to były książki, które nie w jedném miejscu służyły w Polsce ku modlitwie, układane przez ludzi świeckich nie mających pojęcia o liturgii, nieraz nawet przez księgarzy protestanckich lub żydowskich; kto wie ile w tych książkach było modlitw albo niewłaściwych, albo grzeszących pod względem dobrego smaku i polszczyzny; kto pamięta jaki był niedostatek dzieł lepszej treści ku codziennemu wiernych pożytkowi: ten zrozumie z łatwością wagę i dom wydawnictwa Zgromadzenia. Wszystkie książki i książeczki przez missyą paryzką ogłoszone, tysiącami egzemplarzy rozeszły się i rozchodzą po kraju; można powiedzieć, że na nich się modli dzisiaj większa część Polski. Różnej formy i treści, zastosowane do pojęcia każdego stanu i wieku, zastosowane także do charakteru narodowego, przytém zamknięte ściśle w obrębie modlitw Kościoła, są one czystym i zdrowym dla duszy pokarmem, a przez swe zalety redakcyi i języka, są nieraz prawdziwem zbogaceniem naszej literatury. Mało jest dzieł w polskiem piśmiennictwie, któreby pod względem piękności, czystości, a zarazem dziwnej harmonijności wyrażen i stylu dały się porównać z paryżkiem tłumaczeniem *Filotei* św. Franciszka Salezego; a na podobne uznanie zasługuje także tłumaczenie *Naśladowania Jezusa Chrystusa* przez paryzką missyą dokonane.

Dodatkiem do missyi paryzkiej w ciągu miesięcy letnich bywała missyą Ostendzka, na którą po odbytem zebraniu ogólném i potwierdzeniu jednomyślném mnie na przełożenstwie na następnych lat siedm, udaliśmy się wraz z księdzem Jęłowickim, podczas gdy ksiądz Semenenko kazał w Paryżu. Missya ta zaczęta już była w roku 1845-ym, zrazu tylko dla kilkudziesięciu osób przybyłych z wód niemieckich na rozkaz lekarzy do morskich kąpieeli: ale liczba przybywających powiększała się co roku. Od wstąpienia na tron Aleksandra II mnóstwo poddanych rosyjskich korzystając ze zwolnienia w trudnościach paszportowych, wyjechało za granicę. Także choć w ciągu sierpnia dużo osób już było odjechało, jeszcze do sześciuset było we wrześniu. Podczas kazań kościół pokapucyński bywał zapełniony, a kazania bywały codzienne. Całe ranki i jeszcze po obiedzie trzeba było spowiadać. Nietylko się spowiadały niewiasty zwykle chętniejsze, ale wielu mężczyzn, znakomitych obywateli, wysokich urzędników, czyniło to bez najmniejszego względu ludzkiego. Dużo było spowiedzi z całego życia, dużo prawdziwych nawróceń. Miejsce to też bardzo stosowne do missyi: bo okrom przechadzki nad morzem niema nic zresztą, coby rozrywało i odrywało. Nabożeństwo było siłą rzeczy jedyną i najmiłszą rozrywką; głód wielki słowa Bożego i Sakramentów świętych przywieźli byli ze sobą krajowcy: to też chciwie pili z tego źródła zbawienia. Na pamiętkę ofiarowali nam wspaniały kielich; a kto mógł spieszyl do Paryża słuchać kazań w Assomption.

¹⁴ *Rocznik Tow. Hist. Literackiego* w Paryżu na rok 1867. Wiadomość o Zgrom. Zmartwychwstańców s. XXXVIII.

Zwrócić może uwagę czytelnika częste nasze podróże (co nam zresztą zarzucano): ale my w ten sposób zastępowaliśmy naszą małą liczbę. W Rzymie latem niema zajęcia czynnego, więc gdy się czegoś nie pisało, można było popracować w Paryżu, Ostendzie; ile że zmiana miejsca i pracy jedynym dla nas zwykle odpoczynkiem. Dał też dobry Bóg w ciągu tych podróży po kraju lub za granicą, pozyskać niejednego różnowiercę Kościołowi i pocieszyć wiele dusz zasmuconych, wahających się, lub wewnątrz zamąconych.

W Rzymie okrom kaznodziejstwa zwykłego odbyliśmy w zimie z roku 1857-go na 1858-my, uroczysty obchód żałobny po ś. p. kardynale Lewickim, metropolicie Halickim; urządzeniem zajął się przyjaciel nasz ksiądz Jan Koźmian, mieszkający od roku przeszło z nami i oddający się naukom teologicznym. Prezydował temu obchodowi ś. p. kardynał Altieri, obecny był w trybunie ś. p. kardynał Reisach. Mszę świętą śpiewał Mgr. Bedini Sekretarz Propagandy, później kardynał, w asystencji Mgr. Bastide naczelnego kapelana francuzkiego. Obecni byli arcybiskupi grecki i ormiański, biskupi Besi i Luquet; prałaci Latour d'Auvergne audytor francuzki i de Mérode szambelan papieżki; ksiądz Dąbrowski prowincjał Bazylianów; rektorowie seminaryum francuskiego i niemieckiego; i wielu innych zakonników i księży świeckich różnych obrzędów. Assystowało kollegium grecko-sławiańskie i część Propagandy. Po Mszy pontyfikalnej, ksiądz Donicki kapłan galicyjski, w towarzystwie wspomnianych już księży Mosiewicza i Krypiakiewicza, odśpiewali *Panachidę* w języku cerkiewnym, po czém nastąpiło *Libera* podług obrządku łacińskiego. Mowę pogrzebową powiedzianą przezemnie w języku włoskim ogłosił *Przegląd Poznański* w języku polskim, a *L'Univers* we francuzkim¹⁵, umieszczając list z opisem tego obchodu bardzo zaszczytnym dla Zgromadzenia

Aby nie nużyć czytelnika monotonném powtarzaniem zwykłych zajęć, naszych, ściśniami je w pewne ogólniejsze obrazy, obszerniej nieco tylko mówiąc o nowych zakładach lub zajściach i wypadkach. Ostatnie zebranie ogólne z roku 1857-go było nader ważném dla Zgromadzenia; na niem już zupełnie dojrzała myśl jego o swoim celu i powołaniu, a tém samem objawiła mu się wyraźnie racya istnienia. Dla tego i reguła mogła być tak już łatwo w łonie jego być uznaną i przyjętą. Każde bowiem zgromadzenie nowo zakładające się z natury rzeczy powinno mieć jakiś cel i powód istnienia swego rodzaju, to jest jemu właściwy; inaczej członkowie nowe zgromadzenie zakładający znaleźliby odpowiedniejsze miejsce w zgromadzeniach już istniejących. Członkowie pierwsi naszego Zgromadzenia przez lat piętnaście od swego pierwszego skojarzenia się w 1842-im roku pracując wśród świata w apostolskim zawodzie, mieli czas przypatrzeć się i biedom świata i potrzebom Kościoła, i za łaską Bożą rozpoznać, czém ma być w naszych czasach nowe zgromadzenie, chcące pożytecznie służyć i Bogu i ludziom. Zdawało nam się wtedy, że najgłówniejszym nieprzyjacielem Boga i Kościoła a tém samym szczęścia ludzkiego i zbawienia, jest w tych naszych czasach socyalizm, czyli system, szkoła, dzieło całe przez coraz większą liczbę ludzi w czyn wprowadzane, a którego zadaniem wygłoszoném jest: aby społeczeństwo ludzkie urządzić bez Boga, bez Chrystusa, bez Kościoła, wprost środkami ludzkiemi i w imię człowieka, w imię jego woli i jego siły, a urządzić daleko lepiej, mądrzej, szczęśliwiej, niż

¹⁵ Patrz w II-gim tomie kazań i mów przygodnych.

kiedykolwiek Kościół Chrystusa uczynił to lub może uczynić. Jak w średnich wiekach *Mahometanizm* i wewnątrz rozwiązłość *ciała* zbuntowanego przeciw obyczajowi chrześcijańskiemu, jak w XVI-ym wieku *Protestantyzm* i bunt *rozumu* ludzkiego przeciw prawdzie chrześcijańskiej; tak dzisiaj *Socjalizm* i rokosz *woli* ludzkiej przeciw chrześcijańskiemu zakonowi i chrześcijańskiej władzy są głównymi, wydatnymi nieprzyjaciółmi Kościoła, Chrystusa, Boga. Jak wtedy przeciw pierwszym nieprzyjaciółom Bóg wzbudził w Kościele w wieku XIII-ym cały zastęp zakonników (Dominikanów, Franciszkanów), jak przeciw drugim w XVI-ym wieku i później wzbudził inne zgromadzenia (Teatynów, Jezuitów, Piarów, Oratoryanów, Misjonarzy), tak teraz w XIX-ym wieku wzbudzi niezawodnie odpowiednie tym nowym dzisiejszym nieprzyjaciółom zgromadzenia z siłą potrzebną do walczenia z nimi. I to pojąwszy, stosownie też do tego, z obowiązku sumienia położyliśmy odpowiednie zasady dla naszego Zgromadzenia, dalecy od uroszczenia aby się równać z owymi wielkimi zgromadzeniami kościelnymi, ale żeby w danym razie, skoro już raz nasze Zgromadzenie nie wiadomo jak zawiązało się, by mówię to uczynić, do tego wziąć się, co w tym danym razie, w tym czasie, w tym miejscu, w tych okolicznościach właśnie jest do uczynienia.

A to dzieło do uczynienia, chociaż w ostatecznym swoim zamierzeniu i zniszczeniu jest olbrzymie i nadludzkie, jednakże w pierwszym wzięciu się do niego bardzo jest proste i pospolite. Idzie bowiem o urządzenie społeczeństwa po chrześcijańsku, przeciw tym którzy je chcą urządzić po ludzku i po pogańsku. Każdy system socjalny chcący urządzić towarzystwo ludzkie po swojemu, musi zacząć i zaczyna od jakiejś jednostki społecznej, musi urządzić najprzód jedną gminę; tak Fourier zaczyna od falansteru, inni od czego innego. Jednostką społeczną chrześcijańską jest parafia. Urządzić społecznie po chrześcijańsku parafią, jest to rozwiązać zadanie urządzenia całej społeczności ludzkiej, całego narodu, całego rodzaju ludzkiego. A jednak cóż jest prostszego, cóż pospolitszego jak urządzenie parafii, jak apostołstwo i usługa parafialna?

W skutek tego, na zebraniu ogólnym roku 1857-go zgodziliśmy się jednomyślnie i z całą świadomością rzeczy, aby przyjąć i uświęcić jako jeden z celów głównych naszego istnienia i pracy, i życia zajmowanie się rządem parafij, z wszelką rozumie się uległością biskupom, i na tych samych warunkach względem nich co i reszta księży, a z tą jedną że między sobą prowadzimy życie wspólne, i ślubami zakonnymi związane. Nie mamy pewno żadnej pretensji zastąpić duchowieństwo świeckie, co zresztą byłoby czystym niepodobieństwem; ale mamy zamiar, chęć, wolę najszczerzą aby te parafie które tu i ówdzie mogłyby nam być powierzone, uczynić wzorem chrześcijańskiego życia, a tym samym innym kapłanom dać niejako okazję, pobudkę, a nawet i pomoc we wzięciu się do podobnego dzieła. Co zaś do samegoż urządzenia parafij, w tym postanowiliśmy sobie mieć przed oczyma co Duch święty uczynił między pierwszymi Chrześcianami, że byli jednym sercem, jedną duszą i wszystko im było wspólne. Tak i dzisiaj, nie żadnym rygorem prawa ale dobrą wolą, którą da tenże Duch święty, parafia może przyjść do tego, iż prawdziwie będzie jedną rodziną i wszyscy będą kochali się i żyli jak bracia.

Ten jest główny cel Zgromadzenia naszego, który właśnie w tymże 1857-ym roku spełniać się zaczął przez zawezwanie, jakieśmy to widzieli, niektórych z naszych Ojców do Ameryki i oddanie im pod zarząd parafij, których dziś już tam pięć w samej Kanadzie liczą.

Ale przy tym głównym celu konieczne przychodzą i inne, chociaż poboczne lecz nader ważne. Najważniejszym jest i wychowanie. Oczywiście, że do samego dobrego zarządu parafij, trzeba w łonie swoim przysposobić dobrych robotników. Lecz prócz tego ogół społeczeństwa ludzkiego wymaga większych szkół, o których tém bardziej trzeba myśleć takiemu zgromadzeniu, które podobne urządzenie społeczeństwa ma na celu. Bo tu idzie o wychowanie chrześcijańskie, o ludzi z wyobrażeniami i zasadami chrześcijańskimi, aby zupełna była harmonia w takiej społecznej rodzinie chrześcijańskiej. Za drugi tedy choć poboczny cel mamy wychowanie takie chrześcijańskie. Inne z powyższych wypływają.

Po takim ustaleniu się wewnętrznym, już to jedno pozostawało, aby Zgromadzenie prosiło Kościół o potwierdzenie. Straszono je tymczasem, że z nazwą swoją Zmartwychwstania daje prawdopodobność potwarzom nieprzyjaciół, jakoby było czysto narodowo-polskie i polityczne. Ale gdy Bóg przysłaniem kilku cudzoziemców do Zgromadzenia, i założeniem missyj zagranicznych odjął podstawę podobnym podejrzeniom, przełożony podał prośbę do Ojca św. dołączając przychylnie świadectwa Kardynała wikarego rzymskiego, Kardynała arcybiskupa paryzkiego, biskupów z Tivoli i Hamilton w Ameryce; i dnia 14go Września 1860 roku, w dzień podniesienia Krzyża św., wyszedł wyrok pochwalny, z potwierdzeniem i upoważnieniem do składania przez członków Zgromadzenia trzech ślubów prostych, po uprzednim roku nowicyatu. Tak Zgromadzenie Zmartwychwstania Pańskiego zyskało prawowitą podstawę do dalszego rozwijania się w Kościele Bożym.

Rychło też otworzyło się nowe pole do pracy w kierunku odpowiednim powołaniu Zgromadzenia. Objawił się ruch bułgarski ku zjednoczeniu z Rzymem, spowodowany raczej pobudkami narodowymi i politycznymi wyzwolenia się z pod jarzma duchowieństwa greckiego, niż popędem nadprzyrodzonym do zjednoczenia się ze Stolicą Apostolską. Wszakże gdyby byli ludzie gotowi i środki do pochwylenia i oczyszczenia tego ruchu, możnaby go było uświęcić. Ale dwóch zaledwo księży naszych unitów mogła Stolica Apostolska na razie tam posłać. Francya, która zrazu ruchowi temu pomagała, zacząwszy zbliżać się ku Rosyji, przestała bronić go od połączonego nacisku Greków, Moskwy i Anglii; pieniądze zrazu przychodzące z Francyi, rychło się wyczerpnęły wobec łapczywości duchowieństwa wschodniego; arcybiskup Sokolski znalazł się niespodzianie w Ławrze kijowskiej, słowem ruch cały jak ogień słomiany, puściwszy zrazu wielką łunę, gasł nędznie. W takim stanie rzeczy 1862 r. w Czerwcu przywołał mnie Ojciec św. i żądał odemnie misyonarzy do Bulgaryi i to takich, którzyby chcieli przyjąć obrządek wschodni; ale przedtem chciał abym dojechał na miejsce, obejrzał stan rzeczy i zdał zeń za powrotem sprawę. Popłynąłem zatem do Carogrodu, dojechałem do Bulgaryi, postrzeżenia swoje skreśliłem w *Listach ze Wschodu* i dziełku o *Unii w Bulgaryi* drukiem ogłoszonych, a w treści zdałem Ojcu św. sprawę, że już niewiele tysięcy zostało wiernych Unii, mianowicie w okolicach Saloniki i Adryanopola; i radziłem aby w tem ostatnim miejscu założyć szkołę dla kształcenia parochów i nauczycieli wiejskich dla Bulgaryi. Ojciec św. polecił mi jako Przełożonemu Zmartwychwstańców myśl tę wykonać. Obliczałem roczny wydatek Missyi

bułgarskiej na 15,000 franków, spodziewając się pomocy z kraju, gdzie Unia bułgarska szczerze wywołała zajęcie; główny jednak fundusz, za wdawaniem się Propagandy przez Towarzystwa religijne francuzkie miał być zapewniony. Takie były rachuby co do funduszków, obaczmy jak srogo zawiodły; na razie jednak największa była trudność ze znalezieniem missyjonarzy. Sędziwy O. Karol Kaczanowski, kapelan wojskowy w czasie wojny wschodniej, a potem kolonii próbowanej w okolicach Saloniki, nie odmówił stargania reszty sił w Bułgarii. Ale dwóch zaproszonych księży unickich cofnęło się w ostatniej chwili, tak że O. Kaczanowski wyjechał r. 1863 z jednym tylko bratem dla otworzenia tymczasem przynajmniej szkoły elementarnej. Podążyli rychło za nim dwaj kapłani ze Zgromadzenia, Tomasz Brzeska i Szymon Kobrzyński, którzy i obrząd słowiański przyjęli, podążył też i uzdolniony do wykładu szkolnego brat - pomocnik. Pierwsi ci robotnicy pracowali najprzód na przedmieściu Kieszane, a później w zakładzie otwartym w środku miasta. Podążyli później ku pomocy księży Ferrigno, Szymoński, Chauland i inni, wstąpiło dwóch młodych Bułgarów, tak że dom tamtejszy liczy obecnie czternastu członków. Missya trwa już rok dziewiąty, Bóg widzi z jakim trudem utrzymywana! Niemały to kłopot dla Zgromadzenia, które często nie wie samo z czego opłacić piekarza, znaleźć co rok kilkanaście tysięcy franków na odległą Missyą w Bułgarii. Na początku, Towarzystwo szkół wschodnich w Paryżu ofiarowało 12,000 franków; lecz po roku ta subwencja spadła do 2,000 franków, którą tylko z wielkim wysiłeniem można było podnieść do 4 lub 5 tysięcy franków rocznie. Za staraniem kilku przyjaciół i opiekunów w Paryżu, przyznał Missyi rząd francuzki kilkorazowe wsparcie, którego użyto na kupienie i przebudowanie domu w Adryanopolu. W Polsce jedno tylko Poznańskie okazywało nieco troskliwości o Missyą: otrzymaliśmy od Bractwa św. Jozafata kilka razy po dwa lub trzy tysiące franków: obecnie i Prusy zachodnie i Szląsk interessują się coraz goręcej. Przyjaciele paryzcy dostarczali książek i szkolnych przyborów dla uczniów. Tak choć w ciągłym niedostatku i nieustającej niepewności, jednak z żywą ufnością w Bogu Missya trwała i rosła. Dzisiaj ma dwa domy (choć jeden jeszcze niezapłacony), szkołę o 70ciu uczniach, dwa internaty *bułgarski* i *mieszany*, i można śmiało powiedzieć jest główną jeśli nie jedyną podstawą Kościoła unickiego w Bułgarii. Missyjonarze nasi uczą dzieci, katechizują mieszkańców, spowiadają, kazą w mieście, dają missye po parafiach okolicznych, a obecny przełożony missyi O. Tomasz Brzeska stał się głośnym kaznodzieją bułgarskim. Zdawało się że rzecz się ustaliła i że po długim mozole wyrobiliśmy nareszcie stałe dochody dla Missyi od towarzystw francuzkich. Tymczasem ostatnia wojna francuzka zburzyła te nadzieje i znowu trzeba było rzecz zaczynać jakoby od początku. O. Brzeska puścił się na kwestę do Austrii, kołatał do wszystkich drzwi, i zebrał dosyć, by mieć o czem przez rok następny prowadzić dalej zasiew Słowa Bożego w Bułgarii. Za gorliwym wdaniem się śp. księcia Jerzego Lubomirskiego, dwór Cesarski i oba Ministerya przyszły w pomoc, ale tylko z pomocą jednorazową. Jak będzie dalej nie wiemy, ale wierzymy mocno, że Pan miłosierny, który nas do tej pracy, nie narzucających się bynajmniej powołał, odkryje nowe źródła i nowe pomoce wtedy, gdy rozum ludzki ich wynaleźć nie potrafi. Ze wszystkich naszych przedsięwzięć Missya Bułgarska po ludzku sądząc najmniej jest zabezpieczoną i najmniej zdaje się mieć przyszłości; ale tyle dowodów opieki Boskiej, których w tej sprawie

doznaliśmy, wzbudziło w nas nieomylnie przekonanie, że ona właśnie ma najtrwalszą, bo w samym tylko Bogu podstawę.

Na początku tój Missyi i niedługo po powrocie ze Wschodu, zesłał Bóg na mnie, a we mnie i przezemnie na Zgromadzenie, krzyż ciężki, aczkolwiek oczywiście chwilowy. Ten zaś przypadł w udziale z okoliczności następnej. Pod koniec 1862 roku otrzymałem listy różne z Polski tak od poważnych duchownych jak od najzacniejszych świeckich, którzy mnie o pomoc naglili w sprawie niezmiernie bolesnej dla każdego katolickiego serca, a polegającej na tem, że pewna liczba duchowieństwa w Królestwie brała udział w działaniach komitetów tajnych, do tego stopnia, że aż niektórzy kapłani polscy składali stowarzyszeniom tajnym przysięgi. Zarazem uwiadomiono mnie, że tak Arcybiskup poznański jak i Arcybiskup warszawski wszelkimi siłami starali się odwrócić duchowieństwo polskie od tak niekościelnego postępkę, jednak dodawano, że trudy najprzewielebniejszych arcypasterzy nie wiele otrzymywały owoców. Zatem proszono mnie bym się odezwał do narodu a mianowicie do duchowieństwa w celu powstrzymania nieszczęsnego ruchu, który najgorszy ze wszystkich miał cios Polsce zadać. Zdawało się że nie bez zasady rachowano iż głos kapłana, który żyć zaczął na polu bitw za ojczyznę, a który potem lat dwadzieścia i kilka żywota kapłańskiego poświęcał wyłącznie dobru tejże ojczyzny, mógł wpływ wywrzeć pożądaný.

Nie od rzeczy też tu dodać, że nie same rady najszlachetniejszych ziomków, ani własny tylko sąd o niebezpieczeństwie grożącym duchowieństwu polskiemu a nawet całej Polsce wywołał owo moje wystąpienie. Odebrawszy wyżej wymienione listy, nie poprzestałem na mem wrażeniu, jeno z położeniem obzaujomiony i pragnący dostać wyższej wskazówki działania, poradziłem się trzech najprzychylniejszych naszej sprawie a wysoko postawionych prałatów, którzy mi odrzekli: że nietylko chwalebne byłoby z méj strony się odezwać, nietylko zasłużonem z pierwszego najgłówniejszego powodu ocalenia polskiego duchowieństwa i ludu, ale jeszcze ze względu drugiego, ważnego bardzo: że jeżeli owa dążność poddawania się duchowieństwa władzom tajnym sprzysiężonym nie zostanie powstrzymaną i ograniczoną do prostego wyrażenia wyjątku, tedy Ojciec św. nie będzie mógł dalej i opierać się żądaniom rządu moskiewskiego, który natarczywie domaga się potępienia przez Stolicę św. duchowieństwa polskiego. Jasno tedy wypada, że choćbym nawet nie pragnął sam się odezwać, toć byłbym musiał głos podnieść w tój sprawie, choćby dla odwrócenia klęski powtórnój encykliki 1832 roku, tym razem bardziej zasłużonój.

Wysłałem tedy na samym początku roku 1863 do *Tygodnika katolickiego* list mój do *księży spiskujących*, i abym nie był okrzyczany za rzecznika stronniczego szlachty, dodałem do *szlachty niemądrze umiarkowanej*. List ten w skutek powstania przyspieszonego branką młodzieży, wyszedł na jaw w sam dzień powstania, kiedy już krew popłynęła. Nadto władze rossyjskie w Warszawie wyrzuciwszy wszystko, co było w liście przeciwko rządowi, (na którego błąd księży uwiedzionych zwałem) i zręcznie ułożywszy now całość, najprzód w dziennikach Królestwa, potem Carstwa, a nareszcie w organach swoich za granicą rozgłosił. List ten w takiej formie, w takich okolicznościach, w taki sposób rozgłoszony, wywołał niezmiernie oburzenie w kraju. Drugi list w złagodzonej formie ale toż samo powtarzający, nie zdołał pierwszego prażenia całkiem zatrzeć. Zresztą oprócz *Tygodnika* nie chciano go w

polskich dziennikach drukować. Wszakże wypadki pokazały, że niestety! nie myliłem się, i jak dziś wielu, tak da Bóg wszyscy przyznają, że jeżeli się pokusiłem o rzecz dla jednego niemożliwą, uczyniłem to zawsze z najczystszej miłości Kościoła polskiego i rodzinnego Kraju, i nie bez przewidzenia rzeczywistych potrzeb jego i niebezpieczeństw grożących. Ci co o tym liście sądzą z wrażenia jakie wynieśli po odczytaniu go w roku 1863, niech go zechcą odczytać po raz drugi dzisiaj, a myniemy, że przy zmienionych okolicznościach znacznie także sąd swój zmienia.

Do tej epoki należą trzy wypadki (drugi przynajmniej co do początków swoich) bardziej pocieszającej treści: a pierwszym z nich jest nabożeństwo nakazane za Polskę w r. 1863 podczas processyj jubileuszowych w Rzymie. Szczegóły o nim znajdzie czytelnik w nauce przygodnej z *rzeczy nabożeństwa dziękczynnego* odbytego przez nas z tego powodu w kościele św. Klaudyusza w Rzymie. Na processyach tych byliśmy parę razy, osobno jako Zgromadzenie, na wzór innych zgromadzeń zakonnych.

Drugim jest potwierdzenie przez Stolicę Apostolską i przeniesienie się do Galicyi Sióstr Niepokalanego Poczęcia Maryi Panny. Jakkolwiek ich było siedm dopiero i od lat niewielu się były zawiązały, nietylko że zostały potwierdzone, ale nadto Stolica Apostolska wyraziła wielce zaszczytne dla nich życzenie aby jak najrychlej starały się mieć dom swój w Rzymie. Odtąd Siostry Niepokalanego Poczęcia połączone z nami w duchu, co ufam za łaską Bożą i na przyszłość pozostanie, są jednak osobnem Zgromadzeniem od Stolicy Apostolskiej tylko i biskupów miejscowych zależnem. Winniśmy tu wspomnieć, iż JM. książdz Wierzchlejski arcybiskup lwowski przyjął te Siostry z pasterską, miłością i otacza je ojcowską opieką.

Trzecim wypadkiem jest myśl podjęta w tymże r. 1863 kanonizacyi św. Jozafata. Sprawa ta nam od dawna leżała na sercu. Przypominamy, żeśmy o tę łaskę prosili Ojca św. memoryale naszym podanym mu zaraz na początku jego panowania. Przeszła jednak wielka kanonizacya męczenników Japońskich, a o kanonizacyi św. Jozafata nikt nie pomyślał. Dopiero wraz po tej uroczystości, wielebny O. Mikołaj Couteri, mnich bazyliński w klasztorze greckim Grotta-Ferrata pod Rzymem, postrzegł, że zdanie kongregacyi Obrzędów co do możebnej kanonizacyi Wielebnego Jozafata wydane, w tymże czasie, i w tychże słowach było wyrażone, co i zdanie dotyczące się męczenników japońskich. Ojciec św. uderzony tem wyraźnie opatrzmem zapomnieniem i przypomnieniem, przychylając się do prośby Bazylianów, polecił Kongregacyi Obrzędów rozpatrzyć stan sprawy Błogosławionego Jozafata.

Wtenczas Monsignor Bartolini, sekretarz tejże Kongregacyi Obrzędów, ofiarował mnie pierwszemu zaszczytny urząd postulatora w sprawie tej kanonizacyi, przypominając mi nawet że lat kilkanaście przedtem o tę łaskę Ojca św. Prosił. Wszakże choć z żalem, stanowczo jednak musiałem odmówić, a to z następujących powodów:

1) sprawa ta wymagała zbierania znacznych składek, a my wtedy właśnie zajęci byliśmy z polecenia Ojca św. zbieraniem takowych na tworzące się kolegium polskie; trudno zaś tym samym osobom zbierać jednocześnie duże składki na dwa odmienne cele;

2) wybierałem się do Ameryki dla zwiedzenia naszych missyj w Kanadzie, a zamierzałem sobie dotrzeć aż do Brazylii, dla uzbierania tam cokolwiek grosza na kolegium.

Nie mogłem też przedstawić na moje miejsce księdza Semeneki bo ten był już przeciążony natłokiem różnych zajęć. Nietylko bowiem jako przyszły rektor musiał się trudzić sprawami zakładającego się kolegium, lecz nadto miał mnie nieobecnego zastępować w przełożeniu głównym Zgromadzenia. Nastęrczyłem zatem Monsignorowi Bartolini O. Dąbrowskiego, jako najstosowniejszego do zajęcia się tą sprawą, najprzód dla tego że jest tego samego obrządku i z tego samego zakonu co św. męczennik, a po wtóre że był wolny od wszelkich obowiązkowych zajęć, i mógł swobodnie swym czasem rozrządzać.

Usunąwszy się tym sposobem na wstępie, żadnegośmy nadal udziału w tej sprawie nie brali, zachęcaj tylko prywatnie naszych znajomych do jej popierania. Jeżeli zaś jakie pieniądze przeznaczone na sprawę kanonizacji na ręce nasze przyszły, oddawaliśmy O. Dąbrowskiemu, z wyjątkiem kilku tysięcy franków zebranych przez księdza Graty wśród pobożnych pań polskich w Paryżu, a które ten kapłan polecił doręczyć ziomkowi swemu kardynałowi Pitra.

Zaszła mała różnica między nami a O. Dąbrowskim co do szczegółu jednego przy obchodzie kanonizacyjnym, którą niechętni nam jak zwykle przesadzili. Niektórzy rodacy obecni w Rzymie, nalegali na O. Dąbrowskiego, aby obok herbu Świętego, umieszczone były herby polskie. Myśmy zaś radzili nie wszczynać o to sporu z władzą kościelną, tem bardziej, że dla uniknięcia protestacji rozmaitych rządów, Ojciec św. był postanowił, nie umieszczać herbów narodowych przy żadnym świętym.

Dodam jeszcze, że w panegiryku św. Jozafata, publicznie podziękowałem O. Dąbrowskiemu za gorliwość z jaką się ze swego urzędu wywiązał.

ROZDZIAŁ VI.

Przełożenie księdza Hieronima Kaysiewicza (1864-1871).

Pociecha z kanonizacji św. Jozafata nastąpiła dopiero w roku 1867. Tymczasem ciężkim krzyżem skończyło się przełożenie moje w roku 1864. A jakkolwiek bolesnym był ten krzyż, nie przygniatał by on tak bardzo, gdyby współcześnie więcej bólu i sroższego jeszcze nie dodawały nieszczęścia krajowe sprawione powstaniem z roku 1863. Im więcej przybyło sił narodowi w ciągu kilku ostatnich lat organicznej pracy, tem więcej ich użyło na zgubę narodu owo powstanie, oddalając znów na długo szczęśliwszą dolę, która zdawała się być już tak blisko.

Cożkolwiek bądź, w Maju 1864 roku, upływało siedm lat od ostatniego zebrania ogólnego naszego Zgromadzenia. Nadchodziło nowe, które też otwarte zostało w dzień Zielonych Świątek w Mentorelli. Należeli do niego okrom mnie i księdza Semeneki, księży Jełowicki i Hube z Paryża, ksiądz Kaczanowski z Adryanopola, ksiądz Funcken z Kanady; i przypuszczeni świeżo z głosem doradczym ksiądz Tomasz Brzeska i ksiądz Aloizy Oldoini przełożony Mentorelli. Trzydniowe ćwiczenia wspólne, zdanie sprawy z całego

dotychczasowego życia Zgromadzenia, narady wspólne, a nade wszystko łaska Boża sprawiły w zebranych jaśniejsze i głębsze jeszcze niż dotychczas pojęcie celu Zgromadzenia i środków, za pomocą których ma do niego zdążać. Ugrntowała się wiara w przyszłość Zgromadzenia, i rozszerzyło się w Panu serce braci. Narady nie były długie, bo i teraz nie było robionych w Regule znacznych poprawek. Przy doręczeniu dekretu potwierdzenia w roku 1860 Konsultor Kongregacji biskupiej i zakonnej, chwając wielce i ducha i formę naszej Reguły, zwrócił na to jedynie uwagę, żeśmy ślub ubóstwa za ściśle opisali na wzór zakonów czyniących śluby uroczyste. Tośmy zatem odmienili stosownie do tego co prawo kanoniczne opisuje o ślubach prostych. Przed obiorem przełożonego głównego błagałem braci moich, aby mnie poświęcili jako kozła ofiarnego, i zamiast stawiania na świeczniku, schowali mnie jako niewygodnego pod korzec; ale nie zostałem wysłuchanym. Wszyscy bracia szlachetnie chcieli brać udział w moim krzyżu, i jednomyślnie zostałem na drugie lat siedm wybrany Przełożonym głównym Zgromadzenia.

W kilka miesięcy po tem zebraniu, ksiądz Semenenko wyjechał do Galicyi i w Poznańskie, dla porozumienia się z biskupami krajowymi względem założenia w Rzymie seminaryum polskiego. Nie po raz pierwszy to wówczas myśl ta powstała. Już w pierwszym roku pobytu naszego w Rzym podaliśmy władzom tutejszym memoriał o zamiarze **naszym** zajęcia się w przyszłości seminaryami. Roku 1850 hrabia Montalembert przybywszy do Rzymu, przyjmowany ze szczególnem odznaczeniem jako obrońca papieżstwa w Izbach fruncuzkich, poddał myśl utworzenia seminaryum polskiego w Rzymie pod naszym przewodztwem, choćby tylko na początek dla kleryków z Poznańskiego i Galicyi. Ojciec św. mówił o braku fundusów; wszakże téj trudności zaradził książę Czartoryski ofiarując na początek 5000 franków rocznego dochodu. Ale choć w ten sposób trudność finansowa upadła, inna zjawiała się natomiast; obawa ambasad trzech dworów, i skutkiem tej projekt został pogrzebany. W roku 1857-ym korzystając z licznie zebranych rodaków na missyi w Ostendzie, zaczęliśmy już zbierać składki; ale te szły oporem, bo nam tylko z grzeczności dawano coś odczepnego, nie rozumiejąc potrzeby podobnego zakładu i powiadając głośno, że i my sami niedługo do Polski wrócimy. Były to jeszcze złudzenia w pierwszych latach panowania cesarza Aleksandra II. Dodam tu mimochodem że w roku 1857-ym byliśmy rzeczywiście najsilniej naciskani przez najzacniejszych kapłanów z Warszawy aby wracać do Królestwa, bo w ich przekonaniu swobodnie już odtąd można było pracować na niwie kościelnej. Odpisałem wtenczas: „co wam się zdaje wschodzącem słońcem dla nas jest tylko błędnym ognikiem na bagnie.” List ten zwrócono mi po śmierci osoby do której pisałem, i jest w naszych archiwach. Myśmy zatem nie przestali myśleć o seminaryum polskiem za granicą. Co nas głównie pobudzało do tego, był ów wzgląd aby Polsce nie brakowało tego potężnego środka, jaki inne narody mają w swoich seminaryach w Rzymie, a który prowadzi do dwóch wielkich rezultatów: jednego aby być w nieprzerwanym związku z głową chrześcijaństwa i środkiem wiary katolickiej, drugiego aby w naukach teologicznych i wykształceniu ducha kapłańskiego utrzymać się na równi z innymi katolickimi narodami. Anglia, Szkocya, Irlandya, Niemcy i Węgry już od XVI-go wieku miały te zakłady w Rzymie, później powstały inne, a nareszcie w tych ostatnich czasach Francya sama, mimo wzorowych seminaryów w jakie obfituje, a za nią Ameryka północna (Stany Zjednoczone) i południowa (Brazylia,

Chili, i t. d.) uznały potrzebę i korzyść nieobrachowaną istnienia podobnychże w Rzymie, i na wielkie rozmiary założyły tam takie domy. Jedna Polska była pozbawiona w Rzymie własnego zakładu, co przy jej nieszczęściach i biedach innostronnych jeszcze smutniejszym wydawało się brakiem. Tém bardziej ta potrzeba w ostatnich czasach czuć się dała, gdy naród nasz na dwa zarówno zgubne wystawiony wpływy, ucisku moskiewskiego i rewolucyjnej propagandy, przez oba od Kościoła i Rzymu odciągany, na najcięższą był narażony pokusę zachwiania się w wierze swojej. Duchowieństwo krajowe siecią ukazów uwikłane i jakoby odcięte od swój głowy, nie zdołało utrzymać równowagi, i ulegało naprzemian to rządowej przemocy, to pogróżkom ulicznym. Dopiero głos Papieża wskazał mu drogę prawdziwą, drogę gołębięj prostoty z roztropnością węzową połączonej. I oto coraz liczniej świadczy ono prawdzie, znosząc pogróżki, wygnanie, i śmierć samą. Część duchowieństwa naszego ocalała, zwrot ku lepszemu nastąpił; lecz wiele jeszcze pracy trzeba by dobry przykład wszystkich za sobą pociągnął. Najpotężniejszym do tego środkiem jest dobre wychowanie młodzieży duchownej, w ognisku wiary i pod okiem najwyższego Pasterza.

Jakoż przed kilku laty w chwili strasznego przesilenia, gdy wróg sroższy niż kiedybądź ostateczną zagładę nam poprzysiągł, gdy mocarstwa zachodnie ręce ze krwi naszej umyły, gdy wszelka ludzka nadzieja ostatecznie upadła, sam tylko Ojciec święty nie zwątpił o naszej przyszłości, owszem w téj właśnie chwili dał nam zadatek przyszłego odrodzenia, myśląc stanowczo o założeniu w Rzymie kolegium dla duchowieństwa polskiego: brak tylko funduszków stawał na przeszkodzie. Wtedy przychylni nam prałaci przedstawili, iż gdybyśmy mogli dostarczyć jakiego funduszu na początek, Ojciec święty przyłożyłby się całą siłą do wprowadzenia dzieła w życie. Przypomnieliśmy sobie sumę zebraną przez księdza Jełowickiego na postawienie osobnej świątyni dla Polaków bawiących w Paryżu, wynoszącą około 100,000 franków. Summa ta zbyt była szczupłą na cel zamierzony, zwłaszcza gdy obietnica darowania placu ze strony miasta, spełzła na niczym, a wycieńczenie kraju po powstaniu czyniło prawie niepodobnym zbieranie dalszych składek. Poradziłem zatem O. Jełowickiemu aby przedstawił Ojcu świętemu wszystkie te okoliczności, i zapytał jako sędziego spraw sumienia, czy ni korzystniej będzie użyć téj sumy na założenie kolegium polskiego w Rzymie. Usłuchał téj rady ksiądz Jełowicki a Ojciec święty nie tylko zatwierdził myśl, ale ją wielce pochwalił: a gdy znaczniejsi dawcy, którzy O. Jełowickiemu do uzbierania tego funduszu pomogli, zgodzili się na takie jego użycie; zaczęto już myśleć w Rzymie o wyszukaniu stosownego pomieszkania. Nie pojmujemy jak mogli ludzie niechętni czy niebaczni prawić i pisać jakoby O. Jełowicki sumy zbierane rzekomo na Świętopietrze; samowolnie potem oddał na kolegium polskie; gdy ten ostatni sprawozdanie ze swój czyności i listy do Ojca świętego w tym przedmiocie pisane, równie jak odpowiedź tegoż ogłosił w francuzkim dzienniku *Le Monde*, w poznańskim *Tygodniku katolickim*, a także o ile pamiętamy w *Czasie* krakowskim. (Świeżo wszystkie te dokumenta zostały zamieszczone przy zbiorze kazań księdza Jełowickiego). Że ten ostatni prawie co roku składa Ojcu świętemu uzbierany przez siebie grosz Piotrowy, i niejednym już listem dziękczynnym został zaszczycony, to wszyscy wiedzą z drukowanych sprawozdań i listów papieżkich (bądź po dziennikach bądź przy wzmiankowanym zbiorze kazań): ale te ofiary nie mają związku z ową

summą stu tysięcy franków na kolegium ofiarowaną. Osobno były zbierane pieniądze na Świętopietrze, a osobno na kościół w Paryżu, i osobne też otrzymały przeznaczenie.

Wypadało atoli przed otwarciem nowego w Rzymie zakładu porozumieć się z biskupami polskimi od których tyle pomyślne rozwijanie się jego zależało. W tym celu O. Semenenko otrzymał od Ojca św. upoważnienie do uczynienia odpowiednich kroków, i opatrzony listem do Nuncjusza wiedeńskiego, a przez tegoż dalszemi listami do każdego z biskupów, zwiedził po dwakroć Galicyą i Kraków, a następnie Poznań. Znalazł tam czego można się było spodziewać, to jest najchętniejsze przystanie do tego zbawiennego dzieła ze strony pasterzy i gorliwych duchownych i wiernych, liczne obietnice, nawet nieco funduszków. Mówię *nieco*, bo po chętnym hrabi Rechbergu nastąpił Schmerling i wydał okólnik wzbraniający nam składek publicznych, podobny zakaz istniał już w Prusiech: mógł zatem O. Semenenko otrzymywać drobne dary prywatne, dalsze szły na fundujące się bursy albo stypendya o których rychło wspomniemy. Miło mu też zapewne było wstąpić na pierwsze kazalnice w kraju, z przystępnych dla niego, i we Lwowie, a potem w Krakowie (tu zaś z kazalnicy Skargi) głosić słowo Boże do chętnie słuchającej go a licznie zbierającej się publiczności. Za powrotem swoim do Rzymu na osobnej audyencji opowiedział i przedstawił cały stan rzeczy Ojcu świętemu, wyraźnie ze wszystkiego zadowolonemu. Ojciec święty mianował wtedy komisyją osobną do zajęcia się już tą fundacją, złożoną z prezydenta kardynała Clarelli, i dwóch członków: Mgra Franchi arcybiskupa Tessaloniki, dawnego nuncjusza w Toskanii, później zaś w Hiszpanii, i sekretarza spraw duchownych, i Mgra Simeoni protonotaryusza apostolskiego, sekretarza Propagandy w sprawach wschodnich; sekretarzem zaś mianowany był Mgr Passerini prałat domowy Jego Świątobliwości który następnie, za usługi w tém dziele oddane, został podniesiony na protonotaryusza apostolskiego. Znaleziono wkrótce lokal, część klasztoru OO. Mercedaryuszów (De mercede, Redemptionis captivorum) do którego dokupiono przyległe śpichrze służące dziś za koszary; a gdy ową część klasztoru urządzono jak wypadało, zostawiając na potem przebudowanie śpichrów, mieszkanie dostateczne już było gotowe przy końcu 1865-go roku.

Tak ważne dzieło, którego doniosłość jak zwykle lepiej ocenili nieprzyjaciele niż własni nasi rodacy; tak ważne dzieło mówię, wymagało złamania licznych trudności, a najprzód zniweczenia intryg, bawiącej jeszcze wtedy w Rzymie rossyjskiej arabassady. Gdy już samój myśli kolegium polsko-papieżkiego przetrząć nie było można, nieprzyjaciele o to jedynie nadal się starali, aby nie w nasze ręce przynajmniej zarząd kolegium się dostał: wiemy że różne osoby usługi swe ofiarowały, i każdą z nich chętniej by byli oni od nas widzieli. Mimo to Ojciec święty, dzięki własnej łaskawości i zachodom przychylnych Zgromadzeniu prałatów, nam ten zakład powierzył, sobie samemu wybór rektora zachowując. Czujemy całą wagę odpowiedzialności jaka ztąd na nas spada, ufamy wszakże w pomoc Opatrzności Bożej która najlichszych narzędzi używa do spełnienia wielkich rzeczy.

Niepodobna tu przepomnieć przeważnej pomocy jakąśmy znaleźli w tój i tyłu innych sprawach w nieodżałowanym śp. kardynale Reisach. Przekazy ten i ze wszech miar niepospolity mąż gorącym był przyjacielem sprawy polskiej, a niezmordowanym rzecznikiem interessów jój Kościoła.

Wśród tych starań przybyła nam w pomoc Zofia z hrabiów Branickich księżna Odescalchi. Zyskawszy przez dwudziestoletni przeszło pobyt swój w Rzymie, przez swoje cnoty i wysoką wartość osobistą, znakomity wpływ tak u Ojca św. jak w całym społeczeństwie rzymskim, używała ona zawsze tych tak pozyskanych korzyści na dobro kraju i Kościoła polskiego. Zakładanie seminarium polskiego w Rzymie było rzeczą, której ona nie mogła zostać obcą; to też z całym uczuciem jakoby obowiązku wzięła się do niego. Nietylko bowiem przeważnym swym wpływem najwięcej się przyczyniła do zniweczenia nieprzyjaznych zabiegów i natychmiast zapewniła z własnych funduszy utrzymanie jednego ucznia, ale nadto większą część burs czyli stypendyów, dziś już w liczbie ośmiu ze składek swém staraniem zebranych ufundowała. Nie odważamy się tu wymienić wszystkich łaskawych dawców przez księżnę czy przez nas uproszonych, nie wiedząc czyby wszyscy na to pozwolili. Sądzę jednak że można bez niedogodności wymienić hrabiów Żółtowskich z Poznańskiego, hrabinę Katarzynę Potocką z Krakowa, księżnę Jadwigę z Zamojskich Sapieżynę, Olimpią z Tarnowskich hrabinę Grabowską ze Lwowa, i Wielebną Kapitułę tegoż miasta.

Jedną prócz tego bursę zwaną Piusa IX-go, stanowi dochód z wynajęcia koszar żołnierzom, a jedna powstała ze składek zebranych przezemnie w Ameryce. Jest więc obecnie wszystkich burs jedenaście.

Tym sposobem kolegium mogło już zacząć byt swój i prace. Z początkiem roku szkolnego 1865-66-go, w miesiącu Listopadzie, przed mającém nastąpić jego otworzeniem, kiedy już nawet trzech alumnów przybyło (jeden z Poznania, jeden z Galicyi, a jeden z Polski pod Rossyą) Ojciec święty mianował ostatecznie rektorem O. Piotra Semenkę, a skoro w kilka miesięcy później lokal dostatecznie wysechł i tymczasem trzech nowych uczniów przybyło (znowu jeden z Poznania, jeden z Galicyi, a jeden z Polski pod Rossyą), w pierwsze nieszpory Zwiastowania Najświętszej Panny, t. j. w przeddzień 25-go marca 1866-go r. (w który dzień również przypadała Niedziela Kwietnia, początek wielkiego tygodnia Męki i Zmartwychwstania Pańskiego) komisya papieżka z całym kolegium inaugurowała uroczystie i szczęśliwie jego otworenie. W kilka tygodni później, 16-go maja, Ojciec święty sam zaszczyił je swoją obecnością i całogodzinném przebywaniem w jego murach, zwiedzeniem każdój celi i pobłogosławieniem w każdej jej mieszkańca; tudzież czułą a wiele znaczącą przemową jeszcze uroczystiej zagaił całą przyszłość tego nowego zakładu, który jakoby upominek swego ojcowskiego serca dla Polski, przekazywał jój Kościołowi na wszystkie potomne wieki.

Kolegium polskie w Rzymie liczy teraz piąty rok istnienia. Na początku drugiego roku, to jest w ostatnich miesiącach 1866-go roku, komisya przewodnicząca założeniu tego kolegium, dopełniwszy swego dzieła, złożyła swoje urządowanie w ręce Ojca świętego; a na jój miejscu Ojciec św. mianował protektorem kolegium krewnego swego, kardynała Millesi Ferretti, który do tego nowego urządowania wziął się z wielkim zapałem i z najlepszą dla zakładu dobrą wolą. Liczba uczniów stopniowo doszła była do dziesięciu. Tego roku zmniejszyła się w nim, podobnie jak we wszystkich seminarjach narodowych w Rzymie, z powodu najazdu Piemontczyków, i obawy biskupów przysyłania nowych uczniów w téj chwili. Dotychczas wróciło dwóch uczniów do Galicyi, pięciu do Poznańskiego; z dwóch

emigrantów z Królestwa i Litwy jeden udał się do Stanów Zjednoczonych obsługiwać kolonistów polskich, drugi popłynął jako missyjonarz na Wschód.

A więc nieprawda jest co nam zarzucano by emigranci nie byli przyjmowani do tego seminaryum. Dodamy wszakże, że wybór kandydatów nie od rektora, ale od założycieli burs zależy; ci zaś chętniej przedstawiają młodzież poleconą im przez biskupów, niż emigrantów mało lub wcale im nieznaną: a to dla słuszych powodów. Polecenie bowiem biskupa daje większą rękojmią dobrego wyboru, i jest warunkiem w regulaminie wymaganym, a przez Ojca świętego rektorowi nałożonym. Przy tém młodzież z Galicyi lub Poznańskiego nietylko jest powszechnie lepiej naukowo przysposobiona, ale nadto może bez przeszkody do swój dyecezyi wrócić (co tak regulamin przepisuje), i zaraz po skończeniu nauk wziąć się do pracy we własnym kraju; gdy tymczasem emigranci wychodzący z kolegium muszą dopiero szukać przyjęcia albo w Galicyi, albo na missyach. Jeśli mimo to niektórzy zostali przyjęci, to jedynie na nasze wstawienie się i na tak zwaną bursę brazylijską którą możemy rozporządzać; mamy bowiem mocną ufność w Bogu że się rychło zmiłować raczy nad nieszczęśliwym krajem, i wybawi go ze srogiego prześladowania. A wtedy niezmierniej będzie wagi zastęp młodych i gorliwych kapłanów, zdolnych zagoić rany długoletniego męczeństwa. Że zaś przy ograniczonej liczbie burs czyli stypendyów nie wszyscy mogą być przyjęci, a do tego nie wszyscy są dostatecznie uzdolnieni, to już nie nasza wina. Niektórzy z młodych emigrantów znaleźli za naszym staraniem pomieszczenie po seminaryach we Francyi, w ogóle dobrze urządzonych ale cóż, kiedy rzadko który wytrzymał, i albo sami się oddalili, albo im wyjść kazano!

Dodamy także dla objaśnienia, że Zgromadzenie nasze nietylko nie odniosło z téj fundacyi żadnej korzyści materyalnej, ale przeciwnie nie mało je ona kosztowała. Młodzież którą Zgromadzenie dla siebie wychowuje, nie ma, i z natury rzeczy nie może mieć przystępu do tego zakładu poświęconego wychowaniu młodzieży na księży świeckich. Przez wzgląd na obecną szczupłość funduszy kolegialnych, rektor i wicerektor poprzestają na wspólnem z alumnami mieszkaniu i pożywieniu, inne zaś potrzeby swoje opędzają z funduszy Zgromadzenia, nie pobierając by najszczuplejszój pensyi.

Wszystko jednak co się dotychczas zrobiło nie wystarcza do ostatecznego utrwalenia zakładu. Mieszkanie zbyt jest ciasne, zamiar restaurowania przyległych koszar okazał się niepraktycznym; o nabyciu zaś nowego domu myśleć nie podobna bez nowych funduszy. Z tego powodu gdy kraj już dał na ile obecnie mógł się zdobyć, ksiądz Semenenko podał myśl kardynałowi Millesi opiekunowi kolegium, aby się udać do Francyi, tak zawsze skorej do wszelkiego dobrego uczynku, a zwłaszcza do niesienia pomocy Polakom. Otrzymawszy upoważnienie kardynała i osobne w tym celu błogosławieństwo Ojca świętego jeździł w lecie 1869-go r. do Francyi, i częścią od biskupów, częścią od innych wiernych kilkanaście tysięcy franków już otrzymał. Obecne jednak smutne wypadki wstrzymały rozpoczęte starania.

Taki jest przebieg sprawy założenia kolegium polskiego. Otwarty był i inny zakład dla duchownych polskich w Rzymie który kosztował nas wiele zachodu i troski, a pożytków takich jak kolegium nie obiecywał. Po upadku powstania z 1863-64-go roku kapłani polscy zaczęli przybywać do Rzymu. Zrazu przyjmowaliśmy ich do naszego najętego mieszkaniem dzieliliśmy się chudą strawą naszą; wkrótce jednak wiedząc o rychłym przybyciu większej

liczby, zastukaliśmy do ojcowskiego serca Piusa IX-go dla wyjednania im osobnego zupełnie przytułku, choć z długiego doświadczenia wiedzieliśmy co nas czeka: *za twoje myto jeszcze cię obito*. W tym zachodzie wsparła nas księżna Odescalchi, równie jak arcybiskup Franchi, a nade wszystko najzacniejszy kardynał Reisach, opiekun zakładu św. Trójcy dla pielgrzymów, który część tego lokalu ze stołem dla księży wygnańców ofiarował. Liczba kapłanów przybyłych doszła do dwu dziesiętu i więcej. Zrazu otoczeni byli powszechnym współczuciem, i niektórzy do końca je zachowali. Ale ogólnie nie przeszedłszy przez dosyć ścisłą karność seminaryów, rozproszeni później po obozach, nie zachowywali się ze skupieniem i powagą przynależną: niestety! byli niektórzy nałogowi i nieprzykładni. Urzędnicy zakładu, nie bardzo chętni nowym gościom, zaczęli mówić o nich niekorzystnie i dochodziło to do władz rzymskich. Zaczęli być mniej dobrze uważani i przypisywali to naszym *intrygom*, chęci pociągania do Zgromadzenia, obawie utraty naszego wpływu, i t. d. Nawet sam kardynał choć najlepiej usposobiony, zaczął się zniechęcać, ale przez lat kilka udawało się nam go uspakajać. Że w końcu przytułku tego odmówić musiano to rzecz prosta. Sama nazwa tego zakładu pokazuje że on jest przeznaczony do ugoszczenia czasowo pielgrzymów przybywających na wielkie święta do Rzymu. Ojciec święty uczynił dla kapłanów naszych, czego nie uczynił dla daleko liczniejszych księży włoskich, zbiegłych przed prześladowaniem piemonckim; ale z natury rzeczy przytułek ten mógł być tylko przechodnim, dopóki księża nasi nie znaleźli dla siebie utrzymania i zatrudnienia. Rzeczywiście większa ich liczba rozjechała się do Francji, Belgii, i Szwajcaryi. Pod koniec zostało tylko trzech kapłanów, a powoli nabierało się sześciu kleryków. Oddawna administracja zakładu czyniła przedstawienia kardynałowi opiekunowi, że nie można funduszy na inne cele przeznaczonych obracać stale na Polaków, że na święta brakuje miejsca dla pielgrzymów, i t. d. Kardynał zaniepokojony w końcu w sumieniu przedstawił rzecz całą Ojcu świętemu, a ten kazał zakład zwinąć. Z trzech pozostałych kapłanów jeden pojechał do Belgii a dwóch umieściło się w Galicyi.

Otóż jak skoro oświadczyliśmy że nie możemy dalej popierać przybywających z Polski seminarzystów, natychmiast podniósł się głos, że my postaraliśmy się o zamknięcie zakładu. Tu musimy uczynić ogólną uwagę, która pewno nie zyska nam wielu stronników. Już obcy spostrzegli (z powodu naszych powstań) że Polacy uważają za możebne to wszystko czego gorąco pragną (bo kierują się zwykle wyobraźnią i uczuciem): to samo się dzieje w życiu prywatnym. Nieraz człowiek utrudzi się i narazi innym chodząc za czyją sprawą lub potrzebą; a gdy w końcu musi oświadczyć że już więcej uczynić nie może, wnet interessowany wydaje sąd: *może, tylko nie chce*. Nadto wygnańcy (z jakiegokolwiek powodu, nie mówimy tu o najzacniejszych) są przekonani, i cierpko się z tém odzywają, że im się wszystko należy. Z boleścią także dostrzegliśmy że wychodźstwo późniejsze, dzięki zapewne wychowaniu moskiewskiemu, niżej, ogólnie mówiąc, stoi moralnie, od pokolenia z 1831-go roku; i dla tego śnać trudno się z nimi porozumieć. Na wdzięczność ludzką nikt doświadczony nie liczy; ale spotykając ciąglą i zajadłą niechęć za usługi oddane, za dobrodziejstwa otrzymane, nieraz przychodzi smutek i troska jaką może mieć przyszłość kraj, który tyle i takich żywiołów w łonie swoim posiada!

Przejdźmy teraz do Paryża. Dostyc liczni kapłani polscy, z kategorii tych, którzy się skompromitowawszy w ostatniem powstaniu, przybyli najprzód do Paryża i tam zawiązali się w *Stowarzyszenie*: ogłosili to w dziennikach emigracyjnych, to w broszurach, pełno zaskarżeń przeciwko naszemu Zgromadzeniu. Że się one po wielkiej części tyczyły osoby księdza Jełowickiego i stosunków paryzkich, zażądałem od przełożonego naszej missyi tamecznej objaśnienia. Otrzymałem je w liście w całości tu przyłączonym i w odpisie ustępu do księdza Żulińskiego z dnia 15-go września 1864-go roku.

Oto list księdza Jełowickiego pisany do mnie:

„Paryż, 25-go czerwca 1869 r. - Z powodu zapytania najmilszego Ojca zabieram się do skreślenia po krotce stosunku mojego z księżmi polskimi, których nam ostatnie powstanie naprowadziło do Francji, zwłaszcza do Paryża; gdzie jako Przełożony missyi polskiej spełniałem względem nich posługi wywołane ich potrzebami, obowiązkiem miłości bliźniego, i wolą najwyraźniejszą Arcybiskupa paryzkiego.

Pierwszym z tych księży był ksiądz Karol Kобрzyński, który stanął przedemną zboczony krwią swoją od cięcia w głowę przez Moskali. Postać jego łagodna i pobożna, podobieństwo jego przez bliźnę z najmilszym Ojcem, który za ojczyznę walczyłeś aż do krwi, zniewoliły ku niemu serce moje, i był mi zrazu miłym gościem, tuż synem duchownym, następnie współpracownikiem, a w końcu bratem w Zgromadzeniu naszym, które już od lat kilku uwesela i buduje apostołskimi pracami w missyi naszej bułgarskiej.

W parę miesięcy po przybyciu księdza Kобрzyńskiego, księża polscy coraz liczniej przybywali do Paryża. Przyjmowałem ich z równem uczuciem braterstwa. Celki się nasze dla nich rozszerzyły, po dwóch ich mieszcząc, stół nasz był ich stołem, i za łaską Bożą znaleźli u nas nie tylko pożywienie i odzienie, ale i pomoc duchowną, wspólnie się z nami modląc, rozmyślając w godzinach właściwych, i ukrzepiając się czytaniem duchownem i rachunkiem sumienia, według obyczaju właściwego pobożnym kapłanom. Szło mi o to aby tych kochanych braci, z obozowej kurzawy otrzepawszy, do spokojnej przy ołtarzu służby przysposobić. I skoro którzy przy tych ćwiczeniach duchownych skupiwszy ducha odbyli spowiedź świętą, uzyskiwałem dla nich w arcybiskupstwie pozwolenie do odprawiania Mszy św., i stosowne przy kościołach paryzkich lub na prowincyi umieszczenia z dostatecznym wynagrodzeniem. Tym sposobem do połowy maja 1864 roku umieściłem już był szczęśliwie około dwudziestu. I była między nami doskonała zgoda; bywali na naszych nabożeństwach, zwłaszcza też wieczornych w Wielkim Tygodniu i w miesiącu Maryi; i Polacy też tłumnie przybywający do Paryża, licznie się z nimi na te nabożeństwa zbierali.

W połowie maja 1864-go roku gdym zawołany do Rzymu na zebranie ogólne naszego Zgromadzenia opuszczał Paryż w towarzystwie dwóch nowicyuszów naszych, księdza Kобрzyńskiego o którym wspomniałem i księdza Jana Wołłowskiego, pozbawionego prawej ręki (a który już dzisiaj w jednej z naszych missyj amerykańskich, jak sam pisze w misyonarskiej pracy raj znalazł), zostawiłem dom nasz i kościół w Paryżu dwom zacnym Ojcom Kapucynom, Fidelisowi i Krescentemu, którzy bardzo gorliwie miasto nas obsługiwali w kościele i w domu biedną bracie nasze. Ale też, czasu mojego pobytu w Rzymie, niektórzy księża polscy porzeczynali w Paryżu obce nam robótki, których pierwszym wynikiem był

komitet ks. Mikoszewskiego, do którego za moim powrotem chciano też użyć i mego imienia, na co zgodzić się nie mogłem. I pierwsze to ich dzieło, szumnie i brzęcząco rozpoczęte, wkrótce się obaliło za przybyciem do Paryża księdza Kotkowskiego, około którego otworzyło się równie niewłaściwe *Stowarzyszenie kapłanów polskich*.

Tymczasem coraz nowi do Francji, a najwięcej do Paryża, przybywali księża. Wszystkim jak mogłem służyłem, już to ugaszczając ich w domu naszym, już to otrzymując dla nich zasiłki od rządu francuzkiego i od księdza Perraud dyrektora *de l'Oeuvre du Catholicisme en Pologne*, już nakoniec wyjednawszy od Ojca Etienne, generała Lazarystów, przyjmowanie każdego księdza polskiego na tygodniowe rekolekcje, *pro Deo* a przez które każdy z nowoprzybywających księży przejść był obowiązany, nim się poważylem prosić o *celebet* dla niego. U Lazarystów było wtedy trzech czy czterech świątobliwych kapłanów Polaków, bardzo zdolnych do tej posługi, z którą sam nikomu się nie narzucałem.

Ale niestety znajdowali się księża, którym nie skoro było do ołtarza, może dla warunku odbycia rekolekcji świętych. Takim był i ksiądz Korolec, o którego mnie osobno kochany Ojciec zapytuje; który jednak w końcu zgodził się na rekolekcje, i gdy przez jednego ze współkapłanów przysłał mi był świadectwo z odbytych rekolekcji, chociaż osobiście nie dał mi się poznać, otrzymałem dla niego *celebret*; w czém dowód oczywisty że mi o czołobitność, o co mię oskarżono, zgoła nie chodziło. I ksiądz Korolec używał tego *celebretu* od czasu kiedy go zażądał aż do śmierci swojej. Byłem na pogrzebie jego w kościele *Sainte Marie des Batignolles*, serdecznie się modląc bym go poznał w Niebie.

Nikomu nie odmawiałem przypuszczenia do ołtarza, i żadnych innych warunków nie stawiałem, jak odbycie rekolekcji świętych. Ale w sumieniu nie mogłem starać się w arcybiskupstwie o *celebret* ani dla zakonników mających w Paryżu klasztory swojego zakonu, a więc swoje prawowitą władzę, ani dla tych księży świeckich, którzy po otrzymaniu za mojem pośrednictwem *celebretu* w Paryżu, mieli nieszczęście popaść w suspensę, którą władza biskupia była zmuszona ich ukarać. Nie odmówiłem też żadnemu z księży polskich wstawienia się do Stolicy Apostolskiej o zdjęcie *Cenzur kościelnych* za zbrojne i krwawe należenie do wojny, lub za skazywanie na karę śmierci; bo im który był chorszy tém prędzej mu z ratunkiem spieszyć czułem się obowiązany. Dwóch tylko kapłanów odkryło mi się z podobną potrzebą, i dla obu, gdy przykładowie odbyli rekolekcje u Lazarystów, zdjęcie *Cenzur kościelnych* u łaskawości Ojca świętego otrzymałem. Mam dotąd kopie prózb które za nimi pisałem, a które przez ręce kochanego Ojca przechodziły.

Pozostaje mi jeszcze nadmienić o przypuszczaniu nowoprzybyłych księży polskich do kazania i do spowiadania. Do kazania z początku zapraszałem wszystkich, ale mało który to zaproszenie przyjął, a z tych nie wszyscy okazali zdrową naukę. Przyłączone tu trzy listy moje, z których pierwszy do księdza Żulińskiego, posłużą do wyjaśnienia, dla czego nie udało się księżom nowoprzybyłym otrzymać w arcybiskupstwie pozwolenia na otwarcie, w osobnym od naszego kościele, nabożeństwa dla Polaków; a właśnie ta okoliczność wywołała niczém nieusprawiedliwioną niechęć ku nam tak nazwanego *Stowarzyszenia kapłanów polskich*, do którego dzięki Bogu nie wszyscy nowoprzybyli księża należeli i z którego wielu się już wymazało. Niebaczni ci *Stowarzyszeni* na własne dusze wzięli odpowiedzialność za dusze tych wszystkich, których namowami swemi ustneimi, pisanemi i drukowanemi

odwrócili od przychodzenia do naszego kościoła, a tém samém od przyjmowania z naszej ręki Sakramentów świętych w życiu, a nawet, jak się sami wyrażają, i przy śmierci. Lecz do tego ostatniego jeszcze dzięki Bogu nie przyszło; bo dotąd każdy konający, o którym zdołaliśmy się dowiedzieć, najrzewniej Sakramenta święte z naszej ręki przyjął.

Zresztą, wchodząc w prawdziwą potrzebę, stopniowo coraz większej liczbie kapłanów polskich otrzymywaliśmy prawo spowiadania nietylko w naszym kościele. I w 1865-tym roku było już kapłanów polskich mających prawo spowiadania, a rozrzuconych po całej przestrzeni Paryża, *dwudziestu*. Imiona i nazwiska ich, z wymienieniem gdzie mieszkają, i przy którym kościele służbę sprawują, na głównych drzwiach kościoła naszego, dla uwiadomienia wszystkich Polaków, przez dwa lata wciąż były wywieszane.

Oto jest w całej téj rzeczy prawda, którą wobec Boga i z pamięcią na Sąd Jego piszę. A będąc w prawdzie, czuję się w miłości, i spodziewam się że wszyscy nieprzyjaźni nam, księża czy nie księża, wiedzą dobrze że mamy ich za braci, i że w złym swoim razie tém skorszymi nas znajdą ku swojej posłudze; czego może już za łaską Bożą który z nich sam na sobie doznał. - Prosząc najmilszego Ojca o błogosławieństwo, etc.”

Dodajemy ustęp z listu księdza Jełowickiego do księdza Żulińskiego, z dnia 15-go września 1864-go roku:

„Otrzymałem dla księdza dobrodzieja pozwolenie spowiadania, ale z wielką trudnością, i wyłącznie w kościele *de l'Assomption*, i tylko na jeden miesiąc tymczasem. Powodem tych wszystkich trudności i ograniczeń jest to, że Księża Dobrodzieje nie jesteście jeszcze znani w arcybiskupstwie, które dotąd polega jedynie na mojej odpowiedzialności, którą jakkolwiek ofiaruję do pewnego stopnia, wszakże nią się przeciążać nie mogę. Inna bowiem jest komu ufać, inna zaś za kogo ręczyć. Otóż ufając księżom dobrodziejom ofiaruję im chętnie udział w pracy apostołskiej w granicach moich, to jest w kościele naszym. Co do zaręczania po za tą granicą, wątpię nawet aby mogło być przyjęte. Bo jeszcze i teraz wyraźnie ksiądz Mégnan, w obecności księdza Hubego, którego mu przedstawiłem jako zastępcę mego w czasie nieobecności mojej, i z naleganiem oświadczył, iż żadnemu z nowoprzybyłych księży polskich nie da władzy inaczej, jedno pod warunkiem aby pod moją okiem pracował. Przykrym bardzo dla mnie samego jest ten warunek, bo wolę być pilnowanym niżli pilnować; ale łatwo pojąć tę ostrożność władzy duchownej względem księży nieznanych jej zgoła, i nie posiadających jeszcze języka francuzkiego, a chcących w języku dla niej obcym pracować.

Z tych wszystkich powodów, gdym wspomniał księdzu Mégnan o zamiarze księdza Mikoszewskiego pracowania dla Polaków w osobnym od naszego kościele, nie chciał ani o tém słuchać. I powtórzył z mocą: „nie znam tych księży którzy się nam dotąd nie bardzo dobrze przedstawiają. Spotykam ich często odzianych po świecku, nie noszą tonsury i nie dają oznak pobożności.” A chociaż ja mu oświadczyłem, że inaczej księża naszych nie widuję jedno bardzo po kapłańsku odzianych, i że żadna dotąd na nich skarga mię nie doszła, on mi powtórzył że ich spotyka często w świeckich sukniach, i że skoro raz jeszcze którego z nich spotka bez sutany i bez tonsury, oddali go od ołtarza, bo taka tu jest konieczna dyscyplina

kościelna. Musiałem umilknąć, bo sam bez skutku przypominałem księżom naszym noszenie tonsury.”

Czytelnik bezstronny osądzi kto winien w całej tej sprawie.

Zresztą w Paryżu, gdzie jest dostatek księży, nie łatwa rzecz dla świeżo przybyłego otrzymać ambonę lub konfesyonał, i nie ma w tej odmowie nic ubliżającego. Nawet miejscowi kapłani nie wszyscy są spowiednikami. Cóż dopiero mówić o otrzymaniu kościoła i otworzeniu osobnego nabożeństwa?

Zdarza się owszem księdzu Jełowickiemu gorzkie nieraz wyrzuty od władz kościelnych odbierać, za zbytnią łatwość w polecaniu. Ksiądz biskup Wersalski, choć niezmiernie nań łaskaw, surowo mu wyrzucał w mojej obecności że wyjednał pozwolenie spowiadania dla jednego kapłana z liczby *słowarzyszonych*) które nigdy nie chciał być u proboszcza (choć ten pierwszy był u niego), i nosił się po świecku choć to pod cenzurami zakazane, a jednak Mszę świętą odprawiał. Kiedy zaś *proprio motu* erygowali czternaście parafij polskich w Paryżu, nie łatwo mu się udało przebłagać arcybiskupa, słusznie zagniewanego za tak niepojętą swawolę; tém bardziej gdy przyszło wstawiać się za kapłanami pod processem kryminalnym będącymi. A jednak wszystko to czynił ów *straszny* ksiądz Jełowicki; zbierał nawet składkę na kapłana który podpisał wyrok jego potępienia (interdyktu na kościół *Assomption*).

Tryumfowali potem, że młoda emigracja, przestała chodzić do naszego kościoła. Tymczasem pobożniejsi z niej skarżyli się, że ci księża wzbraniając im słuchać naszych kazań, osłabiali ich wiarę swemi rozmowami. Zresztą zakaz taki łatwy do wykonania; bo czy stara czy nowa emigracja, tylko na nabożeństwa narodowe schodziła się licznie, *dla ojczyzny*; dla Boga w dnie niedzielne, mało zawsze względnie bywało.

Skarżyli się jeszcze na nas kapłani *Stowarzyszeni* żeśmy im missyi duchownej dla Polaków w Paryżu nie odstąpili. Nigdyśmy do tej missyi nie byli przywiązani, bo nas wiele trudu i trosk kosztowała, mało pociechy przynosiła. Na pół roku przed zawiązaniem. *Stowarzyszenia* kapłanów, naradzaliśmy się na zebraniu ogólnem naszym w Rzymie czyby nie wypadało tego uczynić, w nadziei że nowoprzybyli kapłani lepiej zdołają trafić do serc współczesnego im pokolenia. Wstrzymywało nas od takowego kroku:

1) przywiązanie do naszej posługi pobożniejszych z dawnej emigracji, choć już nielicznych;

2) poczucie obowiązku, zwyciężanie w nas samych wady ogólnej w naszym charakterze, rzutkości i zmienności: chcieliśmy wytrwać na raz zajętem stanowisku, dopóki Bóg pozwalał cokolwiek dobrego czynić i złemu zaradzać;

3) wzgląd na trudność niezmierną zastąpienia kimkolwiek księdza Jełowickiego w jego rozległych stosunkach i wpływach osobistych, długoletnią pracą i niepoślednim stanowiskiem społeczném nabytych;

4) obawa że zaczną i opuszczą, jak uczynili księża świeccy, którzy przed przybyciem kapłanów z ostatniej emigracji otworzyli byli drugie nabożeństwo dla Polaków w kościele Sorbony. Każdy bowiem ksiądz świecki, będąc obowiązany do posług przy jakiej parafii, a najbardziej zajęty w Niedzielę, materyalnie nie mógłby się podzielić. Pytanie przy tém

wielkie czyby była zgoda i jedność ducha między pracującymi, i czy niejeden nie wyniósł by się raczej do Galicyi lub gdzieindziej, jak się już powszechnie stało;

5) dawało nam najwięcej do myślenia stanowisko jakie wielu z tych kapłanów zajmowało w ostatniem powstaniu, postanowiliśmy wszakże upatrywać ludzi, w ręce których moglibyśmy z dobrem sumieniem zdać missyą. Stukaliśmy do pojedynczych kapłanów, i do członków polskich Zgromadzenia św. Wincentego a Paolo: jedni nie mogli, drudzy nie chcieli, inni jak ksiądz Żelechowski, były proboszcz z Odessy, i ksiądz Strutyński misyonarz, rychło pomarli. A tak dźwigamy ciężar tej missyi, dlatego tylko że nie mamy w sumieniu na kogo ją przenieść. Zresztą od ostatniej wojny we Francyi i oblężenia Paryża, nie słyszeliśmy już o współzawodnikach.

Podczas oblężenia Paryża ksiądz Jełowicki dochodził do bliższych ambulansów, a ksiądz Witkowski okrom że był kapelanem jeńców niemieckich, od których otrzymał serdeczne podziękowanie, w pismach publicznych ogłoszone; posługiwał nadto stale rannym francuzkim w wielkim ambulansie. A że wraz po kapitulacyi, kapłani francuzcy wrócili do swoich dawnych zajęć, ksiądz Witkowski nie chciał pozostawić chorych swych bez duchowej pomocy, i pozostał w powtórnie oblężonym Paryżu, pod obrzydliwym rządem a raczej nierządem Kommuuny, i wytrwał do końca narażając rozmyślnie życie własne. Wracamy do kapłanów z nowej emigracyi.

Chcąc otworzyć jakiegokolwiek pole dla gorliwości kapłańskiej nowoprzybyłych, przedstawiliśmy niektórym z nich aby odbywali missyjki po zakładach na prowincyi. Ojciec Perraud najchętniej dawał pomoc na to z kasy towarzystwa *L'oeuvre du Catholicisme en Pologne* przezeń założonego; ale i to nie bardzo się powiodło. Niektórzy bowiem (choć były zaszczytne wyjątki) więcej się bawili polityką niż spowiedzią, zbierali wiernych nie do kościoła ale na schadzki pokątne, i zamiast missyj zakładali *gminy*.

Za dawniej emigracyi kilku złych księży, przepędzanych z dyecezyi do dyecezyi, potrafiło zhańbić duchowieństwo polskie wobec Francuzów. Było się to jakoś zatarło, i nowoprzybyli kapłani polscy doznali najlepszego przyjęcia ze strony duchowieństwa francuzkiego. Dziś to samo się powtarza na szerszą skalę. Cóż dziwnego potem, jeśli się nam wymknęło czasem jakieś słowo cierpkie niesmaku? Radzi niejako jesteśmy przyznać się choć do tej winy, gdy innych zarzutów przyjąć na siebie nie możemy.

Rzecz nie do pojęcia, że kapłani *stowarzyszeni* w *Ostrzeżeniu* swém w osobnej, dziś już zapomnianej, broszurze drukowaném, zarzucają nam iż przeszkadzamy im w dostaniu się do Księstwa i Galicyi; kiedy w chwili gdy to pisali było już ich tam trzydziestu, a żadnego z nas: więc albo nasza złość bezsilna, albo jej niema. W każdym razie nie było się czego skarżyć.

Ksiądz Arcybiskup poznański ma dosyć swoich własnych kapłanów, obcych nie przyjmuje. Nie nasza rzecz radzić mu aby się narażał na trudności z rządem pruskim, który tak blisko jest skolligaconym z moskiewskim. Zresztą nie naszą też rzeczą jest wchodzić w powody arcybiskupa, ani powtarzam on rad naszych potrzebuje.

Co do Galicyi: gdyby wszyscy czytali tam *Ostrzeżenie*, sądzimy, że nie jeden, równie szlachetny jak Ojciec Fidelis, poczuł by się do obowiązku zaświadczenia publicznie odebranej od nas pomocy. Niejednemu bowiem wyrobiliśmy paszport, daliśmy pieniądze na

drogę i poleciliśmy znajomym dostojnikom galicyjskim. Ale słyszeliśmy dwóch biskupów galicyjskich skarżących się już na niektórych księży emigrantów do siebie przyjętych: jeżeli w końcu ich oddalą wina *niezawodnie będzie Zmartwychwstańców*. Dobrze jeden z naszych historyków zauważył, że miłość własna nie pozwala nam w jakimkolwiek wypadku przyznać się do winy, albo przynajmniej przyjąć części jej na siebie: trzeba koniecznie znaleźć kozła ofiarnego, na którego się osobiste lub publiczne grzechy składa! Takim kozłem ofiarnym są obecnie Zmartwychwstańcy. I jak Tertullian mówi o poganach swego czasu, że winę wszystkiego składali na Chrześcian; „czy Nil wylał za nadto, czy całkiem nie wylał, czy deszczu za wiele czy za mało, Chrześcianie winni, Chrześcian rzucić na pożarcie bestyom”: tak się i nam dziś dzieje. I świeccy i duchowni wmawiają w siebie, że Zmartwychwstańcy wszystkiem i wszystkiemi się zajmują. Jacyż to kolosalni ludzie ci Zmartwychwstańcy, gdy tak mogą wszystkiemu podolać!

Księża *stowarzyszeni* skarżą się jeszcze, żeśmy ich na czas polubownie nie ostrzegli, a potem bezwzględnie potępił. Zapomnieli widać, że na kilka miesięcy przed ogłoszeniem swego *Ostrzeżenia* prosili księdza Semenenkę będącego przejazdem w Paryżu, aby chciał być rozjemcą między nimi a księdzem Jełowickim: a ten ostatni, nie zasłaniając się bynajmniej stanowiskiem swoim urzędowym względem nich, chętnie przystał na to. Otóż ksiądz Semenenko, którego nikt jeszcze o żywość lub niecierpliwość nie oskarżał, w długiej rozmowie z ówczesnym prezesem *stowarzyszenia*, i innym jego kolegą, wykazywał obszernie pierwszym artykułem ich ustawy, że *stowarzyszenie* jest nie kościelne jedno polityczne. Prawda że oni przy swoim do końca obstawali, nawet zabójstw politycznych zacięcie bronili; lecz jakim prawem mogą się teraz skarżyć żeśmy ich nie ostrzegli?

A zatem wszystkie zarzuty są prostą przyczepką, sprawa między kapłanami *stowarzyszonymi*, księdzem Mikoszewskim (skarżącym się żeśmy byli powodem jego wydalenia z Rzymu) i t. d. jest sprawą różnicy zasad. Pokazało się to z listów zuchwałych księdza Mikoszewskiego pisanych do Ojca św., i listu kapłanów *stowarzyszonych* do Ojców Soboru. Sam ksiądz prałat Sosnowski, tak zresztą dla piszących pobłażliwy, musiał się jednak publicznie zastrzedz przeciwko ich zasadom. Powtarzam, sprawa między nami jest sprawą zasad; my stoimy przy Papieżu i biskupach, władzę w Kościele czcimy jako z góry idącą od Boga; przeciwnicy nasi chcieliby wprowadzić do Kościoła pojęcia tak zwane nowożytne, i władzę pochodzącą z dołu przez lud: porozumienie zatem między nami niemożliwe. Zresztą jeden z naszych kapłanów ma już przygotowaną pracę do druku, w której kwestyą zasad rozbiera: my zatem jej nie poruszamy.

Co do skarg księdza Mikoszewskiego przypominamy wykrzyknik księdza Butkiewicza: „wszystko wiedzą w Rzymie!” Rzeczywiście wszystko wiedzą. I duchowieństwo, i gorliwi świeccy otrząsnąwszy się z długiej ospałości poczuli się do obowiązku uwiadomiania o wszystkiem Rzymu. Wiedział Rzym jakie stanowisko zajmował ksiądz Mikoszewski w czasie powstania, wiedział co w swoim *Głosie kapłana* pisał nie tylko przeciwko Zmartwychwstańcom ale przeciwko własnemu arcybiskupowi. Ma też Stolica Apostolska swoich nuncyuszów wszędzie, nie dla czezej formy tylko. Wiedział zatem Rzym że ksiądz Mikoszewski był oddalony z Paryża przez władzę polityczną za ścisłe stosunki ze skrajnym stronnictwem przewrotu. Wiedział następnie o jego ruchach w Hiszpanii, Portugalii, Brazylii,

Ameryce południowej; i nic dziwnego że nie chciał mieć gościem nieupoważnionego reprezentanta Kościoła polskiego. Dodamy jednak dla zapobieżenia nadal wszelkim podobnym rozprawom, że każdy katolik, a tém bardziej każdy kapłan obowiązany jeat powiedzieć szczerze swe zdanie o osobach, o które go właściwa zwierzchność kościelna zapytuje. Wie o tém każdy co się teologii uczył. Wymaga tego dobro Kościoła, dobro publiczne, przed którym interes prywatny ustąpić musi. Nikt się tém gorszyć nie będzie, jeśli jest prawym synem Kościoła, i Kościół jako swą matkę miłuje. Otóż i nam się czasem zdarza poufne zapytania względem rozmaitych osób od urzędów kościelnych odbierać, na które z całą sumiennością, jak miłość chrześcijańska z jednej strony, a z drugiej sprawiedliwość nakazuje, staramy się odpowiadać. Rachunku z tego przed nikim zdawać nie możemy, chyba przed Bogiem i przed zwierzchnością duchowną. Czy nasze zdanie wpłynęło kiedy na zachowanie się władz tutejszych względem którego z naszych rodaków, tego nie wiemy i nigdy zapewne wiedzieć nie będziemy, tém bardziej że prócz naszego głosu jest zawsze wiele innych danych, na których się władza w swém postępowaniu opiera; tuszymy wszakże żeśmy nikomu nie zaszkodzili, a może niejednego z zarzutów oczyścić zdołali.

Co do naszych oskarżycieli, zapewniamy najuroczyściej, że żadnej do nich nie mieliśmy i nie mamy urazy, żadnego powodu im szkodenia; owszem chętnie im wszelką pomoc nieść jesteśmy gotowi, choć się w zasadach wielce różnimy. Ganiąc zasady osobom krzywdy nie czynimy. Miłość dla osób a nienawiść dla błędu, oto stare chrześcijańskie i nasze także hasło.

Pojawiają się wciąż jeszcze w dziennikach włoskich, czyjegokolwiek pióra nie wchodzimy w to ale zawsze polskiego, artykuły podżegające rozognione namiętności rewolucjonistów włoskich przeciw nam, dotychczas bez skutku: snąc w cudzoziemcach antykatolickich nawet, budzi ckliwość to miotanie się Polaków już tyle nieszczęśliwych, na własnych swoich rodaków i to przed obcymi, których te osobistości nie obchodzi. Zresztą, dzięki Bogu, wśród obcych nieprzyjaciół nie mamy! Jeden z najznakomitszych prałatów polskich powiedział nam świeżo: „albo nigdy nie odpowiadajcie, albo musicie odpowiadać zawsze i na wszystko i bo jak skoro odpowiadacie czasem tylko, ile razy zamilkniecie mnóstwo ludzi powie, że nie macie co odpowiedzieć: a czy podobna Wam wciąż polemikę prowadzić? Wierzajcie mi, ludzie poważni, o których zdanie dbać możecie, nie uwierzą potwarzom; systematycznie niechętnych niczém nie przekonacie. Jeżeli w rzadkim jakim razie pokaże się użyteczność odpowiedzi, to Bóg wskaże niewątpliwie”. Sprawdziliśmy już nieraz mądrość tego zdania. Raz czy dwa odpowiedzieliśmy w pismach zagranicznych na zarzuty nam czynione. Kilka, razy w pismach krajowych, a zawsze na usilne domaganie się naszych przyjaciół troszczących się o to by kłamstwo słabszych umysłów w kraju nie uwiodło. Więc i nadal tak samo postępować zamierzamy, w duchu naszej Reguły która o tyle nam pozwala bronić się od potwarzy, o ile by na naszym milczeniu chwała Boża ucierpieć mogła. Zkądinąd zbyt trudna to kapłanom szermierka z ludźmi dla których potwarze są chlebem powszednim. Odpowiadać na wszystko zbyt mało mamy ochoty i zgoła nie starczy nam czasu.

Niechże raz na zawsze przekonają się łaskawi nasi przyjaciele i dobrodzieje w kraju, że nam niepodobna bronić się przeciwko ciągłym i systematycznym napaściom.

Musielibyśmy chyba tylko to robić i czytać dzienniki w których prócz żółci i plotek często wigcej nic nie ma. Bezimienny autor znakomitej broszury świeżo ogłoszonej pod tytułem: „*Wo ist die Zukunft Europa's*”, powiada że ludzie uczciwi tak niekorzystnie muszą walczyć przeciwko złemu dziennikarstwu jak żołnierz ze strzelbą skałkową przeciwko kartaczownikom. On myśląc o Wiedniu dodał: jak bankier płaci tak adwokat pisze; a my o Galicyi myśląc moglibyśmy powiedzieć: jak żyd płaci tak adwokat pisze. I bogdajby tylko adwokaci u nas pisywali! ale pisują chyba tacy którzy nie mają klientów, piszą lekarze nie mający pacjentów, piszą studenci którzy nie zdali egzaminów, oficjaliści którzy miejsca postradali itd. itd. i ci tworzą niby opinią publiczną. Co to za pociecha móżdż płuć w górę i błotem przechodzących obrzucać! Cóż dopiero gdy mogą zarazem ulżyć trawiącej żółci! Wiemci ja że są najszlachetniejsze wyjątki, że dziś wielu ludzi z najczystsze go poświęcenia oddaje się dziennikarstwu; podobnie jak w wojnie narodowej i ojcowie rodzin i seminarzyści idą na wojnę; ale dotychczas zawsze to walka ze skałkówką przeciw kartaczownicy!

Więc jaki ratunek, powie kto, i jak oświecić mnóstwo ludzi nie złych ale łatwowiernych, wierzących jeszcze we wszystko co napisane, co stoi *czarno na białém*? Nie widzimy innego środka jak w zużyciu się złego, samem nadużyciem. Podczas oblężenia Paryża jeden i drugi dziennik czerwony upadł z braku czytelników. W końcu może i dobrodusza nasza szlachta wiejska, i poczciwe mieszczaństwo, a nawet i „*dobrodzieje*” przestaną złe dzienniki trzymać i wierzyć w *brudne na białém*, a niech braknie abonentów niezawodnie upadną, bo tylko ludzie uczciwi piszą z poświęcenia i jeszcze nieraz płacą drukarza z własnej kieszeni. Po wielkich stolicach gdzie wiedzą co się dzieje za kulissami dziennikarskimi, za ile się poprzedawały organa najpoważniejsze niby, aby wmówić światu jedność włoską lub uczynić popularną we Francyi i Anglii wojnę Prusaków przeciwko Danii i Austryi, tam nie wierzą już w *czarne na białém*. U nas daleko jeszcze od tego; wszakże w Galicyi samój mniej już żywa wiara w dziewiczość fabrykantów opinii publicznej: niedawny proces dwóch dzienników we Lwowie i świadectwa jakie sobie nawzajem ci panowie oddawali przetarły choć z grubego oczy naszym dobrodusznym. Ufajmy że z czasem przy śmielszém coraz występowaniu organów katolickich i u nas trzeźwiej ludzie na rzeczy i osoby poglądać zaczną. Co do nas pocieszamy się słowami Zbawiciela: „błogosławieni jesteście, gdy wam złorzeczyć będą, i prześladować was będą, i mówić wszystko złe przeciwko wam, kłamając, dla mnie (to jest z powodu mnie). Radujcie się i weselcie się: albowiem zapłata wasza obfita jest w niebiesiech” (Mat. V.)

Wprawdzie św. Paweł pisze do ucznia swego biskupa: „staraj się o dobrą sławę, *cura de bono nomine*.” Niewątpliwie dobra sława pozwala kapłanowi korzystniej dla dusz pracować, i dlatego też nieprzyjaciele Kościoła starają się osławić kapłanów, mianowicie gorliwszych, wiedząc że z mnóstwa kłamstw i potwarzy zawsze jakiś osad uprzedzeń w umysłach pozostanie: „*mentez morbleu, mentez*, mówił Voltaire, *il en restera toujours quelquechose*.” Ale doświadczenie samo już nas nauczyło jak prawdziwie mówił św. Franciszek Salezy, haniebnie spotwarzony a bronić się nie chcący: „ufam że mi Bog zostawi tyle dobrej sławy ile mi jój potrzeba do Jego służby.” Pomimo wszystko co już przeciwko nam napisano, więcej mamy jeszcze do czynienia niż podołać możemy. Zresztą my starsi na których głównie pociski padają, możemy się pocieszać po ludzku nawet, wyrażeniem się ś. p.

biskupa Łętowskiego: „że Polacy obchodzą się z ludźmi jak ze zwierzyną; dopiero ją znajdują dobrą gdy cuchnie.” Otóż rychło i nam dadzą pokój, gdy już im na świecie zawadzać nie będziemy. A rzeczywiście chodzi nam o to tylko żeby imiona nasze *znalazły się w księdze żywota*.

ROZDZIAŁ VII.

Przełożęństwo ks. Hieronima Kaysiewicza (1864-1871).

(Ciąg dalszy).

Widzieliśmy powyżej że na ostatniem zebraniu ogólném Zgromadzenia (1864) zasiadali przybyli członkowie z Ameryki i z Turcyi. Missya Zgromadzenia w Kanadzie nabrała już takiej wagi, iż na tém zebraniu wyniesioną została w duchu Reguły, na dom regularny Zgromadzenia, drugi dopiero po rzymskim. Inne bowiem jako to paryzki, bułgarski i włoski w Mentorelli zakład, są dotąd missyami tylko. Ten wzrost missyj Zgromadzenia w Ameryce spowodował nowo potwierzonego Przełożonego głównego aby ją odwiedził, tém bardziej że coraz pomyślniejsze widoki na przyszłość skłaniały do lepszego opatrzenia fundamentów w obecnej chwili zakładanych. Tak więc w roku 1865-ym wyjechałem dla zwiedzenia missyi kanadyjskiej. Znalazłem tam pięć wielkich parafij stale obsługiwanych, dziesięć stacyj missyjnych co miesiąc odwiedzanych, nadto świeżą osadę polską (z dwieście rodzin) Paryż nazwaną, w stanie Michigan, o trzysta mil angielskich położoną, a odwiedzaną dwa razy do roku; przytém zakład dla sierot utrzymywany przez siostry miejscowe; a na końcu znalazłem już dobrze rozpoczęte dzieło, bo małe kollegium czy gimnazjum dla uczącej się młodzi. Wdzięczna ta ludność choć obca i mieszana, przyjmowała przełożonego Ojców swoich duchownych w processyi z chorągwiami przy wystrzałach z moździerzy i t. d. W Montréal, w Kanadzie frauczkiej, kazałem podczas podwójnych rekolekcyj proboszczom i wikarym dyecezyi, a wszędzie mówiłem o prześladowaniu w Polsce, bo wszędzie o to się dopraszano.

Z północnej Ameryki musiałem dopłynąć aż do Brazylii, albowiem nowo obrany biskup ogromnej dyecezyi Pernambuco upewniał mię że znajdę tam hojną pomoc dla seminarium polskiego które właśnie jak widzieliśmy zakładało się w Rzymie. W skutek wszakże uciążliwej wojny z Paraguay, bankructw, upadku handlu, ledwo żem zebrał w Brazylii fundusz na stałe utrzymanie jednego ucznia. Miałem jednak sposobność obznajomienia Brazylijczyków ze sprawą polską i Kościoła polskiego.

Zaledwo powróciłem był z Ameryki w jesieni 1866-go roku gdym otrzymał naglące wezwanie o otworzenie tamże nowej missyi. Nadszedł bowiem list od księdza Dubuis, biskupa Galveston w Texas, przybyłego do Europy po missyonarzy, w którym mi przedstawił, że ma w sześciu czy siedmiu miejscowościach kilka tysięcy Polaków pobożnych i rządnych, a bez jednego kapłana swego języka; że główna kolonia *Panna Marya* założona jest na cześć

Tę, którą Polacy czczą jako swoją królowę, i przeto ufa, że Zgromadzenie nie zaniedba braci swoich, krwi swojej, dusz krwią Chrystusa Pana odkupionych a pozbawionych środków zbawienia; że tak ufa iż Matka Najświętsza nie opuści go w tej potrzebie, iż już zatrzymał dwa miejsca dla misjonarzy naszego Zgromadzenia na statku odpływającym 28-go września z Brestu do Nowego Yorku. Zdawało się że takiemu wezwaniu, zakłęciu, niepodobna było odmówić. Zgromadzenie wysłało O. Adolfa Bakanowskiego jako przełożonego missyi, dodając mu księży Barzyńskiego i Feliksa Zwiardowskiego. Po przybyciu pocieszeni zostali pobożnością kolonistów, mianowicie w osadzie wiejskiej *Panna Marya*, gdzie się lud i bez kapłana do kościoła na modlitwę schodził i dzieci katechizmu się uczyły. Kilka dni drzwi się u misjonarzy nie zamykały, aż się lud nacieszył i napłakał z radości. Tak jest powolny, iż przed Adwentem chcąc się trochę zabawić przy skrzypcach, przyszli starsi prosić O. Bakanowskiego o pozwolenie, a nazajutrz wszyscy stawili się w kościele na Mszę zrana, aby pokazać iż żadnego nadużycia nie było. Wybudowali już dom kamienny, który ma tymczasem służyć za plebanię księżom, a potem za klasztor dla siostr i szkołę dla dziewcząt. Podobnie kilkadziesiąt rodzin wyrobników polskich w mieście San Antonio zdobyło się na zbudowanie kościoła, domu na szkołę, mieszkanie dla proboszcza.

Rychło potem musieliśmy posłać księdza Szymona Wieczorka na proboszcza do nowej kolonii polskiej w Stanie Michigan, a dyecezyi Détroit (dawniej już odwiedzaną przez jednego z naszych kapłanów z Kanady) którą poczciwi koloniści na pociechę nazwali Paryżem. Świeżo biskup z Louisville w Kentucky ofiarował Zgromadzeniu budynki pokollegialne z obszernym ogrodem, zdolne pomieścić stu-pięćdziesięciu uczniów w St. Mary. Współcześnie sześćset rodzin polskich mieszkających w Chicago (Illinois) i w okolicach, zdolnych utrzymać trzech kapłanów, domaga się wraz z biskupem byśmy objęli tę parafią (obsługiwana już tymczasowo przez księdza Bakanowskiego).

Inny fakt o którym wspomnieć wypada jest podróż moja odbyta do Galicyi w roku 1868-ym na 1869-ty. Ksiądz Semenenko podczas podwójnej podróży swojej w sprawie seminaryum, miał sposobność poznania hrabiego Gołuchowskiego, naonczas namiestnika cesarskiego w Galicyi, który dawniej (w innych zresztą okolicznościach politycznych) był uprzedzonym przeciwko Zgromadzeniu, teraz objaśniony, ze zwykłą sobie energią pragnął byśmy osiedli w Galicyi. Ze swój strony ksiądz Arcybiskup zawsze się nam łaskawym okazywał; to spowodowało moją podróż. Nie mogąc na razie rozporządzać większą liczbą kapłanów, a chcąc coś korzystnego małemi siłami rozpocząć; przeciwko zwyczajowi Zgromadzenia, prosiłem księdza Arcybiskupa aby nam powierzył dyrekcją swojego seminaryum *puerorum*, którego uczniowie zresztą, w moc fundacyi, uczęszczają na kursa gimnazjalne po za domem: chodziło tylko na razie o dyrekcją i korepetycyę. Najprzewielebniejszy Arcypasterz nie pokazał się przeciwnym tej myśli, żądał tylko czasu do umieszczenia i stosownego uposażenia kapłanów dyecezalnych zawiadujących tym zakładem. Tymczasem hrabia Gołuchowski usunął się z posady namiestnika i rzecz poszła w odwołkę. By zużytecznieć podróż odbyta kazałem przez Adwent w katedrze i w innych kościołach Lwowskich; i odwiedziłem Siostry Niepokalanego Poczęcia w Jazłowcu, które (jak już wyżej wspominaliśmy) pod tą nazwą potwierdzone przez Stolicę Apostolską, roku 1863-go w liczbie siedmiu czy ośmiu przeniosły się były do Galicyi. Tak ksiądz Semenenko podczas

dwóch swoich podróży do Galicyi, jak ja obecnie, mieliśmy czystą i świętą pociechę widzieć tę młodą płonkę, zesłą w Rzymie, a przesadzoną na grunt ojczysty, bujnie rosnącą z widoczném błogosławieństwem Bożem. Kilkadziesiąt Sióstr, wychowuje nowe pokolenie córek obywatelskich z powszechném zadowoleniem rodziców, tych nawet którzy dotychczas byli uprzedzeni przeciw wychowaniu klasztornemu. Mury obszernego pałacu Poniatowskich ofiarowane na ten cel przez zacnego pana barona Błażowskiego, a wyrestaurowane staraniem Wielebnej Matki Przełożonej, nie mogą pomieścić wszystkich panien cisnących się do tego przybytku pobożności i nauki: co rok Przełożona, z rozdartém sercem musi odprawiać 20-30 panienek których przyjąć nie podobna. Oby dobry Bóg co rychlej pozwolił Siostrom otworzyć drugi zakład, a następnie wiele innych!

Podobno ta podróż moja i ogłoszona przedwcześnie wiadomość, że mamy wziąć pod nasz kierunek zakład wychowawczy we Lwowie, stały się nową okazją do namiętnych na Zgromadzenie napaści bądź w gazetach, bądź w osobnych broszurach, o których w poprzednim rozdziale wspominałem. Nigdy nam, od samego początku nie brakowało nieprzyjaciół, już to swoich, już obcych; ale nienawiść z jaką nas od roku 1863-go ścigano, silniejsza była niż kiedykolwiek. Zdawało się, jakoby stronnictwo rewolucyjne w Polsce ujrzało w nas jednego z głównych swoich przeciwników (oczywiście nie siłą ani znaczeniem członków Zgromadzenia, ale myślą i zasadą której bronimy), a korzystając z tego że okoliczności silniejsze od naszej woli zmuszały nas dotąd pracować i rozwijać się poza granicami Polski, postanowiło systematycznie oczernianiem wstęp nam do kraju utrudnić. Ale Bóg miłosierny Stokrotnie nagrodził przykrości, jakich z tego prześladowania doznaliśmy. W tym to właśnie czasie ustała główna nasza troska, która dawniej wielokrotnie nas trapiła, niepłodności naszego Zgromadzenia. Od roku 1864-go poczęli zjawiać się coraz gromadniej nowi kandydaci do naszego grona, bądź to młodzież wiele obiecująca, bądź też ludzie już dojrzałsi, którzy w świeckim lub duchownym życiu mieli sposobność odznaczenia się. Prócz kilkunastu Polaków, którzy w tym czasie przybyli i próby nowicyatu za łaską Bożą szczęśliwie przebyli, zgłosiło się tyluż blisko cudzoziemców, zwłaszcza też Włochów, tak że można już było gdy wypadki nacisnęły, pomyśleć o osobnym dla Włochów nowicyacie i alumnacie na wyspie Malcie, podczas kiedy nowicyat i alumnat polski jeszcze w Rzymie się znajduje. Doczekało się też Zgromadzenie ze swych amerykańskich i niemieckich wychowawców ludzi, z których pomocą może już, z pewną nadzieją powodzenia, znaczniejsze, jak wspomnieliśmy, w Ameryce wziąć na siebie dzieła. Raz jeszcze w ten sposób otrzymaliśmy z góry przestrożę, by wszelkie krzyże i dolegliwości na nas zsyłane przyjmować ochotnie i wdzięcznie, bo one są zawsze zapowiedzią nowego miłosierdzia Opatrzności.

A mieliśmy współcześnie inne pociechy. W tych właśnie latach Kościół kilkakrotnie obchodził w Rzymie świetne tryumfy. Kanonizacya Męczenników japońskich, osiemnastowiekowa rocznica męczeństwa świętych Apostołów, wraz z kanonizacyą św. Józafata i innych Sług Bożych, uroczyste sekundycye Piusa IX-go, a wreszcie wielki Sobór Watykański, ściągnęły do Rzymu biskupów polskich oraz wielu księży z Galicyi, z Poznańskiego i z Prus Zachodnich. Zetknięcie z dostojnymi książętami i reprezentantami Kościoła polskiego przyniosło nam wiele radości, nieraz wiele zbudowania. Zostanie także na

zawsze nader miłém dla nas wspomnieniem, że kilkudziesięciu księży polskich z tój okazji w Rzymie bawiących, chciało dzielić niewygody naszego mieszkania lub być naszymi stołownikami. Byliśmy najbliższymi świadkami ich pobytu w Rzymie. Ich cnota, ich nauka i gorliwość apostołska wlały w nas błogą otuchę o przyszłość kraju, a uprzejmość towarzyska jakiej doznaliśmy dozwoliła nam wejść z nimi w ścisły i ufamy trwały, przyjacielski stosunek.

Na tém wypadaloby zakończyć nasz obraz; wszakże jeszcze jedno wspomnienie wrywa się z serca. Był między nami młodzian, a zgasł niedawno, o którym nie miałbym prawa pisać dla publiczności, bo niczém nie dał się jój poznać. Ale przez te kilka lat, które między nami przebył, tak dobrze nam dał się poznać, taką świątobliwością zajaśniał, takeśmy go wszyscy pokochali, że pamięć rzewna wciąż o nim żyje i dziś jeszcze, kiedy niejednen z nas o nim wspomni, to mu łza w oczach zabłyśnie. Czytelnik więc przebaczy jeśli sercu własnemu folgując, dodam tu wzmiankę o Władysławie Felińskim.

Urodził się on na Wołyniu 14-go grudnia 1847 roku. Pierwszych lat dziesięć spędził na wsi przy rodzicach. W notatkach które po sobie zostawił, oskarża się że był pysznym, krnąbrnym i t. d. Jeżeli wyznanie to nie pochodzi z pokory widzącój w sobie więcej jeszcze złego niż go było w istocie, to tem chlubniej dla niego, że wierny łasce Bożej w późniejszym życiu rdzennie się pozbył podobnych usposobień. Następnie oddany został na nauki do korpusu kadetów w Kijowie. Zakład ten, kilka lat przedtem otwarty został z wielkim przepychem, a dla przynęcenia młodzieży przyjmowano ją bezpłatnie. Ubożsi korzystali z takiego ułatwienia, i Władysław nasz spędził tam trzy czy cztery lata. Wiadomo co rząd zamierza przez takowe zakłady: przyzwyczaić młodzież do zbytku i wystawy aby potrzebując wciąż pieniędzy zależała od rządu, i nie przebierała w środkach ich dostania; aby pogrążona w materyalizmie, niezdolną była do szlachetniejszych popędów duszy. Wiadoma nadto, iż za panowania Mikołaja niewiara rozkrzewiła się była w professorach, którzy systematycznie zatruwali młode dusze uczniów. Dla naszego Władysława zdolnego, chciwego wszystko wiedzieć i zbadać, celującego zawsze i wszędzie w naukach, ambitnego, co zwykle się trzyma zdolności niemiarkowanych zasadną cnotą, atmosfera zakładu była bardzo niebezpieczna i zgubna. W jedném ze swoich pisemek dziękuje Bogu że go wtenczas, jak nieraz później, drogą patryotyzmu ze zgubnych sidłał wyprowadził. Nie przytaczamy wyjątków z pozostałych po nim listów i pisemek dla nieprzedłużania tój wzmianki o nim. Spodziewamy się że później krótki ten nasz życiorys, podobnemi przytoczeniami dopełniony i rozszerzony zostanie.

W roku 1862-im gdy się ruchy demonstracyjne rozpoczęły w Warszawie, patryoci zdołali trafić do korpusu kadetów. Starsi uczniowie przekładali młodszym, że rząd dąży do zdemoralizowania ich i wynarodowienia, i rozbudzali w nich uczucie polskości. Władzio Feliński wziął to żywo do serca, i napisał do ojca list błagalny, zaklinając aby go wyrwał z tego miejsca zepsucia: dodawał, że teraz mu się dopiero oczy otworzyły i że dłuższy pobyt w zakładzie cięższym był dlań od śmierci samój. Ojciec posłał ten list Arcybiskupowi warszawskiemu, prosząc go, aby wziął chłopca do siebie. Ksiądz Arcybiskup odpisał że chętnie to uczyni, byle go ojciec z korpusu wy dostał: wiedział bowiem, że raz tam oddanych odbierać nie wolno. Tymczasem żwawy młodzian, nie doczekawszy się odpowiedzi ojca, otrzymał pozwolenie wyjazdu na wakacje; i zabrawszy się z jakimś oficerem udającym się do Warszawy, przybył niespodzianie do Arcybiskupa. Jakim sposobem się stało, że go nie

przywołano napowrót do korpusu? niewiadomo. Zapewne przy ówczesnych niepokojach, zapomniano o nim; a może nie wiedziano gdzie go szukać. Tak Bóg wydobył naszego Władysława z położenia, w którym przy dłuższym życiu byłby niezawodnie dostąpił wysokiego stopnia w zawodzie obranym; ale co by się było stało z jego duszą?

W Warszawie odbył na wstępie rekolekcje, które ksiądz Arcybiskup wraz z bratem swoim, księdzem Julianem Felińskim, urządził był dla chłopców wychowujących się w jego domu. Wtedy dopiero zaczęły mu się na dobre oczy otwierać: od razu pokazał jak najlepszą wolę, spowiadał się co tydzień, i był wzorem kolegom, nie już tylko pod względem naukowym ale i obyczajowym. W szkołach zawiązał przyjaźń z gronem lepszej młodzieży; i apostołował wpośród niej, z całą gorącością świeżej gorliwości. Jeden z najserdeczniejszych jego przyjaciół chciał się z nim razem Bogu poświęcić: myśl ta bowiem już była zaświtała w duszy Władysława; ale zbyt jeszcze był dziecinny, i nie mógł sobą rozporządzać. W domu też księdza Arcybiskupa był Aniołem Stróżem młodszej dziatwy, opuszczonej po wyjeździe księdza Juliana Felińskiego do Włoch dla zdrowia, i po uwięzieniu arcypasterza do Rosyi. Wszakże gdy szkół dokończył, powołanie jego już było dojrzałe. Dla ostatecznego naradzenia się z księdzem Arcybiskupem, puścił się sam 18-to letni młodzian z Warszawy do Jarosławia w czasach największej grozy policyjnej; i zanim urzędnicy się opatrzyli kilka tygodni tam spędził. Ksiądz Arcybiskup skłaniał go zrazu do uczęszczania na kursa w Szkole Głównej, ale w końcu przychylił się do zdania brata swego, aby nie wytrzymywać dłużej młodzieńca na świecie. W tych czasach stracił on był ojca, wraz potem siostrę bardzo świątobliwą osobę, i rychło matkę; tak iż zupełnym sierotą wyjechał za granicę. Z Warszawy skierowano go do OO. Jezuitów w Krakowie; ale on nie śpieszył gię z wyborem, zamyślał bowiem odbyć wprzód nauki teologiczne w seminarium polskiem w Rzymie. Po przybyciu jednak do miasta świętego rychło zmienił pierwotny zamiar. Poznawszy Zgromadzenie Zmartwychwstańców postanowił doń wstąpić.

W Zgromadzeniu, nietylko był wzorem zakonnego żyda, ale i innych do miłości Bożej pobudzał. Nowicyat bardzo gorliwie odbył, a nauki słyszane dosłownie prawie spisywał. Nikt by się jednak z obcych nie domyślił ile miał ze sobą do walczenia. Wrażenia złego pierwszego wychowania stłumił był wprawdzie w Warszawie, opierając się na powadze Kościoła i arcypasterza, drugiego ojca swego; owiany zresztą i przenikniony na wskroś panującą tam naonczas, gorączkową atmosferą polityczno-religijną. Ale obecnie, przy samotności zewnętrznej i uciszeniu wewnętrznym, wszystkie trudności i zarzuty przedstawiały się napowrót daleko silniej, bystremu jego i badawczemu umysłowi: tak że musiał przejść po raz drugi cały proces wewnętrzny by wszelki zaród niedowiarstwa w sobie z łaską Bożą zwyciężyć, i dojść do szczerzej, prostej i silnej wiary. Co go ratowało przy tej bolesnej walce, to pragnienie i praktyka częstej Kommunii świętej: jakiegokolwiek bowiem mgły zalegały jego umysł, wiedział z doświadczenia że ten pokarm niebieski krzepi go i oświeca zarazem. Pomimo tej pracy wewnętrznej nie zamykał się samolubnie sam w sobie. Świeżo przybywających szczególną otaczał troskliwością; tak iż ci nawet, którzy z braku powołania i wytrwałości występowali z nowicyatu, z tém się głośno oświadczali że w bracie Władysławie całkowite pokładali zaufanie. Podtrzymywał też pokrewnych swoich lub znajomych pełnemi gorliwości i namaszczenia listami. Jeden z nich, który w skutek

niereligijnego wychowania o Bogu był prawie zwątpił, obecnie jest bardzo przykładnym młodzieńcem. O kolegach też swoich nie zapominał, i do końca krzepił ich i budził swojemi listami. W jednym z takowych bardzo przekonywająco dowodzi że bez miłości Bożej niema prawdziwego patriotyzmu.

Przez rok nowicyatu zdrowie mu dostatecznie dopisywało. Pierwszy rok nauk odbył jeszcze w Kollegium rzymskiem, ale już z wysileniem. Niemniej jednak kajeta wszystkich kursów najporządniej spisane zostawił. W ciągu roku 1869-go dnia 11-go czerwca przyjął był święcenia mniejsze. W jesieni tego roku, tuberkuły zagnieżdżone najprzód we wnętrzościach, objawiły się w płucach. Na kursa już chodzić nie mógł, ale rychło wyćwiczył się na bieglego mistrza ceremonii, i zarówno z innemi alumunami ułożył dla próby jedno kazanie. Na wiosnę roku 1870-go dostał zapalenia wątroby. Młodzież nasza czuwała przy nim z kolei w dzień i w nocy; nietylko z cnoty zakonnej i obowiązku braterskiego, ale jeszcze w skutek wielkiej miłości jaką go wszyscy otaczali, i chęci zachowania go dla Zgromadzenia. Po wyjściu z tego niebezpieczeństwa, mniemał że już zupełnie wyzdrowiał, i jako rzecz zwykła suchotnikom zaczął projekta na przyszłość układać. Wtenczas musiałem z obowiązku sumienia ostrzedz go że się myli, i że życie jego, co najdłużej na miesiące jest policzone. Dodałem że po ludzku niema nadziei; że liczne nowenny odbyte na jego intencją nie przyniosły polepszenia: co więcej Ojciec święty sam, zagadnięty przez księdza Jełowickiego, odpowiedział: „niech się nad nim spełni wola Boża.” Usłyszawszy to wszystko młody nasz chory zmieszał się na chwilę, ale rychło przyszedł do równowagi; owszem zaczął pragnąć i przed kolegami swemi objawiać pragnienie rychłej śmierci. Gdym mu i to przyganił, trzymał się odtąd w zupełnej zgodności z wolą Bożą. Rozpisał wtedy listy pożegnalne do swoich krewnych i znajomych które wszystkich do łez poruszyły.

Po niejakiem czasie ostrzegłem go znowu, że życie jego już tylko na tygodnie policzone, i polecałem, by starał się jak najściślej trzymać w zjednoczeniu z Bogiem, i cierpieć wszystko dla jego miłości, tak aby mu wszystko było policzone ku zasłudze; i aby mógł albo o czyściec nie zawadzić, albo przynajmniej jak najkrócej tam pogościć: „bo wiesz, dodałem, że w czyścju niewygodnie, a co więcej że to stan niedoskonały jeszcze.” Na to mi odpowiedział uśmiechając się swobodnie: „mój ojczy, liczę wiele na szkaplerz który noszę. Czytałem w żywocie jakiegoś Świętego, że prosił wciąż o to aby umarł w piątek, tak aby go Matka Boska w moc danej obietnicy, w następną sobotę wydobyła z czyścja.” Zobaczmy że się nie zawiódł na swojej rachubie, przynajmniej co do dnia śmierci.

Ponieważ lekarz pozwolił mu dawać czegokolwiek by zażądał, chory nasz czując niesmak do wszelkiego pokarmu, a z drugiej strony instynktowo pragnąc podtrzymać uciekające już siły, żądał niekiedy rzeczy wyraźnie szkodliwych. Ale jak skoro mu przedstawiłem, że zakonnik nawet i w ostatnich chwilach życia winien być umartwionym, i że niewolno mu przyczyniać się do skrócenia dni swoich choćby o jedną chwilę, zaraz prosił, by go już odtąd nie pytano, czego by sobie życzył, jedno by mu brat infirmyer dawał, co sam za stosowne dlań osądzi.

W miarę jak rosły jego cierpienia, (bo wewnątrz jego było jedną wielką raną, a pod koniec i grzbiet i boki był do żywego odleżał), rosła jego cierpliwość. Gdym go spytał raz co mu najbardziej i gdzie dolega, odpowiedział uśmiechając się: „już to właściwie wszystko i

wszędzie”. Stryj jego przygotował go do dłuższych cierpień, ale on stanowczo twierdził, że mało ma już czasu przed sobą. Na cztery dni przed śmiercią, widząc go więcej zbolałym, przypomniał mu słowa św. Magdaleny de Pazzis: *i cierpieć i nie umrzeć*. Natychmiast się chory rozpogodził, ale odpowiedział, że nad cztery dni żyć się nie spodziewa: jak rzeczywiście się stało. Sam lekarz dawał mu kilka dni więcej życia, i przeto miły brat Władysław miał w Niedzielę następną, w obec kolegów swoich wolnych od szkoły, przyjmując ostatnie Sakramenta, i złożyć śluby zakonne, których formułę był z góry własnoręcznie napisał i podpisał. W piątek zrana prosił o Komunię św., mówiąc że to jego dzień zwykły. Po obiedzie odezwał się: *wszak to dziś mam złożyć śluby, a postłyszawszy że jeszcze nie, uspokoił się*. Wieczorem o godzinie dziewiątej wpada do mnie brat infirmyer powiadając, że chory źle się ma bardzo: przybiegam, i widzę że zaczął konać. Główka mu bezsilnie już opadała; pochwycił mnie oburącz za ramię jak dzieciątko tulące się do łona matki. Posłałem po oleje święte, a tymczasem jeden z przywołanych braci, odczytał formułę ślubów, której on się ręką dotykał, i na końcu dodał: *Amen*. Po absolucyi i błogosławieństwie papieżkiem, z pełną przytomnością przyjął oleje św. „A Pana Jezusa nie da mi Ojciec?” zapytał. Odpowiedziałem mu że doba się jeszcze nie skończyła od Komunii rannej, by zaczekał do północy: on jednak mądrzej instynktowo się spieszył. Prosił potem by go samego zostawiono, czuł się bowiem wyczerpniętym tylu wzruszeniami, i spodziewał się snem pokrzepić. Ponieważ lekarz zapewniał, że północ niewątpliwie przeżyje, poleciłem młodzieży, by się udała na spoczynek; dwóch tylko pozostało na straży. Po jedenastej brał infirmyer wszedł do chorego, i ujrzał go patrzącego z podniesionemi ramionami w górę, i uśmiechającego się, jakoby miał jakie wesołe widzenie; a gdy się doń zbliżył serdecznie go uściskał. Gdy lekarz odszedł, choć jeszcze północ nie była doszła, wewnętrznym przecuciem ciśnięty wróciłem do chorego, i postrzegłem, że infirmyer choć doświadczony, po raz drugi nie poznał, że młody brat nasz jest w ostatnim akcie konania. Ledwo żem zdołał zmówić ostatnie modlitwy poddając mu w przerwach akty strzeliste i przedstawiając krucyfiks do pocałowania. Przy litaniach Matki Boskiej a mianowicie przy ostatnim ich wierszu „*Królowo bez zmazy pierworodnej poczęta*”, na ośm minut przed północą (dnia 16go Czerwca 1870 roku) po kilkakrotnem lekkim drgnięciu ust kochany nasz brat Władysław Feliński oddał spokojnie ducha Bogu. Ufajmy, że jego wiara w sobotnią pomoc Matki Boskiej Szkaplerznej nie została zawiedziona. To pewna że ci, którzy duszę jego polecali Bogu, wielką czuli błogość i wewnętrzne namaszczenie. Niejeden znów zamiast za niego, do niego się modlić zaczął. Wszyscy koledzy prosili o jaką pamiąteczkę po nim. Zwłoki jego wystawione zrazu w celi, zniesione potem do kościoła, po odbytem nabożeństwie, odprowadzone zostały processjonalnie przez braci na cmentarz św. Wawrzyńca, do grobu Zgromadzenia. Spoczywają tam obok popiołów Bohdana Jańskiego, Stefana Witwickiego, ks. Alfreda Bentkowskiego, i młodego braciszka rodem z Guadagnolo pod Mentorellą.

W ośm miesięcy potem przybył do ich liczby młody kapłan Zgromadzenia ksiądz Józef de Narfis rodem ze Sezze pod Rzymem. Przyjęty do Zgromadzenia gdy miał lat kilkanaście dopiero, otrzymał w niem całe swoje wychowanie poduczył się był po polsku, gotów był pracować czy w Polsce, czy na missyach zagranicznych, choć delikatna budowa ciała nie czyniła go do tego sposobnym. Wyświęcony na kapłana w połowie 1867 roku zaczął

kazać gorliwie i z talentem, ale po roku zaczęły się objawiać symptomata choroby piersiowej. Żałował jedynie, że nic prawie dla Kościoła i Zgromadzenia nie miał czasu uczynić: ufamy że Bóg szczerze jego chęci przyjął za czyn. Podobnie jak śp. Władysław Feliński na chwilę przed skonaniem wdzięcznie się uśmiechnął i poszedł do pana dnia 9go Marca przed godziną jedenastą z wieczora.

Tak czterej bracia, którzy tu w Rzymie w Zgromadzeniu umarli, jak jeden braciszek z górnego Szląska, który w Kanadzie życia dokonał, wszyscy umarli z suchot. Mówią powszechnie, że to choroba wybranych; i rzeczywiście pozostawia ona przytomność umysłu do ostatniej chwili, a przeto możność przygotowania się do dobrej śmierci. Wprawdzie przywiązane jest do téj choroby złudzenie dłuższego życia; ale złudzenie to jest niebezpiecznem tylko dla osób w świecie, gdzie krewni i przyjaciele, zbyt często nie mają odwagi powiedzieć choremu prawdy. Zresztą dzięki Najwyższemu, wszyscy nasi drodzy zmarli tak spokojnie i swobodnie przechodzili z czasu do wieczności, że i my pocieszać się możemy słowami pobożnego jednego Kartuzia: „dobre jest twarde życie, byle śmierć była wesoła”.

Streszczając wszystko cośmy dotychczas o Zgromadzeniu Zmartwychwstańców powiedzieli, postrzegamy z wdzięcznością dla Pana, że od roku 1857 zaczęliśmy za łaską Bożą istotnie się rozwijać, i pełnić drobną, bo odpowiednią do sił naszych, ale czynną służbę w Kościele Bożym.

Posiadamy:

- 1) w Rzymie dom św. Kludyusza służący zarazem za siedzibę dla Przełożonego głównego; tamże alumnat i nowicyat główny;
- 2) kolegium duchowne polskie;
- 3) w dyecezyi Tivoli pod Rzymem kościół Najświętszej Panny w Mentorelli;
- 4) nowicyat i alumnat włoski na wyspie Malcie;
- 5) w Paryżu missyę przy kościele *l'Assomption*;
- 6) w Adryanopolu dom missyjny i kolegium;
- 7) w Ameryce: dom regularny w Kanadzie, a przy nim pięć parafij i dziesięć kościołów, prócz tego małe Kolegium o kilku klassach;
- 8) w Stanach Zjednoczonych dwie parafie w Texas, jedna w Michigan, a jedna w Chicago, i nowe kolegium w Dyecezyi Louisville;
- 9) w Galicyi: rezydencją i kapelanią w Jazłowcu.

Zgromadzenie Zmartwychwstańców liczy obecnie członków 78miu, to jest: kapłanów trzydziestu pięciu, nowicyuszów i studentów siedmnastu, braciszków dwudziestu sześciu. Kapłani i kandydaci do kapłaństwa w dwóch trzecich należą do narodowości polskiej. Oby się nad wszystkiemi sprawdziło życzenie i błogosławieństwo Ojca św., któreśmy temu lat dwa usłyszeli. Kiedyśmy bowiem stawili się przed nim gromadnie, zdziwiony i ucieszony że już nas jest tylu, zawołał: „dzieci moje! o Polsce to już Pan Bóg pomyśli, a wy się uświęćcie, abyście uświęcali w kraju waszym sprawiedliwych, a zwrócili na dobrą drogę tych, którzy z niej zesзли!”

Na zakończenie tego obrazu dodać winienem, że szczegółem może najbardziej uderzającym téj naszój, zresztą mało znaczącej historii jest *tajemnica* naszego doczesnego utrzymania. Nie mamy kapitałów ani żadnych stałych dochodów; żyjemy z dnia na dzień i to głównie w kraju, gdzie ludność jest mało ofiarna i na widok księdza raczej rękę do niego wyciąga po jałmużnę, niżliby mu jój udzielić miała. Jakie są środki utrzymania Missyi Bułgarskiej tośmy powyżej powiedzieli. Parafie nasze w Ameryce żyją z dochodów miejscowych. Kolegium polskie w Rzymie ma swoje fundusze, które jeśli nie są dostateczne aby je odpowiednio do swego celu urządzić, to jednak wystarczają na bieżące potrzeby. Ale Dom główny Zgromadzenia w Rzymie wraz z nowicyatem i alumnatem nie ma wcale stałego opatrzenia. Winniczka, którą posiadamy pod Rzymem, tyle właściwie przynosi, ile jój zarząd kosztuje. A jednak utrzymać potrzeba w Rzymie samym osób mniej więcej trzydzieści, nie licząc w to kosztów nabożeństwa i porządków kościoła. Od lat trzydziestu Opatrzność przysyła chleb codzienny i chociaż w ciągłej biedzie, w ciągłych kłopotach, nigdyśmy jednak nie zabrnęli w znaczniejsze długi: zawsze nam z téj lub owój strony nadejdzie ratunek, często w samą chwilę, gdy już groziła ostateczna ruina. My sami kiedy się na przeszłość obejrzymy, na długie trzydzieści lat takiego życia, nieraz myślą wpadamy w pewien rodzaj osłupienia, i nie możemy nie widzieć w tem cudu, a razem dowodu, że miłosierna ręka Opatrzności jest nad nami wyciągnięta i zdaje się naszemu gronku błogosławić. Nie taimy wprawdzie że dzisiaj, po klęskach i ostatecznem wyniszczeniu ziem polskich zwłaszcza pod rządem rosyjskim, daleko nam ciężiej idzie, i że nieraz doprawdy niewiedzieć zkąd wziąć, aby choć tylko piekarza zapłacić. Nie taimy, że potwarze dziennikarskie systematycznie po dziś dzień rozgłaszane, niemało się przyczyniły do oziębienia hojności w naszych dobrodziejach. Niejeden, choć niezupełnie wierzy, jednak przypuszcza że coś w tych oszczerstwach musi być prawdy, kiedy się one tak zawzięcie powtarzają; inny choć wcale nie wierzy, jednak nie łatwo zwróci swą myśl i rękę ku ludziom, którzyby na niego ściągnąć mogli swą niepopularność. Nie do wszystkich jednak trafiły potwarze, nie wszyscy się ich ulękli; zostali nam przyjaciele i dobrodziej, tem drożsi im mniej liczni i przeciwnościami już wypróbowani. W którejkolwiek stronie Polski znajdują się oni, chciałbym aby ich doszedł mój głos serdecznej wdzięczności; chciałbym aby mieli przeświadczenie, że jeżeli Pan Bóg ma jakieś względem nas zamiary, to oni w tem dziele są Jego współczynnem, miłosiernem narzędziem. Może im miło będzie dowiedzieć się, że wszyscy Bracia zakonni modlą się za nich co dzień dwa razy, że prócz tego każdy kapłan Zmartwychwstaniec co miesiąc jedne mszę za nich odprawia. A tu nie mogę zamilczeć naszej wdzięczności szczególniej dla pana Kajetana Morawskiego, który w chwili gdy dzienniki polskie (z wyjątkiem jednego lub dwóch) przepelnione były potwarzem na nas szkalowaniem, z szlachetną odwagą podał myśl jawnej i czynnej za nami protestacyi w formie składki publicznej na korzyść Zmartwychwstańców. Ich imiona nam przysłane zachowamy nietylko w archiwum Zgromadzenia, ale i w sercach naszych przed Panem, w czasie i da Bóg w wieczności. Nie godziłoby się także przemilczeć, że i u cudzoziemców znaleźliśmy w tej ostateczności pomoc: czcigodny oratoryanin francuzki ksiądz Perraud, dyrektor stowarzyszenia *L'Oeuvre du Catholicisme en Pologne*, wsparł nas hojnie po dwakroć; był podobnie naszym dobrodziejem p. Amadeusz Thayer, dziś już w Bogu spoczywający. Obecnie choć oszczerstwa przycichły (nie wiemy na jak długo) nie

polepszyło się bynajmniej nasze finansowe położenie: owszem mniej niż kiedykolwiek, pod tym względem, jesteśmy pewni naszego jutra. Zabór Rzymu odstrasżający od pielgrzymek osoby pobożne, klęski i ruina Francji i niebezpieczeństwa całej Europie grożące, na nową i cięższą jeszcze próbę wystawiają wiarę naszą. Ale pamiętając że to jest chwila mocy ciemności, czas zadosyćuczynienia za grzechy wielu, pamiętając że kraj nasz, wierni wszyscy i sam Namiestnik Chrystusowy ucisk srogi cierpią, nie trwożymy się naszym niedostatkiem bynajmniej: owszem, chętnie i my krzyż nasz dźwigamy, dziękując Panu, że nam pozwala brać udział w dziele prześlągania sprawiedliwosci Jego.

Pisałem w Rzymie, 13go Kwietnia 1871 r.